

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

ISSN 2719-9096

NR 3 / 2021

OŚTOJA

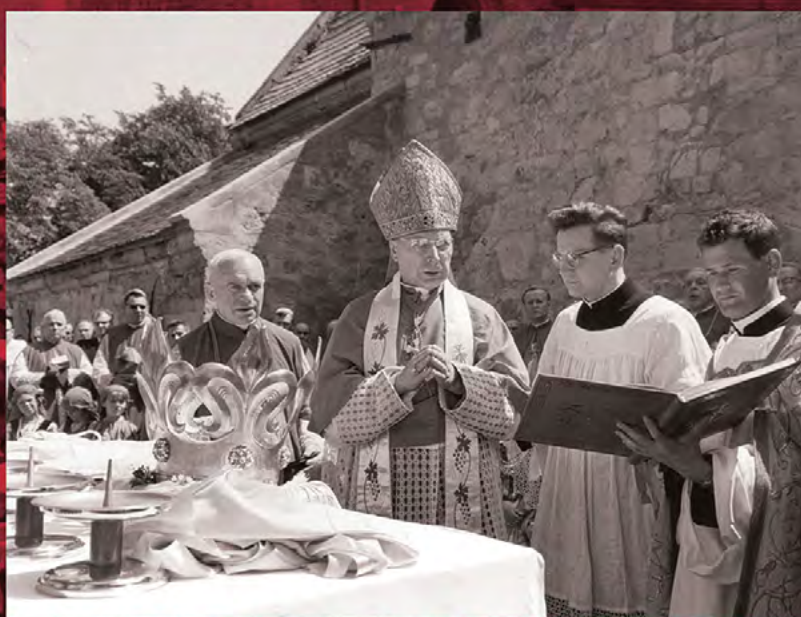
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

...MO SPOŁECZNO-KULTURALNE





Per Meritum Soli Deo



KOCHAŁ POLSKĘ

Polska może żyć własnymi siłami, własnymi mocami, rodzimą kulturą wzbogaconą przez Ewangelię Chrystusową i przez czujne, rozważne działanie Kościoła.

Polska może żyć tu, gdzie jest, ale musi mieć ku temu moc.

Musi patrzeć i ku przeszłości, aby tym lepiej osądzać rzeczywistość i mieć ambicję trwania w przyszłości.

Naród jest jak mocne drzewo, które podcinane w swych korzeniach, wypuszcza nowe.

Może to drzewo przejść przez burze, mogą one urwać koronę chwały, ale ono nadal trzyma się mocno ziemi i budzi nadzieję, że się odrodzi. Nie wszystko jedno, jaka Polska będzie dziś i jutro.

Już dzisiaj pracować trzeba dla Polski jutra. /Kard. S. Wyszyński/



Prymas Tysiąclecia

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



Po dość długim wyczekiwaniu, 12 września 2021 roku (w rocznicę zwycięstwa 1683 roku – daty szczególnej w dziejach cywilizacji chrześcijańskiej!) odbędzie się w Warszawie beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego, jednej z najważniejszych postaci Kościoła i Polski XX stulecia.

W obecnym roku – decyzją Sejmu obchodzonym jako Rok Stefana Wyszyńskiego – przypada 120. rocznica jego urodzin oraz 40. rocznica śmierci. Pochodził z rodziny wywodzącej się z drobnej szlachty. Przyszedł na świat w Zuzeli, w czasach, gdy Polski nie było na mapie świata, to umiłowanie Ojczyzny wyniósł z rodzinnego domu. Egzamin z miłości do Ojczyzny i Kościoła, składał wielokrotnie w swoim życiu... Czy to podczas wojny – jako kapelan Armii Krajowej, czy w czasie powojennym – represjonowany i internowany w latach pięćdziesiątych.

Był przywódcą duchowym i niekwestionowanym mężem stanu, pozostał autorytetem. W tym duchu publikujemy wypowiedź prezesa Katolickiej Agencji Informacyjnej, a także jeden z tekstów, twórcy oryginalnego kierunku filozoficznego, ks. profesora Czesława St. Bartnika – dotyczącego chrześcijańskiej nauki o narodzie według kard. Wyszyńskiego, który przed laty został wygłoszony w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a stanowi celne podsumowanie nauczania wielkiego Prymasa. Sięgając do tej analizy myśli Kardynała na łamach „Ostoi”, zatrzymamy się także z red. Stefanem Truszczyńskim przed pomnikiem Prymasa na warszawskim Trakcie Królewskim.

Procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne w Kościele, pomijając negowaną przez niektórych ich sensowność, nie trwają krótko. Zdarzają się oczywiście wyjątki, co udowodnił, nie tylko na tej płaszczyźnie Papież z Polski. To jednak w przypadku akurat tego procesu, wielu Polaków dziwiło, że ciągnie się tak długo...

Trwał ponad trzy dziesięciolecia. Bezpośrednie przygotowania do procesu podjęto w roku 1988, w następnym Stolica Apostolska wyraziła zgodę na jego rozpoczęcie, wydając tzw. *nihil obstat*. I kościelne tryby ruszyły: proces diecezjalny, prowadzony przez archidiecezję gnieźnieńską, proces rogatoryjny w archidiecezji paryskiej, proces w sprawie domniemanego cudu na terenie archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej i wreszcie, po złożeniu tzw. *positio*, dekret o heroiczności cnót (2017) oraz kolejny zatwierdzający cud (2019). Wszystko przebiegało zgodnie z normami prawa kanonicznego. Zatem nikt nie zarzuci, że coś nastąpiło „po znajomości”...

Nielatwe były czasy, w których przypadło życie i działalność Stefana Wyszyńskiego, zwłaszcza po II wojnie światowej. Nielatwe są czasy, w których następuje jego beatyfikacja, zarówno w skali globalnej i europejskiej, jak i naszej, krajowej. Nabierająca coraz większego rozpędu walka cywilizacyjna z islamem w tle, walka o wpływy wielkich graczy: USA, Chin i Rosji, narzucanie swojej woli innym i „urządzanie komuś domu”, czego skutki mają opłakany finał, a potwierdzenie tego widzimy patrząc na Afganistan. A na gruncie lokalnym – skonfliktowanie społeczeństwa, nieustannie podsycane konflikty, przykład braku troski o dobro wspólne, Solidarność na sztandarach a brak jej w relacjach między ludźmi, prywatna zamiast troski o Ojczyznę.



FOT. © INSTYTUT PRYMASOWSKI

Można wymieniać jeszcze wiele, ale nie o to przecież chodzi.

Sięgając do słów Jana Pawła II: „Takiego ojca, pasterza i prymasa Bóg daje raz na tysiąc lat” – często powtarzamy: Prymas Tysiąclecia. Każda epoka ma swoje wybitne postaci, swoich bohaterów i opatrnościowych mężów. Obyśmy na ludzi tego pokroju, nie musieli czekać przez kolejne millennium... Potrzeba takich wzorów zarówno dla świata, kraju, jak i Kościoła. Można powiedzieć, że potrzeba na *cito*!

„Moja piosnka

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba....
Tęskno mi, Panie...*

*Do kraju tego, gdzie winą jest duża
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...*

*Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie,
„Bądź pochwalony!”
Tęskno mi, Panie...*

*Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej,
Której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie,
Równie niewinnej...
Tęskno mi, Panie...*

*Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,
Do tych, co mają tak za tak – nie za nie,
Bez światło-cienia...
Tęskno mi, Panie...*

*Tęskno mi owdzie, gdzie ktoś o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej...
Tęskno mi, Panie...*

C. Norwid

- 3 Raina: Pasterz
- 4 Przeciszewski: Prymas Tysiąclecia i Siostra z Lasek
- 6 Bartnik: Naród według Kardynała Wyszyńskiego
- 10 Prymas na Królewskim Trakcie
- 11 Samojłow: Na tym brzegu
- 12 Majewski: Rocznica
- 12 Grzywacz: Co Europa zawdzięcza Powstańcom
- 13 Z Nieba chyba... Wywiad z Wiesławem Budzyńskim
- 18 Laureaci Wielkiej Nagrody im. Witolda Hulewicza
- 19 Bryll: Słuchasz...
- 20 Pańków: Szczęście rodzi się...
- 22 Karaś: Wizyta Konia Trojańskiego
- 28 Biernacki: Hymn ludzi wolnych
- 30 Mieczkowski: Niepodległa Litwa trwa
- 31 Goljat: Pierwszy ułan II Rzeczypospolitej
- 35 Bogaczewicz: Zginęli dlatego, że byli Polakami
- 38 Karaś: Tu są Niemcy – cz. 2
- 42 Szwedzkie otwarcie na multi-kulti
- 43 Paszkiewicz-Jägers: Pomyślny holenderski marsz...
- 46 Prandota: Piromani XVII wieku
- 52 Bruski: *Rolka sztokholmska*
- 54 Raina: Hitler. Koniec Legendy – cz. 3
- 60 Urbankowski: Schindler i inni twórcy przedsiębiorstwa Holocaustu
- 63 Sajnog: „Nasze matki, nasi ojcowie...”
- 66 Świągocki: Kapłan klasycznego piękna – cz. 1
- 72 Wszystko zaczęło się w Warszawie – cz. 3
- 74 Kociolkowska: Mayerling
- 75 Mendakiewicz: „Baletnica” przedmiotem rozważań
- 76 Sztumski: Pora gniewu
- 78 Adamczyk: „Mam władzę, to wam pokażę!”
- 80 Wakacje gwiazd w PRL
- 81 Truszczyński: Kania dżdżu łaknie
- 84 Mażul: Podwileńskie bajanie
- 85 Burczycka-Woźniak: Midrasz o tradycji
- 86 Kabaret Małgorzaty Todd
- 87 Tetter: Ryzykowna podróż do granic wolności
- 88 Szuster: ZASP solidarny z artystami z Białorusi
- 88 „Teatroteka” – konkurs
- 88 Wystawa w Gdańsku

NA OKŁADCE

I strona: Stefan Kardynał Wyszyński, Fot. © Instytut Prymasowski / wyszynskiprymas.pl
IV strona: Roman Kirilenko, *Obsesje. Szukając swojego słowa* – 3, olej, złota farba, płótno, 116x94 cm, 1992/1993 ©



SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
 BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70 lok. 48, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Jerzy Biernacki, Dobrochna Bugiera, Romuald Karaś, Radosława Pieniężna-Grabowska, Peter Raina, Stefan Truszczyński
- **AUTORZY:** Beata Adamczyk, Ernest Bryll, Marzena Burczycka-Woźniak, Małgorzata Chomicz, Aleksander Czajkowski-Ładysz, Wojciech Goljat, Agnieszka Karaś, Bożena Kociolkowska, Elżbieta Królikowska-Avis, Zbigniew Majewski, Mikołaj Melanowicz, Anna Mendakiewicz, Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota, Lech L. Przychodźki, Aleksander Rowiński, Zbigniew Sajnog, Edward W. Stańczak, Kazimierz Świągocki, Jan Tetter, Małgorzata Todd, Bohdan Urbankowski
- **DRUK:** Drukarnia STANDRUK Adam Król, Lublin
- **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70 lok. 48, tel. +48 22 636 74 76
- **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906

Pasterz

Wybór syna narodu polskiego na *conclave* 16 października 1978 roku na następcę św. Piotra – Biskupa Rzymskiego na pewno należy do jednego z najważniejszych i epokowych wydarzeń w dziejach Polski. Wybór nowego papieża „z daleka”, jak sam Jan Paweł II o sobie mówił, wywołał najpierw całkowite zaskoczenie, a zarazem potem ogromną i powszechną radość nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Na uroczystość inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II, 22 października 1978 roku, do Rzymu przyjechały tysiące Polaków z kraju oraz z całego świata. Ojciec Święty nazajutrz po inauguracji zaprosił ich na publiczną audyencję. Spotkanie z sześcioma tysiącami Polaków odbyło się w wielkiej Sali audiencyjnej Watykanu. Obecny był i legendarny redaktor Jerzy Turowicz, który audyencję tę określił jako: „godzina cudowna, niezapomniana, wzruszająca”.

W *Orędziu*, skierowanym wówczas do Polaków, Jan Paweł II oświadczył, że w ostatnich dziesięcioleciach układ stosunków społeczno-ekonomicznych i kulturowych stał się przedmiotem wielkiego zainteresowania Kościoła katolickiego w Polsce i dzięki temu nabrał „nowego wyrazu”. Ojciec Święty zwrócił się także do Stefana Kardynała Wyszyńskiego w następujący, wzruszający sposób:

**„Czcigodny i umiłowany
Księżu Prymasie!**

Pozwól, że powiem po prostu, co myślę. Nie byłoby na stolicy Piotrowej tego Papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności, rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem. Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem”.

Powstaje pytanie, dlaczego Kościół w Polsce stał się „Kościółem szczególnego świadectwa”, a Prymas Polski wybitną jednostką wnoszącą olbrzymi wkład do szczytnej tradycji kultury polskiej. Wydaje się, że dwa istotne czynniki doprowadziły do takiego stanu rzeczy: nauka Kościoła oraz postawa moralna Jego pasterzy. Kościół głosi zawartą w Ewangelii prawdę o człowieku, a ta prawda jest



Papież Jan Paweł II i Prymas Tysiąclecia Stefan Kardynał Wyszyński, obraz autorstwa Macieja Milewskiego i Andrzeja Tryzno, eksponowany w kościele Środowisk Twórczych w Warszawie, 2011 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

fundamentem nauki społecznej Kościoła. Głównym obowiązkiem duchownego jest głoszenie prawdy, która „zawiera w sobie zasadę autentycznego wyzwolenia człowieka”. Obowiązek taki duchowny może pełnić, kiedy jego osobiste wartości są całkowicie utożsamione z wartościami Ewangelii i od tego zależeć będzie także siła wiary u ludzi.

Kardynał Wyszyński od czasu przyjęcia święceń kapłańskich wiernie i gorliwie głosił słowo Boże i uczył Ewangelii. Poruszał sprawy dotyczące nędzy i cierpienia człowieka; zajmował się problemami rodzin i młodzieży. Działalność swoją widział zawsze w służbie człowieka, bowiem misję ewangelizacyjną Kościoła

jest „działanie na rzecz sprawiedliwości i podniesienia człowieka”.

Misja ta nie była aktem osobistym ani odizolowanym, była przede wszystkim wytworem wspólnoty między Kościołem i Jego pasterzem. W spełnianiu jej decydującą rolę odrywały cechy osobowości pasterza – rozległy umysł, wrażliwość moralna, nieugięta odwaga, zdolność głębokiego rozumienia doktryn kościelnych, umiejętność przewidywania nadchodzących wydarzeń. Stefan Kardynał Wyszyński należał do tych niezwykle rzadko spotykanych duchownych, u których wszystkie te cechy łączą się w jednej osobowości.

PETER RAINA ■

Prymas Tysiąclecia i Siostra z Lasek

■ MARCIN PRZECISZEWSKI



12 września zostaną wyniesieni na ołtarze kard. Stefan Wyszyński i Matka Elżbieta Róża Czacka, jedni z najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła w Polsce XX stulecia. Prymas Tysiąclecia, przewodnik Kościoła i narodu w trudnych czasach oraz skromna, niepełnosprawna franciszkanka, założycielka Dzieła Lasek. Oboje wnieśli ogromny wkład w duchowe odrodzenie Kościoła w Polsce, a dziś stanowią wyraziste wzorce świętości.

Choć Prymas Tysiąclecia i Czacka są postaciami bardzo różnymi, Kardynał był dalekowszrocznym przywódcą Kościoła w trudnych czasach, a druga skromną, niewidomą zakonnicą, były to postacie o uzupełniających się charyzmatach. Jest też ważny wspólny mianownik, który ich łączy. Oboje mają olbrzymie zasługi w odrodzeniu polskiego chrześcijaństwa w czasach totalitaryzmu, a spuścizna każdej z tych postaci jest aktualna jako istotna busola na dziś.

Odnawiciel wiary Polaków

Kardynał Wyszyński przez niemal 33 lata (1948-1981) stał na czele Kościoła w Polsce, sprawując funkcję Prymasa Polski i przewodniczącego Konferencji Episkopatu a zarazem legata papieskiego (pod nieobecność nuncjusza) korzystając ze specjalnych pełnomocnictw Stolicy Apostolskiej. Jako metropolita gnieźnieński i warszawski, kierował jednym z największych kościelnych jednostek administracyjnych. Dzięki jego autorytetowi Kościół zachował dużą spójność, gwarantującą odporność wobec komunistycznych prób podporządkowania.

Wyszyński był także autorem i konsekwentnym realizatorem dalekosięznego programu duszpasterskiego, mającego na celu odnowę wiary Polaków. Jego filarami były Jasnogórskie Śluby Narodu, wypracowane jeszcze w okresie internowania Prymasa oraz Wielka Nowenna przed Millennium chrztu Polski, której towarzyszyła ogólnopolska peregrynacja Jasnogórskiej Ikony Matki Bożej.

Choć wedle powszechnej opinii najważniejszym dziełem Prymasa było ocalenie



Kard. Stefan Wyszyński i m. Elżbieta Czacka FOT. © ARCHIWUM SFSK

Kościółu pomimo prześladowań, to jego zasługi były znacznie większe. Jego działania zaowocowały odrodzeniem polskiej religijności, nie tylko w tradycyjnie związanych do Kościoła masach ludowych, ale także w środowiskach inteligenckich, które wcześniej cechował duży dystans wobec religii. Dzięki realizowanemu przezeń programowi odnowy duchowej i moralnej społeczeństwa, Kościół w Polsce stał się niekwestionowanym autorytetem i rzeczywistym – choć nieformalnym – przewodnikiem narodu. Dlatego możliwa okazała się zwycięska konfrontacja z ateistycznym reżimem. Zresztą marksizm Wyszyński zgłębił o wiele wcześniej, jeszcze przed wojną jako ksiądz-społecznik we Włocławku, gdzie organizował uniwersytety robotnicze, a zarazem jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców nauczania społecznego Kościoła, kształtowanego w opozycji do nowych ideologii.

Kolejną jego zasługą było mądre i spokojne wprowadzanie soborowej odnowy liturgicznej, co nie spowodowało „ześwieczenia” charakterystycznego dla wielu

Kościółów lokalnych na Zachodzie, ale dalsze pogłębienie religijności.

To właśnie m.in. dzięki zasługom Prymasa, Kościół w Polsce jawił się wówczas jako niezwykle fenomen nie tylko na gruncie krajów socjalistycznych, ale w skali całej Europy. Snując dalsze analogie, można zaryzykować tezę, że bez doświadczenia wewnętrznej wolności, zakorzenionej w wierze, jakiej Polacy zaznali podczas Wielkiej Nowenny czy obchodów Millennium, nie zaistniałby grunt pod masowy udział w pielgrzymkach Jana Pawła II, powstanie przyszłej „Solidarności”, czy wreszcie stopniowy, pokojowy upadek systemu.

Ponadto, choć jest to temat dotąd słabo opracowany, Wyszyński wykonywał wielką pracę również dla przetrwania Kościoła katolickiego na dawnych terenach Rzeczypospolitej wcielonych do ZSRR, a nawet na dalszych terenach tego państwa. Potajemnie święcił pracujących tam kapłanów i udzielał im wielorakiej pomocy, a także umożliwił przetrwanie w Polsce Kościoła greckokatolickiego,

zlikwidowanego i brutalnie prześladowanego w państwie Stalina.

Na forum międzynarodowym kard. Wyszyński był jednym z ojców powojennego pojednania polsko-niemieckiego, zapoczątkowanego słynnym listem polskich biskupów do niemieckich z 1965 roku. Ta rola Wyszyńskiego a także autorytet jaki zyskał Kościół z Polski, otworzyła drogę ku wyborowi kard. Karola Wojtyły na Stolicę św. Piotra.

Tajemnica Siostry z Lasek

Druga kandydatka na ołtarze, Elżbieta Róża Czacka (ur. w 1876 r. w Białej Cerkwii) pochodziła z rodziny arystokratycznej. W wieku 22 lat straciła wzrok. Podjęła wówczas decyzję, że nie zamknie się w swoim cierpieniu ale ofiaruje swoje życie innym niewidomym. Po latach rozpoczęła drogę życia zakonnego i założyła (w 1918 r.) nowe Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, którego charyzmatem jest służba osobom niewidomym. Stworzyła też Dzieło Lasek – ośrodek szkolno-wychowawczy dla niewidomych, miejsce szczególne nie tylko ze względu na wymiar edukacyjny i charytatywny, ale również duchowy.

Olbrzymią rolę w życiu przyszłej błogosławionej odegrał ks. Władysław Kornilowicz, mistrz życia duchowego i odnowy liturgicznej, nadzwyczaj otwarty na dialog z niewierzącymi i poszukującymi. Pod jego wpływem Dzieło Lasek stworzone przez Matkę Czacką stało się miejscem nie tylko troski o niewidomych fizycznie, ale także o „niewidomych duchowo”, ludzi zagubionych i poszukujących, wśród których było wielu wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji. Tam właśnie spotykało się słynne „kółko” złożone z przyjaciół kapłana, oddziaływujące na warszawską inteligencję oraz wydawany był znakomity periodyk „Verbum”. Następca ks. Kornilowicza, w roli kapelana Lasek był ks. Jan Zieja, a w okresie wojny ks. Stefan Wyszyński.

Laski, jak napisał Jacek Moskwa, „są dla polskiego katolicyzmu miejscem symbolicznym, które wydaje się kwintesencją najlepszych pierwiastków chrześcijaństwa, porusza wyobraźnię i serca. [...] Duch Lasek nacechowany był franciszkańskim ubóstwem i miłością do najsłabszych – niewidomych dzieci – ale także poczuciem specyficznego humoru oraz otwarcia na tych, którzy myślą inaczej”.

Środowisko Lasek nawiązało kontakty z wybitnymi przedstawicielami katolickiego personalizmu na Zachodzie Europy. W sierpniu 1934 roku w Warszawie odbywał się międzynarodowy kongres tomistyczny, na który przyjechał Jacques

Maritain. Odwiedził też Laski i siedzibę wydawnictwa „Verbum”. W tym okresie przyjeżdżał też inny wybitny filozof i teolog tomista, Szwajcar Charles Journet, kreowany później kardynałem przez Pawła VI. Zapisał o pobycie w Laskach wymowne słowa: „spotkałem Kościół prawdziwie franciszkański, ubogi aż do огоłocenia, lecz przeobfity miłosierdziem; przyjmujący życzliwie wszystkie nędze ciała i duszy, a jednocześnie wszelkie poszukiwania sztuki najbardziej nowoczesnej; pełen cudownego poszanowania pragnień papieża, lecz równocześnie wolny od wszelkiego formalizmu. Nie miał on twardości ani wzdargy wobec Żydów, ale umiał znaleźć tajemnicę otwarcia im wrót Chrztu świętego. Nie znał kłamstwa, szczerzy aż do przesady tą szczerością słowiańską, szaloną i cudowną...”.

Miejsce to przyciągało niewielką liczebnie, ale wybitną grupę konwertytów. Ciągnęli do niego także twórcy tej miary co Zbigniew Herbert, Antoni Słonimski, Zygmunt Kubiak, czy Jerzy Liebert. Tutaj też kształtowały się początki ekumenizmu na ziemiach polskich, w który zaangażowane były niektóre siostry.

Bliska współpraca przyszłych świętych

Jednoczesna beatyfikacja Matki Elżbiety (Róży) Czackiej oraz Stefana Kardynała Wyszyńskiego przypominają także o ich bliskiej współpracy.

– Matka Czacka poznała Prymasa w okresie międzywojennym przez ks. Kornilowicza – wspomina kard. Nycz. – On

rozpoznał w młodym księdzu z Włocławka talent, zdolności, przyciągnął go i zawiózł między innymi do Lasek. Potem ich drogi splotły się w Żuławie, Kozłowie i w samych Laskach, gdzie od 1942 roku był kapelanem sióstr, a także powstańców warszawskich. Potem jeździł do Lasek aż do śmierci Matki Czackiej w 1961 roku. Po wojnie Laski były dla niego azylem i miejscem spotkań z zakonnicami oraz świeckimi intelektualistami i działaczami katolickimi tej rangi co Jerzy Zawieyski, Stanisław Stomma czy Tadeusz Mazowiecki.

Wzorce świętości na dziś

Dwójka przyszłych błogosławionych stanowi również jakże aktualne wzorce świętości na dziś. Kardynał jako człowiek całkowitego oddania się Bogu poprzez Maryję, wzór nieustannej modlitwy poprzez codzienną pracę oraz nadziei w najtrudniejszych okolicznościach, a zarazem ktoś, kto potrafi przebaczać swoim prześladowcom. Człowiek epatujący wielkością, a jednocześnie pokorą i skromnością, darzący szacunkiem każdego spotkanego. Natomiast Matka Czacka, kobieta, która swoją fizyczną słabość potrafiła przekuć w duchową siłę, pełna miłosierdzia, wrażliwa na najbardziej potrzebujących, niewidomych nie tylko fizycznie ale także duchowo. Symbol Kościoła ubożego, trafiającego wprost do serc za pomocą najprostszymi środkami, otwartego na dialog i inicjującego tenże dialog na wielu polach.

MARCIN PRZECISZEWSKI / KAI ■



Prymas Wyszyński przy grobie współzałożycieli Lasek: m. Elżbiety Czackiej i ks. Władysława Kornilowicza. FOT. © Archiwum FSK

Naród według Kardynała Wyszyńskiego



FOT. © INSTYTUT PRYMASOWSKI

Stefan Wyszyński (1901-1981), ksiądz, biskup, kardynał, prymas Polski należał do ludzi, których myśl rozwijała się głównie – pomijając studia – w przestrzeni pozauniwersyteckiej. Dotyczyła ona płaszczyzn naukowych: socjologicznej, prawniczej, historycznej, filozoficznej i teologicznej. Wszystkie te płaszczyzny zostały jednak przyporządkowane polskiej prakseologii, zwłaszcza kościelnej, co spowodowało, że znajdowały one wyraz nie tyle w rozprawach naukowych, ile raczej w kerygmacie kościelnym, czyli w przepowiadaniu – ustnym i pisemnym.

Wśród poruszanych zagadnień pojawił się, niejako narzucony przez kontekst historyczny i społeczny, temat narodu, narodu polskiego i narodu w ogóle. Problem narodu, jego istoty, zadań, działania, sposobów samorealizacji we wszystkich dziedzinach wystąpił nie tylko w odniesieniu do sfery świeckiej, ale także do chrześcijańskiej i kościelnej. Tam z czasem zarysowała się próba teologicznej wizji narodu. Nie wystąpiła ona u Stefana Wyszyńskiego od razu i w formie gotowej, ale w latach prymasostwa jawiła się niemal w każdym publicznym wystąpieniu. Niemniej jednak uzyskanie pełnego jej obrazu wymagało żmudnych analiz i wyłuskiwania poszczególnych elementów z przyjętego języka kerymatycznego.

Kiedy przed sześcioma laty katedra, którą kieruję, zajęła się polską teologią narodu, w tym także wkładem do

niej kardynała Wyszyńskiego, zwróciłem się do niego z prośbą o rozjaśnienie niektórych punktów węzłowych sformułowanych mniej jasno. Po pewnych wahaniach odpowiedział, że będzie lepiej, „bardziej naukowo”, jeśli wszystkie jego poglądy zostaną wydobyte jedynie z jego enuncjacji, zapisów i publikacji. Trzeba zatem poprzestać na analizach własnych i na własnej próbie syntezy. W tekście tym opieram się głównie na listach pasterskich oraz na maszynopisach wystąpień umieszczonych w zbiorze *Kazania i przemówienia autoryzowane* (t. 1-2, Warszawa 1956-1981, AIPSKW).

Kształtowanie się refleksji nad narodem

W trakcie badań okazało się, że prymas Wyszyński pozostawał pod pewnymi wpływami XIX-wiecznej teologii narodu i „teologii narodowej”: wieszczów, założycieli i zmartwychwstańców (Bogdana Jańskiego, Hieronima Kajsiewicza, zwłaszcza Piotra Semenki), myślicieli neopozytywistycznych i młodopolskich, ruchu „Odrodzenie”, a także w jakimś stopniu kardynała Augusta Hlonda. Jednak zasadniczo Prymasa teologia narodu okazała się własna i oryginalna. Wyrastała ona samorzutnie i dojrzewała zwłaszcza w konkretnych, trudnych sytuacjach, w jakich przyszło mu żyć, działać i przewodzić Kościołowi polskiemu.

Początkowo Stefan Wyszyński zajął się głównie kwestią społeczną i wówczas jego myśl ześrodkowała się nie na narodzie,

lecz raczej na idei społeczności, w tym również na społecznościach, jakimi są państwo i Kościół.

Centralnymi przedmiotami jego publikacji były kolejno różne katolickie teorie społeczne: chrystianizm społeczny, „katolicyzm społeczny”, korporacjonizm, solidaryzm a wreszcie personalizm. Zajmował się przy tym szerzej etyką społeczną, zagadnieniami ekonomicznym, pedagogiką chrześcijańską oraz duszpasterstwem socjalnym. Po wybuchu wojny światowej klasyczne problemy społeczne zeszyły siłą rzeczy na plan drugi, a ich miejsce zajęły sprawy aktualne dla okupowanej Polski: sprawa ojczyzny, wolności, umacniania ducha, przetrwania, przygotowania w Kościele pewnego rodzaju „państwa” zastępczego, duchowego. Wątki te przewijały się w wystąpieniach Wyszyńskiego jeszcze długo po wojnie. Od czasu, kiedy w roku 1946 został biskupem lubelskim, a w roku 1948 metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim, czyli prymasem, idee socjalna i patriotyczna weszły w skład dominującej idei teologii narodu.

Prymas Wyszyński uważał, że naród Polski, od tysiąca lat również naród ochrzczony, zespolony z Kościołem katolickim, znalazł się w obliczu największych w swojej historii niebezpieczeństw. Upatrywał je w groźbie zniszczenia Kościoła w Polsce, w odcięciu narodu od pnia tradycji i ojczystych dziejów, w utracie pamięci chrześcijańskiej i polskiej, w degeneracji moralnej, w zabiciu duszy narodu, a także

w groźbie samowyniszczenia biologicznego przez masowe zabijanie nienarodzonych. Nie istniały środki polityczne dla ratowania narodu, należało więc zaangażować wszystkie duchowe i instytucjonalne środki kościelne: Prymas dążył przede wszystkim do „przełożenia” całego polskiego Kościoła na wszechstronną pomoc społeczeństwu i narodowi. Miał to być zarazem surowy egzamin rzeczywistej społecznej siły i użyteczności Kościoła.

Dla osiągnięcia założonego celu należało po wojnie w pierwszym rządzie umocnić sam Kościół: odrodzić go, ugruntować jego jedność wewnętrzną i instytucjonalną, uchronić przed wpływami rozbicia, jakie zaistniało w społeczeństwie polskim, podnieść ogólny poziom i operatywność duchowieństwa diecezjalnego oraz zgromadzeń zakonnych, przystosować Kościół do działania w sytuacji pozbawienia go spraw publicznych, związać z nim wszystkie obszary idei i uczuć religijnych, a także wesprzeć swoisty oddolny ruch obronnej, chrześcijańskiej i polskiej „teologii politycznej”. W ramach tych działań należało umocnić oraz rozszerzyć rolę urzędu prymasa jako zwornika jedności kościelnej, a nawet ogólnochrześcijańskiej w kraju. W rezultacie Kościół miał się stać jak najpełniej ludowy a zarazem inteligentki. Miał odegrać rolę duchownego azylu dla wszystkich Polaków, Wielkiego Domu Polaków, rolę duchowej ojczyzny, także dla mniejszościowych wyznań chrześcijańskich, oficjalnie kłóconych z katolicyzmem, a nawet dla niewierzących – w obronie ich godności ludzkiej i polskiej.

Niesłuszne zatem były zarzuty społecznego i kościelnego konserwatyzmu stawiane prymasowi Wyszyńskiemu w kraju i niekiedy zagranicą. W czasach walki na śmierć i życie o Kościół nie można było burzyć starego domu i obmyślać architekturę całkowicie nową. Pewne zmiany przyszedł dopiero z Soborem Watykańskim II, ale również wtedy mogły wchodzić w grę jedynie reformy odrodzeniowe i adaptacyjne, nie zaś eksperymentalne i ryzykowne. Kościół w Polsce miał nie tylko własne problemy wewnętrzne, musiał być Kościołem na miarę potrzeb konkretnego społeczeństwa i narodu.

Pojęcie narodu

Należało opracować bardziej precyzyjne pojęcie narodu, zwłaszcza z chrześcijańskiego punktu widzenia. Na początku Prymas posługiwał się tym pojęciem w znaczeniu zbliżonym do potocznego. Około roku 1950 zaczął sięgać do jego znaczeń wypracowanych przez etnografię, socjologię, naukę

o kulturze, historię, zwłaszcza w ujęciu dawnej szkoły warszawskiej. W rezultacie przyjął dwa podstawowe komponenty narodu: komponent przedmiotowy, niejako materialny – wspólnotę pochodzenia (raczej tylko w punkcie wyjścia), tradycji, historii, życia gospodarczego i cywilizacji, oraz komponent podmiotowy, niejako formalny – wspólnotę samoświadomości, dążeń, uczuć, działań, samowładności, kultury duchowej, języka społecznego, a przede wszystkim religii.

Z czasem prymas Wyszyński nadawał pojęciu narodu znaczenie coraz bardziej religijne – naród w jego ujęciu



to naturalna i pierwotna społeczność ludzi, zwłaszcza rodzin, powstała na gruncie ojczysty, związana w wyższą wspólnotę czasoprzestrzeni historycznej, w żywy organizm biologiczno-psychiczny, realizujący w sobie pewien rodzaj specyficznej „osobowości” duchowej.

Naród wyłania się z dziejów człowieczych, z przyrody i z rodzin ludzkich, ale ostatecznym jego źródłem jest Stwórca, Ojciec narodów. Naród więc to jedna z podstawowych struktur stworzenia. Nosi on na sobie coś z podobieństwa i obrazu Trójcy Świętej. Podlega wszystkim prawom stworzenia i zbawienia. Ma wymiar doczesny i nadprzyrodzony oraz niejako „ciało” i „duszę” w szerokim znaczeniu. Jest mu dana sfera działań i doznań na podobieństwo jednostki ludzkiej. Analogicznie do starotestamentowego narodu izraelskiego każdy naród znajduje się w samym centrum stworzenia i zbawienia. Jest ogniskową Bożej Opatrzności, która stanowi podstawę i pierwowzór rozwijania troski narodu o siebie.

Naród – jak i poszczególny człowiek – nie jest bytem dokończonym i spełnionym. Po większej części to dopiero temat, zadanie, obowiązek. Podlega on także ludzkiemu prawu zawieszenia między dobrem a złem. Nie jest sam z siebie wyłącznie dobry, jak chcieliby różnego rodzaju nacjonaliści. Dobry musi się dopiero stawać. W tym sensie jest on jakimś podstawowym zadaniem dla chrześcijan, którzy powinni kształtować dobro narodu i naród dobra.



Można to osiągnąć, gdyż w narodzie przeplatają się dwie płaszczyzny: płaszczyzna natury, gdzie jest on wielkością materialną, biologiczną, gospodarczą, cywilizacyjną, słowem – wspólnotą rzeczy, oraz płaszczyzna personalna, którą stanowią po prostu rozumni i wolni ludzie. Ponieważ ona właśnie jest docelowa, dlatego prawidłowy rozwój narodu polega przede wszystkim na jakimś głębokim, wewnętrznym ruchu od płaszczyzny rzeczy ku płaszczyźnie osób. Główne zadanie to pewna personalizacja i zarazem socjalizacja narodowego bytu. Z tego też powodu warstwy społeczne, klasy, partie, organizacje, zawody, instytucje nie tylko nie mogą – zwłaszcza pojedynczo – panować nad narodem, decydować za niego, ale nawet nie stanowią właściwych elementów narodu, są bowiem jedynie jego służebnymi i przejściowymi funkcjami.

Narodu nie wolno spychać do żadnego partykularyzmu, nie jest to bowiem wyłącznie naród szlachecki czy ludowy albo proletariacki, lecz po prostu naród integralny. Istnieje jakiś naród głębi, jakiegoś „misterium narodu”, o którym decydują wielkości osobowe, a nie strukturalne.

Naród a państwo

Naród ma prymat nad państwem, które jest sposobem samowładnej organizacji narodu. Naród bliższy jest bytowaniu osobowemu, państwo – instytucjonalnemu. Brak rozróżnienia między narodem a państwem, występujący u wielu uczonych oraz działaczy społecznych, prymas Wyszyński uważał za ciężki błąd, będący źródłem wielu tragedii i nieszczęść. Naród jest wielkością pierwszą i fundamentalną, państwo – wtórną i narzędnią. Naród nigdy nie może stanowić bezwolnego tworzywa dla państwa, czy tylko środka do czegoś lub służy, gdyż takie konstrukcje społeczne godzą w dobro osoby ludzkiej i narodu. Rzecz ma się odwrotnie – państwo ma sens tylko na tyle, na ile spełnia właściwą służbę wobec narodu lub narodów. Nie wolno negować wartości państwa stanowiącego suwerenność przez naród: życie narodu bez państwa będzie zawsze niedoskonałe, ale samo w sobie możliwe, a niekiedy nawet konieczne, jak to bywało w dziejach Polski pozbawionej własnej państwowości. Wtedy zresztą naród polski tworzył spontanicznie rodzaj „państwa duchowego”, „państwa głębi narodowej”. Nie znaczy to wszakże, by Kościół miał zastępować państwo w sferze doczesnej lub by naród miał służyć Kościołowi. Naród nie może być również narzędziem w ręku Kościoła, choćby w imię szczytnych celów religijnych.

Ciąg dalszy na s. 8 ►

► Ciąg dalszy ze s. 7

Kościół jest instytucją służby narodowi – społeczności osób, a naród nie może służyć żadnej instytucji, nie może służyć nawet idei czy ideologii, gdyż byłaby to zwykła alienacja ideologiczna. Może natomiast i powinien służyć ludziom jako osobom oraz żywemu, osobowemu Bogu.

Czy wobec tego państwo musi być religijne? Do Soboru Watykańskiego II prymas Wyszyński nauczał, że państwo nie może być względem narodu chrześcijańskiego neutralne, a tym bardziej świeckie. Po Soborze wprowadził on w tym zakresie pewną zmianę. Otóż naród powinien mieć życie religijne, religia jest nieodzowna dla jego bytu, rozwoju i pełnosprawności duchowej. Państwo natomiast nie musi być religijne, może być świeckie, byle nie było programowo ateistyczne. Ateizm państwowy jest – paradoksalnie – jeszcze większym błędem i złem niż niewiara narodu, państwo bowiem ma tendencję do tworzenia pseudoreligii, w której ubóstwia samo siebie i żąda od członków narodu oddawania sobie czci religijnej.

Religijność narodu – według prymasa Wyszyńskiego – nie oznacza potrzeby tworzenia jakiegoś „państwa katolickiego” ani pomniejszania ludzi inaczej wierzących czy niewierzących. Tego rodzaju zarzuty stawiane Prymasowi nie mają podstaw. Dążąc do budowy społeczeństwa na prawdzie, dopuszczał on wieloaspektowość tejże prawdy, a więc pluralizm. Na czoło wysuwał raczej wolność osoby ludzkiej i narodu. Dlatego w narodzie, który nazywał ochrzczonym, wierzącym i katolickim, chrześcijanie nie muszą nawet stanowić większości. Wystarczy, jeśli „mała trzódka” prawdziwych uczniów Chrystusa staje się zaczątkiem nowego życia „tej narodowej dzieży”. Prawdziwa religia otwiera płaszczyznę życia społecznego, które nie godzi w żadnej mierze w sprawy doczesne, lecz raczej doskonali je – gratia supponit naturam.

Posłannictwo narodu

Z nauczania Prymasa wynika – jak się zdaje – podstawowa prawda, że naród jest bardzo istotnym czynnikiem w procesie stawiania się człowiekiem, ma więc niepowtarzalne pływające z natury posłannictwo względem jednostki.

Kardynał widział w narodzie przede wszystkim konieczny korelat osoby ludzkiej, a zwłaszcza rodziny, głosząc tym samym personalny korelacyjny między nimi. I tak, rodzina spełnia swoją misję w narodzie, a naród spełnia się przez służenie prawdziwemu dobru rodziny i każdej osoby. Osoba wprawdzie oraz rodzina osób w aspekcie personalnym, nie w aspekcie

natury, są najwyższym celem narodu, ale jedno nie istnieje bez drugiego. W aspekcie natury zaś rodzina jest częścią narodu, w aspekcie osobowym natomiast jest jego najwyższym celem. Naród i rodzina są zatem współzależne: rodzina ma odniesienie do narodu, temu zaś przysługują struktura „rodzinowa”, przy czym nie należy nań patrzeć jak na zwykłą sumę rodzin, lecz jak na rodzinę rodzin. Jej członkami stają się także ludzie pochodzący z innych narodowości, o ile tylko chcą tworzyć komunię danego narodu i wnieść swój osobowy wkład w jego życie. Z tego wynika, iż pochodzenie nie jest czynnikiem istotnym.

Rodzina rodzin ma także oblicze ojczyzny, która otwiera nowy wymiar posłannictwa człowieka. Jak się wydaje, ojczyzna to jakaś rodzicielska czasoprzestrzeń: ziemi, historii, kultury, moralności, miłości społecznej, daru życia. Ojczyzna to święta tajemnica początków, naszej genezy materialnej i duchowej. Dlatego wysuwa się w niej na plan pierwszy środowisko osób. Istnieje w niej i środowisko rzeczy, ale noszących na sobie ślad osób: ojca, matki, ludzi rodzących nas duchowo, kształtujących naszą osobowość. Toteż ojczyzną w najbardziej właściwym znaczeniu jest społeczność najbliższych, owa życiodajna bliskość ludzka. Naród zatem odgrywa także rolę ojczyzny.

Z kolei narody nie żyją samotnie, skupiają się w rodziny, ostatecznie – w Uniwersalną Rodzinę Narodów. Naród polski żyje w rodzinie narodów słowiańskich i pobratymczych. Bóg i historia wyznaczają mu także względem nich określoną rolę. Nie jest to mesjanizm – ani w sensie wyższości nad tą najbliższą rodziną narodów, ani w sensie jakiegось religijnej substytucji. W istocie rzeczy rola każdego narodu w tym theatrum nationum mundi jest tej samej godności i wielkości. Jeśli naród polski ma do spełnienia jakiegось posłannictwo wobec tej Rodziny Narodów, to jest nim religijna diakonia względem nich: inspiracja godności i wzór dążenia do wolności dzieci Bożych, wspólna „modlitwa słowiańska”, zwłaszcza maryjna, braterskie zainteresowanie i zrozumienie w prawdzie, dobru, pokoju, we wzajemnym przebaczeniu. Szczególnie jest może to, że naród polski chce te zadania podejmować świadomie, refleksyjnie i „długomyślnie”.

Najwyższy sens historii ludzkiej realizuje się w Powszechnej Rodzinie Narodów i polega na jej rozwoju. Przede wszystkim ludzkość rozumiana jako rodzina narodów przestaje być platońską abstrakcją. Wypełnia ona swoje najwyższe posłannictwo wtedy, gdy służy sprawiedliwie każdemu narodowi, i to nie tylko aktualnie żyjącemu, lecz także narodom wymarłym, a zwłaszcza tym, które mają się jeszcze narodzić. Poszczególne narody przypominają dzieci

w rodzinie: wszystkie są rodzeństwem, chociaż w różnym wieku, o różnych cechach charakteru i różnych losach. Tu również nie ma miejsca na megalomanię polską: rola oraz posłannictwo narodu są zawsze szczególne, niepowtarzalne i „osobowe”. Patrząc na sprawę z tego punktu widzenia, naród polski winien pogłębić swą chrześcijańską pokorę, ze wszystkimi dzielić się skarbami swych doświadczeń, szerzyć kult Maryi jako wzór służby Bogu i narodom, głosić „w czas i niewczas” prawdę o Bożej rodzinie narodów, ożywiać ideę duchowego zmartwychwstania narodów.

Prawa narodów

Chrześcijaństwo pomaga sformułować specjalne prawa narodu, analogiczne do praw osoby ludzkiej. Bóg wyrył takie prawa w sercach jego członków. Kardynał Wyszyński nigdzie nie zebrał tych praw w całość. Lecz analiza jego kerygmatu o narodzie polskim pozwala ułożyć następującą *Tablicę Praw Narodów*:

1. Prawo narodu do narodzin i do życia we własnej ojczyźnie.
2. Prawo do życia biologicznego, materialnego, ekonomicznego i duchowego oraz do nienaruszalności „ciała” i „duszy”.
3. Prawo do uporządkowanej miłości własnej, patriotyzmu, pełnej realizacji własnej „osobowości”.
4. Prawo do własnej świadomości, światopoglądu, religii, sposobu życia, cywilizacji.
5. Prawo do wolności, pełnej suwerenności, samowładności, decydowania o sobie zgodnie z własnym rozumieniem dobra, w tym i do stanowienia własnego państwa.
6. Prawo proporcjonalnego dostępu do dóbr ziemskich, zasobów surowców, źródeł energii, żywiołów a także do ochrony przyrody własnej; jeśli indywidualne jest prawo wolności, to wspólne wszystkim narodom winno być również prawo użytkowania.
7. Prawo do pełnego członkostwa w rodzinie narodów, do udziału we władzach międzynarodowych oraz do współgospodarzenia światem i kosmosem.
8. Prawo do miłości w rodzinie ludzkiej, do akceptacji międzynarodowej, dobrego imienia, sławy narodowej i dostępu do theatrum mundi.
9. Prawo do wolnego zrzeszania się z innymi narodami, do wyboru przyjaciół, sprzymierzeńców, w tym szczególnie do zapewnienia sobie bezpieczeństwa, obrony i życia w pokoju.
10. Prawo do własnej tradycji, autoprzekazu narodowego, dziedzictwa ojców, pamięci narodowej.
11. Prawo do korzystania z podstawowych ogólnoludzkich idei, nauki, odkryć, wynalazków, doświadczeń, dóbr kultury, wartości religijnych.

12. Prawo do wnoszenia swego wkładu w powszechne dobro świata, do odrodzenia ludzkości, współtworzenia przyszłości i dążenia do wiecznej chwały.

Kościół narodu

Prymas Wyszyński był chyba najbardziej śmiały i oryginalny w zakresie tworzenia idei narodu jako kategorii eklezjologicznej. Nie zrażając się pomówieniami o religijny nacjonalizm, tworzył – a raczej wydobywał z tradycji polskiej – ideę „Kościoła narodu”. Nie chodzi tu bynajmniej o XVI-wieczną koncepcję Kościoła narodowego, według której nie istniałby Kościół powszechny, a Kościoły lokalne miałyby być podporządkowane instytucji państwa. Według Prymasa jeden i powszechny Kościół chrześcijański ucieleśnia się wielokształtnie w różnych podmiotach: w rodzinie, parafii, diecezji, w narodzie a wreszcie w rodzinie narodów. Dzięki temu naród jest szczególnym miejscem ucieleśnienia się Kościoła powszechnego.

Istnieje zatem prawdziwy i żywy „Kościół nad Wisłą”, Kościół polski, nie tylko „Kościół w Polsce” – to Kościół partykularny, ale z woli Bożej, nie z ustanowienia ludzkiego. Dzięki istnieniu narodów Kościół powszechny nie jest abstrakcją, samą ideą, lecz jest żywy, konkretny, historyczny, zdolny wkraczać w aktualne życie człowieka. Kościół narodu ma szczególnie intensywną samoświadomość, język religijny, komunikację społeczną, zdolność adaptacyjną i siłę działania. Jest on miejscem twórczego spotkania się życia świeckiego z religijnego, historii świeckiej i historii świętej. Ta nowa kategoria eklezjologiczna wydaje się teologicznie poprawna, a przede wszystkim twórcza.

Kościół a naród

Ścisłe biorąc, naród może nie wiązać się z religią i z Kościołem, a Kościół może opierać się na innych społecznościach niż naród, ale taka sytuacja jest bardzo niekorzystna dla obu stron. Według Kardynała, Kościół i naród w optymalnym układzie stanowią diadę, rodzaj małżeństwa – szczęśliwego, płodnego, udoskonalającego obie strony. Oczywiście, żadna ze stron nie może przy tym tracić swej tożsamości. Nie wolno dopuszczać ani do sakralizacji narodu, co byłoby naruszeniem jego autonomii, wewnętrznej wolności i godności stwórczej, ani do nacjonalizacji Kościoła, co byłoby bałwochwalstwem i przekleństwem jego religijnego posłannictwa.

Kościół czerpie pełnymi garściami z bogactwa życia narodu: z jego wartości, idei, talentów, doświadczeń, języka, techniki,

kultury, ducha, sposobu działania. Przede wszystkim zaś naród daje Kościołowi żywe podmioty ludzkie, które są – jak dopowie Jan Paweł II – pierwszą drogą Kościoła.

Prymas jednak pracował raczej nad tym, żeby Kościół więcej dawał narodowi. Mówiąc syntetycznie, Kościół – według niego – ma za zadanie poszerzać horyzonty narodu o idee i wartości, jakie daje chrześcijaństwo: o prawdę, dobro, wolność, sprawiedliwość, świętość, pokój, roztropność, zgodę narodową, pracowitość, ascezę społeczną, wiarę, mądrość,

cierpliwe znoszenie wszelkich trudności, poczucie sensu życia, dążenie do nieśmiertelności...



Oczywiście nie oznacza to jałmużny, ale jest posłannictwem Kościoła, darem Bożym, a ponadto naród może mieć niektóre z tych wartości w porządku natury. Niemniej Kościół udziela niezwyklej pomocy do rozpoznania i większego oddziaływania tych wartości oraz do ich rozwoju: pogłębia samoświadomość narodu, umacnia jedność, poszerza miłość patriotyczną, uwrażliwia sumienie narodowe, pozytywnie kształtuje psychę narodu, łagodzi społeczny lęk i ciężar życia, napawa optymizmem, chroni przed alienacją społeczną, organizuje duchowy czyn narodu, broni wzniosłości osoby ludzkiej, wspiera samowychowanie, prowadzi – jeśli trzeba – do pokuty społecznej, nobilituje tych „najmniejszych”, jacy są w każdym narodzie, a przede wszystkim rozpala nadzieję na ostateczne zwycięstwo dobra. Jest on obecny w narodzie bardziej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka.

Przede wszystkim Kościół nie przestaje przestrzegać, że wszelki grzech jednostkowy i społeczny, kłamstwo, pycha, egoizm, partykularyzm, brak myślenia i czucia razem z narodem, zdrada polityczna, sprzeniewierzenie się moralności, która nie dzieli się na marksistowską i katolicką, lecz jest jedna dla całej ludzkości, a wreszcie wszelka patologia narodowa – wszystko to jest w ostatecznym rozrachunku antynarodowe i zarazem antypaństwowe, gdyż zło godzi w historię narodu i niszczy jego działania. W zgodzie z tym pozostaje również przestroga Prymasa, że żaden



Polak nie może zginąć z racji światopoglądowych, gospodarczych czy politycznych.

Jeszcze raz trzeba podkreślić, że według Prymasa rola Kościoła w narodzie – wbrew obawom – nikogo w niczym nie poniża. Odnosi się to zarówno do wierzących, jak też do niewierzących. Kościół nad nikim nie panuje, nikim nie rządzi, lecz stara się wyłącznie służyć, inspirować, być Bożym apelem, zaczynem ortokreacji narodowej. Nie żąda on żadnych przywilejów, chce tylko, żeby jego służba, która jest dlań zarazem najwyższym zaszczytem, była po prostu możliwa do pełnienia. Kościół jako rzeczywistość zbawienia nie koliduje w żadnym przypadku z właściwie rozumianym dobrem narodu. Wyszyński wprowadził często posługiwał się formułą, że „Kościół jest duszą narodu” lub „sercem narodu”, ale pojęć tych używał w sensie religijno-symbolicznym, żeby podkreślić wielkość daru Bożego. Jeżeli chodzi o stronę ludzką, to nie wahał się przyrównać Kościoła polskiego do „ewangelicznego psa”, liżącego rany narodu, żeby je uleczyć.

Naród a słowo

I wreszcie, prymas Stefan Wyszyński wiązał głęboko naród ze słowem. Słowo, język to środek komunikacji narodowej, ale jeszcze coś więcej. W jakimś sensie język pomaga w ukonstytuowaniu się ducha narodu, wprowadza naród na wyższy poziom bytowania, określa jego życie, personalizuje go. Stąd też płynie ogromne znaczenie słowa religijnego, które nie może być nigdy „związane”, zniewolone, poddane ludzkim ograniczeniom.

Słowo – żywe a także funkcjonujące w nauce, w sztuce, w świadomości – ma, jak się zdaje, coś z mocy narodotwórczej, jak też z ewangelicznej i odnowicielskiej. Toteż służba dobru słowa, ethosowi słowa, jest jedną z najwartościowszych służb narodowi. Kto przyczynia się do rozwoju słowa w jego prawdzie, ethosie i w wymiarze nieskończoności, ten najbardziej wspiera samorealizację narodu na wszystkich poziomach.

Podsumowując stwierdzić należy, że prymas Stefan Wyszyński stworzył oryginalną chrześcijańską wizję narodu, narodu w ogóle i narodu polskiego. Rzec można, poniekąd „odkrył” on naród jako wielkość ludzką i chrześcijańską, ukazując jego godność, chrześcijański wymiar bytowania i takież jego charakter oraz wartości osobowe, dopełniające istnienie jednostek ludzkich oraz rodzin. Przy tym nie jest to w żadnej mierze koncepcja nacjonalistyczna, lecz odkrywanie i ukazywanie sensu istnienia narodu, sensu, który polega ostatecznie na służbie Bogu i osobie człowieka.

KS. CZESŁAW ST. BARTNIK ■

Prymas na Królewskim Trakcie

Jednym z najpiękniejszych i najmądrzejszych warszawskich pomników jest na pewno godna, pełna skupienia, postać Prymasa Tysiąclecia Stefana Kardynała Wyszyńskiego.

Na wspaniałym miejscu przy Krakowskim Przedmieściu, patrzy głęboko w duszę społeczeństwu, wędrującym Królewskim Traktem.

A było tak... Student wydziału rzeźby, Andrzej Renes, szedł Krakowskim, gdy właśnie przejeżdżała z asystą ważna kolumna samochodów z Prymasem i Papieżem. Na moment wzrok młodzieńca skrzyżował się ze spojrzeniem Kardynała. Czy wtedy to się stało, że niedojrzały jeszcze artysta zdecydował się wziąć – jakiś czas potem – udział w konkursie na rzeźbę postaci Prymasa...

Brali w nim udział jego profesorowie z uczelni, dziekan, rektor. I... wygrał ten konkurs ich student Andrzej Renes – rocznik '58. Zaiste wspaniale to musiało być jury, że taką możliwość a potem decyzję podjęło.

Tak było!

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

STEFAN
KARDYNAŁ
WYSZYŃSKI
PRYMAS POLSKI

Na tym brzegu

Fragmenty poematu *Kraje niedalekie*

...Nie zwiedzałem Gandawy i Parmy,
Nie bywałem w Bois de Boulogne.
Pośród ruin Warszawy koszmarnych
Stałem mocno ściskając broń.
Świt styczniowy chłodem przejmował,
Świat był martwy jak w strasznym śnie,
Z ruin snuła się mgła liliowa,
Leciuteńko błękitniał śnieg.
Leżał śnieg, nasiąkając brzaskiem
Niby ranę jęczącą sól.
Zdruzgotane domy warszawskie,
Wypalonych kościołów ból...
Ale najstraszniejszym widokiem
Były okna. Przez każdy mur
Przepływały tysiącem okien
Lodowate kadłuby chmur.
Okna – w krzyku zastygłe usta –
Okna – O!

Okna – A!

Okna – U!...

I dziurawe cienie, i pustka,
I popioły wygasłych tun...
I schylony nad tym popiołem
Przeraźliwie jasno pojąłem,
Co zdarzyło się na tym brzegu,
Gdy za Wisłą, dwa kroki stąd,
Stanął nasz zatrzymany front.
Swojej doli zawsze na przekór,
Tu powstała, by się wyzwolić,
Gniew na bagnety ognisty przekuć,
Najzuchwalsza z zuchwałych stolic.
Polski honor, humor i hurra,
Polskie – wara! wiara, wichura,
Harde miasto podkową padło
Między wojny młot i kowadło.

Lepiej, gorzej, w szczęściu, w nieszczęściu –
Jak kto umiał, cierpliwie żył,
Ale groźna epoka pięścią
Zastukała do białych szyb.
I jak jeden mąż na reducie
Stanął każdy i każda z nich.
Tutaj nie ma odroczeń. Uciec
Przed poborem nie zdoła nikt.

Nigdzie, nigdzie na ma zbawienia
Od śmiertelnych pasji i spraw,
Od żrącego miasto płomienia,
Stratowanych przez czołgi traw.
W rzece most wysadzony leży,
Wież strzelistość runęła w dół.
Z małych chłopców rosną saperzy,
A z dziewczynek – procesje wdów.

Czas człowieka chwyta za gardło,
Każe zmierzyć mu się z pogardą,
W bój posyła i daje prawo
Być do końca dumną Warszawą,
Nieulekłą i nieuleglą,
Swojej doli zawsze na przekór,
Nieugiętą i niepodległą...

To zdarzyło się na tym brzegu.

* * *

...Chwile ciszy – i znów złowrogie
Pełzną dźwięki, miażdżą jak walec.
„Deutschland, Deutschland!...
(Ogień!)

„...über alles!”

„Deutschland...”

(Znowu ogień!)

„...über alles!”

„Deutschland, Deutschland!”
(Ogień i ogień!)

Tylko teraz się, bracie, nie łam!
Inna pieśni, naprzeciw szybuj!
„Jeszcze Polska...”

(Wybuch!)

„...nie zginęła!”

„Jeszcze...”

(Znowu wybuch!)

„...nie zginęła!”

„Nie zginęła!...”

(Wybuch i wybuch!)

W zębach tynk skrzypi mdło i gorzko.
Już na szarpie nie starczy koszul.
Artyleria zamilkła. Atak.
Dom bez węgla znienacka ożył,
Klon rozdarty, rozbity skład.
Grad pocisków – odłamki szkła.
I znów cisza grobowa zapada.
Życ się nie chce, lecz chce się pić.
Serca ból powściągnij i nieład!
„Jeszcze Polska...”

(Wybuch!)

„...nie zginęła!”

„Jeszcze...”

(Znowu wybuch!)

„...nie zginęła!”

Artyleria zamilkła. Pełzną.
Niczym żmije zielone pełzną
Przez tę nagłą ciszę potworną.

Teraz zerwać by się do biegu!
Wszystko widzę. Stoję. Nie wolno...

To zdarzyło się na tym brzegu.

DAWID SAMOJŁOW

Tłum. Wiktor Woroszyński

Rocznica

Do wiersza Dawida Samojłowa
„Na tym brzegu”

*mija kolejna rocznica
wciąż wspominam ten zryw niepodległy
pierwszego sierpnia – godzina W
rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty*

*w ów czas historycznych zdarzeń
w kolejną rocznicę minionych lat
czytam wiersz rosyjskiego żołnierza-poety
który zaczyna się tak:*

*...Nie zwiedzałem Gandawy i Parmy.
Nie bywałem w Bois de Boulogne.
Pośród ruin Warszawy koszmarnych
Stałem, mocno ściskając broń...*

*– w tamten czas mroczniały cienie
pustka ruin
i grozą ścieliły się złą
to milczenie ucichłych strzałów
i ten biały
w błękitnym odcieniu wszędzie śnieg
i wszechobecny spalenizny swąd...
wtedy
wprost syberyjski ścisnął mróz
jaki nadszedł wraz z armią ze wschodu
która do Wisły nadeszła
i musiała stać
bo taki był rozkaz dowództwa –*

*jakże bardzo odmienił się świat
jakże bardzo
– czy aby na lepsze...*

ZBIGNIEW MAJEWSKI

Co Europa zawdzięcza Powstańcom Warszawskim...

Z olbrzymim wzruszeniem wysłuchałem tych syren, które miały uczcić pamięć 77. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego*. [...] Wiem, że chociaż upłynęło tyle czasu, to dla nas, pamięć o Powstaniu jest ciągle bardzo droga, leży nam na sercu.

Jeden element jest dla nas szalenie przykry, wspominał o nim pan wiceprezydent [Gdańska] mówiąc o liczbie ofiar [16 tys. poległych żołnierzy, i co najmniej 150 tys. cywilów zamordowanych w masowych egzekucjach, spalonych żywcem w piwnicach i przysypanych gruzem podczas bombardowań – z wypowiedzi Piotra Borawskiego, zastępcy prezydenta Gdańska – przyp. red.] to są tylko najniższe dane. Są i tacy, którzy szacują je na [...] ponad 200 tysięcy zamordowanych. A przecież trzeba jeszcze pamiętać o 700 tysiącach warszawiaków, którzy zostali wypędzeni z miasta po 63. dniach walk Powstańczej Warszawy.

W moim sercu wciąż jest pamięć o tych wszystkich, którzy zginęli [...]; wszyscy byli młodzi, dopiero życie przed nimi było: mieli i po trzynaście, i po piętnaście, a najwięcej po dwadzieścia parę lat. Dali ofiarę swego życia i chociaż ciągle są dyskusje wśród historyków i polityków, czy Powstanie było potrzebne, czy było celowe [...], to uważam, że uratowało nas od skomunizowania kraju w takim stopniu, w jakim były skomunizowane inne kraje tzw. demoludów. Myślę także, że Powstanie Warszawskie przez to, że Stalin zatrzymał na przeszło trzy miesiące swoją ofensywę na Zachód, uratowało od komunizmu wiele krajów Europy Środkowej i Zachodniej. Uratowało przede



Prof. Jerzy Grzywacz FOT. © GRZEGORZ MEHRING / GDANSK.PL

wszystkim Niemcy, gdyż front zachodni mógł w tym czasie postępować naprzód i zajmować część Niemiec. Europa Zachodnia Powstaniu Warszawskiemu zawdzięcza wiele swej wolności. Niestety, myślę, że oni [...] nie mają tej świadomości...

Jest naszym historycznym dramatem, że my, walcząc za „naszą i waszą wolność”, nie otrzymaliśmy jej w zamian od naszych sojuszników, bo przecież jasno trzeba powiedzieć, że w okresie Powstania Warszaw-

skiego mieliśmy dwóch przeciwników, nie tylko Niemcy hitlerowskie, ale również Związek Radziecki ze Stalinem na czele.

JERZY GRZYWACZ ■

* Wypowiedź prof. Jerzego Grzywacza ps. „Tapir”, żołnierza Armii Krajowej, prezesa oddziału Morskiego Stowarzyszenia Szarych Szeregów oraz prezesa Okręgu Pomorskiego Światowego Związku Żołnierzy AK, podczas gdańskich obchodów 77. rocznicy Powstania Warszawskiego, 1 sierpnia 2021 roku.



FOT. © ANDRZEJ BANAS

Z Nieba chyba...

**Z Wiesławem Budzyńskim
– autorem książek
o Krzysztofie Kamilu
Baczyńskim rozmawia
Jerzy Biernacki.**

JERZY BIERNACKI: W niedawnej rozmowie ze mną zrobił Pan trafną uwagę, że w Polsce brak jest prawdziwych biografów i nie wytworzył się typ czy rodzaj takiego piśmiennictwa na podobną skalę jak we Francji, Anglii czy nawet Rosji. Czy pisząc swoje książki o Brunonie Schulzu i Krzysztofie Kamilu Baczyńskim myślał Pan o tym, by ten mankament polskiej literatury faktu – bo przecież biografia to literatura faktu – jakoś zacząć usuwać?

WIESŁAW BUDZYŃSKI: Ja w ogóle na początku nie myślałem o pisaniu książki. Pracowałem wówczas – to był 1979 rok – jako dziennikarz w pewnej gazecie, której nazwę pominę i pisałem różne teksty. Gazeta ta była przeznaczona dla młodych czytelników i chętnie widziano teksty na różne, interesujące tematy. Po pierwszym moim tekście o Baczyńskim zaczęli się do mnie zgłaszać ludzie z pokolenia wojennego i zacząłem z nimi rozmawiać. Na razie miałem z tym pewne trudności, gdyż byłem wtedy młodszy o pokolenie i nie

miałem tego rodzaju doświadczeń. Nigdy nie zdarzyło się jednak, by ktoś – po opublikowaniu tekstu – miał do mnie jakieś pretensje lub był niezadowolony.

Pierwszym takim istotnym epizodem były okoliczności śmierci Baczyńskiego, ponieważ były dwie wersje tej śmierci, zupełnie rozbieżne. Jedna mówiła, że zginął w pałacu Blanka, druga, że w wieży ratuszowej. Ci ludzie, z którymi rozmawiałem, byli w czasie Powstania Warszawskiego w ratuszu, to był oddział Barrego, i oni wcześniej Baczyńskiego nie znali. Wśród nich zwolennicy jednej i drugiej wersji byli tak pewni swego, że o mało się nie pobili. Postanowiłem to rozstrzygnąć i przeprowadziłem prawdziwie prokuratorskie śledztwo w tej sprawie. W ciągu następnych miesięcy i lat przepytalem coś około 200 osób, które przewinęły się przez ratusz.

I udało się Panu rozstrzygnąć, która wersja jest prawdziwa...

Tak, ale po drodze naraziłem się komuś, bo były osoby, które uważały, że wszystko już wiadomo, że nie ma czego badać. Takiego zdania była pani Aniela Kmita-Piorunowa, siostra cioteczna poety. Ona przeżyła wojnę, ale bardzo mało wiedziała o tych sprawach i negowała potrzebę jakichkolwiek nowych informacji. Miała duże zasługi jako współwydawczyni z prof. Kazimierzem Wyką jego Utworów zebranych w 1961 roku.

Potem były następne wydania. Podobnego zdania był Kazimierz Wyka, który napisał to i powtórzył wielokrotnie, że wszystkie sprawy biograficzne są już wyjaśnione i nie ma czego badać. Wyka miał wielkie zasługi, jeśli chodzi o poezję Baczyńskiego i cieszył się dużym autorytetem naukowym. Uczyniło to szkodę badaniom biograficznym dotyczącym poety, bo wielu ludzi uwierzyło profesorowi i mówili to samo, co on. Tak więc rozpoczynając swoją pracę nad Baczyńskim, w 1979 roku, a więc pięć lat po śmierci Wyki, sporo ryzykowałem.

Okoliczności śmierci poety były tylko jedną z tych spraw niewyjaśnionych. Nieznana była data chrztu Baczyńskiego. Nikt nie zapytał pani Stefanii Baczyńskiej – żyła do 1953 roku – o podstawowe rzeczy. Nie nie wiadomo na przykład – ja też już nie mogłem niczego ustalić – o rodzicach pani Stefanii – Zieleńczykach. Przepadły nawet zdjęcia.

Zastępca redaktora naczelnego gazety, w której pracowałem – *notabene* o nazwisku Mickiewicz – też mnie zagadnął, czy nie za dużo już tego Baczyńskiego i może podsunął mu to ktoś z KC czy w ogóle z kręgów władzy. Moje teksty były aprobowane w redakcji, niekiedy szły na pierwszą stronę gazety.

Ciąg dalszy na s. 14 ►

► **Ciąg dalszy ze s. 13**

A gdzie i kiedy zapoznał się Pan z poezją Baczyńskiego?

Studiowałem ekonomię, ale ciągnęło mnie do literatury, do pisania, może miałem to po ojcu, który za komunę pisał sprytne, skuteczne podania ludziom, bo wtedy o wszystko trzeba było składać podania. Poza tym byłem kierownikiem klubu studenckiego, ciągnęło mnie do spraw kulturalnych i w takim dziale pracowałem w gazecie. Muszę się jeszcze cofnąć do początku.

Kiedyś jako dziennikarz znalazłem się w klubie Hybrydy, już po ich przeniesieniu na Złotą. Pewnie dostałem zaproszenie, a był to wieczór poświęcony Baczyńskiemu. Chciałem zadać jakieś pytania i wybrałem pana Deczkowskiego, dowódcę Baczyńskiego w „Zośce”, obecnego na tym spotkaniu. I dobrze, że wybrałem Deczkowskiego. Zapytałem go bowiem, czy są, czy żyją jeszcze jacyś ludzie, którzy znali poetę i mieliby o nim coś istotnego do powiedzenia. Deczkowski – człowiek łagodny i spokojny – niemal wykrzyknął: „Ależ tak, żyją koledzy Baczyńskiego!”. Właściwie od Deczkowskiego się to wszystko zaczęło.

Byliśmy też z Deczkowskim w 1980 roku na Koszykowej 6, w dawnej katowni ubeckiej, gdzie był on przed laty przesłuchiwany na czwartym piętrze – skazany później, prawie cztery lata przepracował w kamieniołomach – i pokazał mi sprytnie pobudowane czy przebudowane ściany, o takiej akustyce, że w drugim pokoju przez nie słychać było głos rozmawiających ze sobą przesłuchiowanych, bez urządzeń podsłuchowych. Można było się przekonać, że ściany rzeczywiście mają uszy. Ale to dygresja. Zaprzyjaźniłem się z panem Juliuszem Bogdanem Deczkowskim, a koledzy z ratusza i pałacu Blanka, których przepytywałem, przekazywali mnie sobie, uważając, że ze mną warto rozmawiać.

Rozumiem, że interesowały Pana tajemnice biograficzne i połąknał Pan haczyk...

To nie był tylko haczyk czy bakcyl, to było coś dziwnego. Ja uważam, że zmarli mogą mieć wpływ na życie bieżące. Tak jak mogą na nie wpływać święci, niekoniecznie ci uznani za świętych przez Kościół. Jeśli chodzi o świętych to mamy nawet pewne dowody, uzdrowienia itp.

Uważam Krzysztofa Kamila Baczyńskiego za człowieka nie tylko szlachetnego, ale wręcz rycerskiego. Proszę zauważyć, że w jego poezji bardzo często występuje postać rycerza. Tego nie ma w ogóle u innych poetów jego pokolenia. Taki szlachetny rycerz jest kimś, kto definiuje przeszłość Polski. Anglicy, Francuzi, Hi-

szpanie, wszyscy oni mają jakieś zbrodnie na sumieniu. I tutaj Baczyński się wybija w poezji polskiej, właśnie tą szlachetnością, dlatego swojej nowej książce nadałem tytuł *Baczyński uszlachetnia*. Bo po tych ponad czterdziestu latach moich badań doszedłem do takiej syntezy: ta poezja jest szlachetna.

Około 50 wierszy Baczyńskiego, w których też pojawia się rycerz, mobilizuje do walki. Dlatego ja mówię, że Baczyński jest poetą odważnym. Proszę sobie wyobrazić, że w jakimś tekście to napisałem, że był poetą odważnym i szanowni redaktorzy to wyrzucili. Poeta nie może być odważny w potocznym rozumieniu. Gdyby gestapo trafiło na te wiersze, to Baczyński nie wyszedłby żywy. Tak jak zginął Tadeusz Hollender czy mało znany dziś Marcin Sarna. To bardzo dobry poeta, a gestapo zwróciło uwagę na jego tłumaczenia – bo to był poliglota, znał biegle siedem języków i coś tłumaczył – i uznało, że to są teksty szpiegowskie. Poświęciłem mu rozdział w książce *Świątynia przodków*. Przepadły jego wiersze, ale wiemy, że Baczyński go wyróżniał. To o czymś świadczy.

Pana książki poświęcone życiu, „miłości i śmierci Krzysztofa Kamila”, wyróżniają się zdumiewającą drobiazgowością, a w opisie śmierci poety uwzględnił Pan nawet te alternatywne wersje zdarzenia i poprzedzające je okoliczności. Skąd taka nadzwyczajna szczegółowość opowieści?

Musiałem być dokładny, bo żyli ludzie, z którymi rozmawiałem, był to rodzaj zobowiązania. Ale ta drobiazgowość leży też chyba w mojej naturze. Uczył mnie Krzysztof Kąkolewski, mój nauczyciel – chodziłem na jego seminarium – że nie wolno żadnego szczegółu lekceważyć. I ja tego doświadczyłem. Nieraz z jakiegoś szczegółu, podanego na marginesie, wychodziła duża sprawa. Kąkolewski uczył mnie też wyobraźni i czytania zdjęć. Kiedyś przyniosłem mu zdjęcie, na którym był Baczyński i jeszcze kilkanaście osób. Jak zaczął mi opowiadać o tych ludziach, to było coś niesamowitego. Po raz pierwszy w życiu słyszałem, że tyle można ze zdjęcia wyczytać.

Skrupulatności i rzetelności nauczył mnie też Jerzy Ficowski. I ostrości w tym wszystkim, czyli wyrazistości, bo w biografii nie może być takiej naukowej mydlkowości, jak ja to nazywam. To jest ważne także dla czytelnika. Chodzi o to, by czytał on książkę dzień i noc bez przerwy. Ficowski był jako poeta niezwykle wrażliwy na słowo. Nawet w potocznej rozmowie zwracał mi uwagę, że coś, nie tak jak trzeba, powiedziałem. Kąkolewski uważał mnie za swego ucznia, na spotkaniach zawsze wymieniał mnie i Joannę Siedlecką, a cza-

sem też Barbarę Wachowicz, ale ona była starsza od nas.

Podczas odsłonięcia tablicy poświęconej Wańkowiczowi, Kąkolewski powiedział coś takiego – niektórzy nazywają mnie uczniem Wańkowicza, ale ja nim nie jestem, tu stoi uczeń Wańkowicza – i wskazał na mnie. Pana Melchiora nie znałem, raz go może w życiu widziałem, ale robiłem po swojemu to, co robił Wańkowicz.

Teraz mam pytanie, że tak powiem, troszeczkę niebezpieczne. W jednej ze swych książek o Baczyńskim, niejako by the way, przytacza Pan czyjeś opinie, mówiące o tym, że powstańcy znajdujący się w pokoju z owym „oknem śmierci” poety, w jakiś sposób lekceważyli niebezpieczeństwo bycia trafionym przez snajpera. Zbliżali się do tego okna, patrzyli przez nie, nawet siadali na parapecie. Czy śmierć poety nie była przypadkiem rezultatem takiej lekkomyślności? I czy wiadomo Panu, by Baczyński był jedyną ofiarą snajperskich strzałów w pałacu Blanka?

Ja bym tego nie nazywał lekkomyślnością. Oni po prostu nie spodziewali się tego, żeby ktoś strzelał z najbliższego budynku przy ulicy Focha (obecnie Mollera), tak mocno z ukosa. To było z bliska. Snajperzy wstrzeliwali się w okna, gdy tylko poruszyła się firanka. W pałacu Blanka, który służył przedtem za siedzibę niemieckiego burmistrza, były w oknach firanki. Tak że tego nie można nazwać lekceważeniem niebezpieczeństwa. Oni tam w środku, kiedy nie było strzelaniny, chodzili, przemierzali się, rozmawiali. Normalnie. A tego „gołębiarza” zresztą inna grupa z ratusza złapała i najpewniej rozstrzelali go. On musiał przedostać się do tej kamienicy przy Focha, po dachach.

Nic nie wiem o tym, by ktoś jeszcze zginął w podobny sposób. Natomiast udało mi się ustalić, kto zginął na wieży, a mówiono, że to Baczyński tam zginął. Muszę dodać, że z tego powodu napisałem książkę *Testament Krzysztofa Kamila*, która miała tylko jedno wydanie w 1998 roku i tam jest wiele rzeczy, których nie ma w *Miłości i śmierci Krzysztofa Kamila*. Notabene ta ostatnia miała pięć wydań, i to piąte wydanie było rozszerzone i uzupełnione o około 100 stron maszynopisu.

W książkach o Baczyńskim przywiązuje Pan wielką wagę do ówczesnej warszawskiej topografii. Do miejsc zamieszkania poety i jego rodziców, a potem już tylko matki. Bagatela i 100-metrowe mieszkanie przy tej ulicy, to miejsce i warunki ekskluzywne. W czasie okupacji była to dzielnica niemiecka. Adres przy Tadeusza Hołówni – choć to kamienica z charakterem – to właściwie peryferie tamtej Warszawy. Czy te miejsca coś mówią o statusie społecznym rodziny i o jego zmianach?

Baczyńscy nigdy nie mieli własnego mieszkania. Była to skromna, inteligencka rodzina utrzymująca się z pióra, nie pochodzili z majątnych rodzin, nie mieli jakiegoś zaplecza finansowego. Stanisław był krytykiem literackim, a Stefania nauczycielką i miała też na swym koncie jakieś próby literackie. Mieszkanie na Bagateli, objęte w 1912 roku, to, w którym później urodził się poeta, było wybrane zapewne nieprzypadkowo. Stanisław był już zaangażowany w walkę niepodległościową i z jakichś względów wybrał to miejsce niedaleko Belwederu. Stanisław był pierwszym w rodzinie, który znalazł się w stolicy. Mieszkanie w kamienicy przy ulicy Tadeusza Hołówni 3 też wybrane zostało celowo. Mieszkało tam sporo inteligencji i wojska.

Dom ten został zbudowany na początku lat 30. jako, taka bardzo nowoczesna kamienica. Były tam szerokie schody, duże okna, mieszkania też duże, niektóre nawet po 140 metrów.

Mieszkało tam wielu oficerów. Niedaleko był pułk szwoleżerów i oficerowie tego pułku wynajmowali tam lokale. Tej kamienicy poświęciłem książkę *Dom Baczyńskiego*. Dlaczego się na to zdecydowałem? Ja tam się wprowadziłem, nie wiem, czy pan wie? Chciałem zobaczyć, czy chodząc po tym domu, można się czegoś jeszcze dowiedzieć o jego mieszkańcach. Dawnych lokatorów tam prawie nie było, bo jak wrócili po wojnie, to ich mieszkania były już zajęte przez nowych lokatorów. Do mieszkania Baczyńskiego wprowadził się szewc. On wprawdzie zaraz po wojnie powiedział, że jak pani Stefania chce się wprowadzić, to razem zamieszkają. Ale do tego nie doszło. I tak prawowici mieszkańcy zostali bez mieszkań.

Chodząc po tym domu, trafiłem na nazwisko Korompay, Emanuel Korompay; pewna mieszkanka domu na Hołówni – ale wtedy mieszkała już na Pradze – powiedziała mi, że był to polski oficer węgierskiego pochodzenia, który zginął w Katyniu. Węgier, który po pierwszej wojnie był w twierdzy w Przemyślu i ożenił się z Polką. Otóż – to będzie ważne, co teraz powiem – szukając dawnych prawowitych mieszkańców w Warszawie i w Polsce, znalazłem w Szczecinie córkę Korompay, sprowadziłem ją do Warszawy i ona opowiedziała mi o ojcu.



Krzysztof Kamil Baczyński, przełom 1943/1944

FOT. ZE ZBIORÓW W. BUDZYŃSKIEGO

Potem z mojej inicjatywy umieściliśmy tam tablicę poświęconą Korompayowi. Zrobiliśmy to razem ze Stefanem Melakiem, z którym współpracowałem w Komitecie Katyńskim. I co się okazało? Otóż ustaliłem, że na liście katyńskiej są nazwiska siedemnastu oficerów z tego domu! Takiego drugiego domu w Polsce nie ma, żeby siedemnastu jego mieszkańców znalazło się na liście katyńskiej. Nie było łatwo to ustalić, bo na tej liście są różne dane, ale brak informacji o miejscu zamieszkania. Potem dotarłem do wielu rodzin tych oficerów, ale nie do wszystkich, bo nie miałem często żadnych danych. Ci ludzie nie wrócili do swojego domu we wrześniu czy październiku 1939 roku; dzieci, żony, matki, siostry czekały na swych ojców, mężów, synów i braci. Potem, w kwietniu 1943 roku, gdy Niemcy ogłosili tę listę – był płacz. Ta atmosfera, ponura na Hołówni i Baczyński, który w niej żył... To się na pewno odcisnęło na jego poezji. On przecież rozmawiał z sąsiadami, widział ten ogólny płacz w tak wielu rodzinach, czuł tę mroczną atmosferę. Ta zbrodnia odcisnęła się szczególnym piętnem na mieszkańcach tego domu. I ta jego poezja...

Niemal wszystko, co napisał, jest związane z tym adresem. Czyli ta poezja nie powstawała z przypadku. Baczyński w tym był, był przecież w konspiracji, żył w po-

czuciu notorycznego zagrożenia. Proszę sobie wyobrazić, że ta kamienica, to był bardzo bezpieczny dom. Na przykład Niemcy bali się tam w ogóle wchodzić. Tam jest tylko jedno wejście przez bramę na podwórze, naprzeciwko jest mur, jak tam wszedł, to już nie wyszedł. Dlatego tam nie było żadnych aresztowań. W mieszkaniu Baczyńskiego była skrytka konspiracyjna, gdzie trzymano broń. Wprowadziłem się do tego domu, żeby czegoś nie pominąć. Żeby sprawdzić wszystko do końca.

W Pańskich książkach o poecie niemal nieobecne są jego wiersze. Owszem, mówi się o tym, że je pisze, kilkakrotnie chyba przytaczane są słowa porównujące go do Słowackiego, czy może zrównujące talenty poetyckie ich obu. Nie pokusił się Pan, pisząc biografię, o jakieś powiązanie jej, czy jej pewnych szczególnych momentów, z utworami poety. Dlaczego? Jest to przecież zapewne możliwe i byłoby bardzo ciekawe.

Postanowiłem skupić się na samej biografii, na jej istotnych momentach. Inaczej niż przy pracy nad Schulzem. Chciałem

poezję Baczyńskiego pozostawić jej czytelnikom. Wiersze te są dokumentacją, kroniką tamtego czasu. A ja nie chcę nikomu niczego narzucać. Bo pisząc biografie, mógłbym przecież wskazywać wiersze i ich powiązanie z okolicznościami życia. Ale nie chciałem tego robić.

Czy pamięta Pan, co napisał o poezji Baczyńskiego Krzysztof Kąkolewski? Przypomnę: „Natężenie czarno-szarej barwy w jego poezji jest nie do zniesienia, tak prawie, że nie można jej czytać. Kartki jego poezji wydają się zaczerniałe, zbrązowiełe jak nadpalone, a rogi ubrudzone czymś czerwonym”. Czy Pan się zgadza z tą oceną? Jak Pan odbiera tę poezję?

Kąkolewski napisał to wiele lat temu, na początku lat 90. Teraz to się już zdezaktualizowało. Inaczej na to patrzymy. Patrzymy dzisiaj na powstańców jako na bohaterów. Nas to nie paraliżuje. Myślę, że pokolenie Kąkolewskiego było tym wszystkim przez propagandę sparaliżowane. My już jesteśmy oswojeni z tą wojną. Dużo więcej o niej wiemy. Poza tym Kąkolewski po trosze robił ze mnie męczennika, pisząc o tym, że byłem prześladowany. Proszę sobie wyobrazić, że ja, pracując w oficjalnej gazecie, działałem równocześnie od lat 70. w Komitecie Katyńskim. To mi dawało większą pewność siebie.

Ciąg dalszy na s. 16 ►

► Ciąg dalszy ze s. 15

Wiedziałem, z kim się walczy i o co się walczy. Miałem na przykład w moim redakcyjnym biurku cały plik legitymacji KPN-u, gdyby to odkryli, pomyśleliby, że ja jestem jakąś ważną postacią w KPN-ie i miałbym poważne kłopoty.

Przyna Pan, że – przy niezwykle pięknie jego metafor i porównań – każdy wiersz jest konstruktem, dość zawiłym, składającym się ze spiętrzenia owych metafor i porównań, mocno działających na wyobraźnię odbiorcy, ale które niejako przesłaniają treść całego utworu i jego wymowę czy przesłanie. Czasami trudno je w ogóle wyłowić.

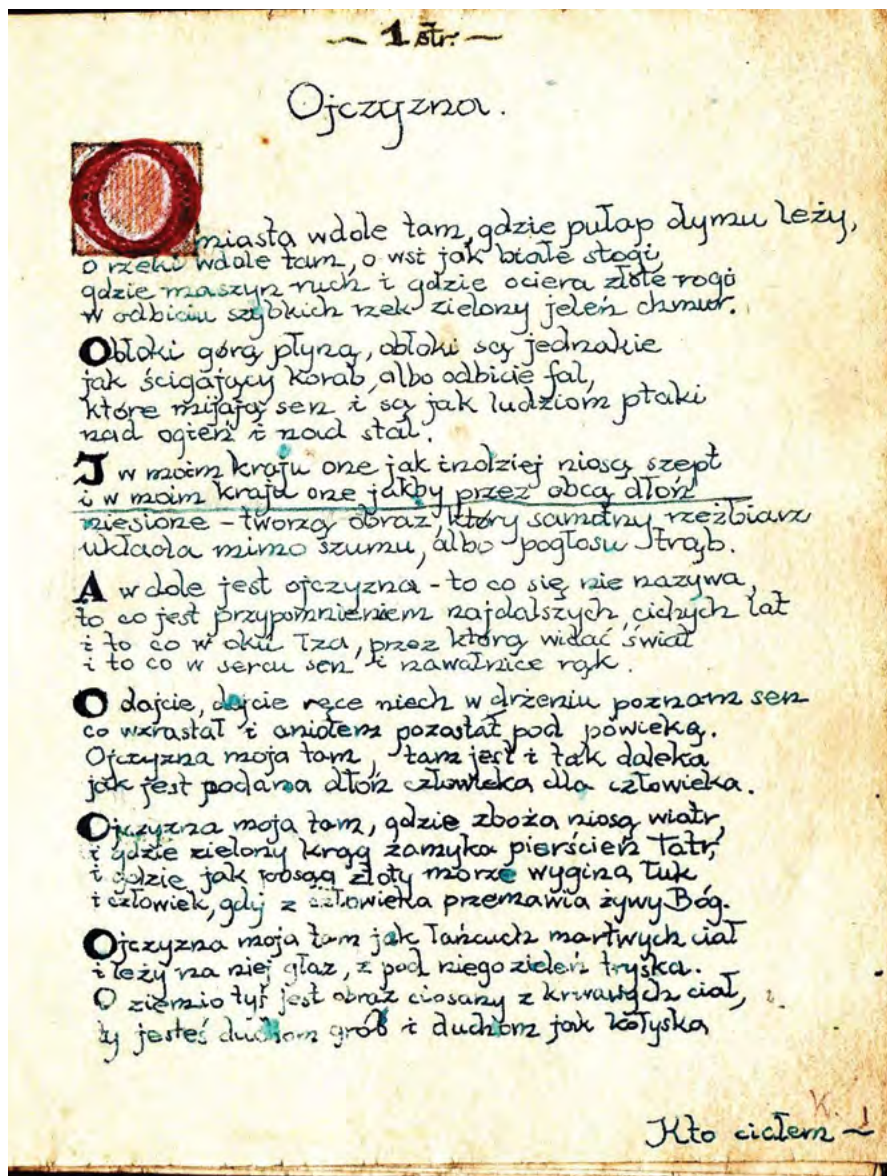
To jest trudna poezja, niewątpliwie. Szczególnie trudna była dla pokolenia Baczyńskiego. Oni jej nie rozumieli. Jego poezja stała się bardziej dostępna dla następnego pokolenia i dalszych. W jego wierszach jest dużo filozofii, są także odniesienia astronomiczne, których nie ma we współczesnej poezji.

Baczyński pod względem języka, metaforyki, wręcz wymyślnej, daje się rzeczywiście porównać ze Słowackim. Ale w jego twórczości w gruncie rzeczy więcej jest wpływu Norwida. Co także można odczytać w prozie jego opowiadań.

Kiedy myślę o poezji Krzysztofa Kamila, to wyobrażam sobie, że taki poeta jak on pojawia się raz na sto czy sto pięćdziesiąt lat. I myślę, że tak jak dawniej czekaliśmy na drugiego Słowackiego, tak teraz czekamy na drugiego Baczyńskiego. Może Przemysław byłby takim drugim Baczyńskim... W każdym razie przyjęło się nazywać Baczyńskiego drugim Słowackim, nie tylko z powodu bogactwa języka i środków poetyckiego wyrazu, ale i dlatego, że to był romantyk, ostatni romantyk. Jak wiadomo romantyzm nie skończył się w 1. połowie XIX wieku, tylko stale odżywa w poezji i postawie młodych ludzi.

Kąkolewski uważał, że dokonał Pan (co najmniej) dwóch odkryć. Chodzi o „wizytę” z UB w mieszkaniu poety, którego chcieli z pewnością aresztować. I o kulisach wprowadzenia słowa Kolumbowie (rocznik '20) w pamiętnej książce Bratnego na określenie młodych powstańców, po to, by nie używać tego szlachetnego wyrazu. Czy może Pan przybliżyć nam te sprawy?

Zacznę od tej próby aresztowania Baczyńskiego w pięć lat po jego śmierci. Miałem dobry kontakt ze Zbigniewem Drapeczyńskim, bratem Barbary, żony Baczyńskiego. Wtajemniczał mnie on w sprawy rodzinne. To była rodzina drukarzy, oni mieli trzy drukarnie w Warszawie. Prowadzili też drukarnię w czasie okupacji przy ulicy Pięknej. Drukowali



Fragment wiersza *Ojczyzna*; rękopis wiersza z tomiku *Wiosna*, 1942 FOT. ZE ZBIORÓW W. BUDZYŃSKIEGO

dla Niemców, ale też dla AK, a Baczyński drukował tam swoje tomiki, sam je składając. I to się nawet częściowo zachowało. Zbigniew Drapeczyński był cywilnym pracownikiem wojska, prawnikiem. On mi powiedział w ten sposób: „Ja panu teraz coś powiem, ale proszę tego nie publikować, póki ja żyję”.

Pół roku później zmarł. To był rok 1981 i minęło dziesięć lat, zanim mogłem to, co on mi powiedział, wydrukować. Opowiedział, jak to było. Ubęcy przyszli do domu teściów, w 1949 roku. Tak samo na początku wojny przyszło do domu gestapo, żeby aresztować ojca poety, który już nie żył. Teraz po syna przyszli ich następcy, czyli bolszewicy. To było tak, że UB aresztowało wszystkich z batalionów „Zośki” i „Parasola”, którzy przeżyli. Wszystkich. I oni mieli donos, albo prowadzili śledztwo, że Baczyński żyje, tylko się ukrywa. I musiała być wiadomość, że właśnie jest u Drapeczyńskich na Solcu.

A ja myślałem, że przyszli do matki...

Nie, nie, owszem takie skandaliczne twierdzenia są nawet w poważnych, zdawałoby się, mediach. Przyszli do teściów; Zbigniew Drapeczyński był przy tym i od niego to wiem. A więc aresztowali wszystkich z tych oddziałów – o Deczkowskim i jego czteroletnim pobycie w kamieniołomach już mówiłem. Baczyński by tego nie przeżył. Zwłaszcza w kamieniołomie, z tą astmą i w ogóle.

To mi przypomina podobną historię z Ossendowskim. On zmarł w 1945 roku i został pochowany w Milanówku. Przyszli enkawudysty, w nocy, wyciągnęli z łóżka dentystę, który leczył zęby Ossendowskiemu, zawieźli go na cmentarz i kazali mu dokonać identyfikacji na podstawie stanu uzębienia, świecąc latarkami. On potwierdził, że to Ossendowski i dopiero wtedy dali spokój, tacy byli zawzięci.

Nie wiedziałem o tym, ale się nie dziwię, on się mocno im naraził, pisząc prawdę o Leninie i nie tylko. Wracając do naszego tematu – te aresztowania były dlatego, że ubęcy obawiali się powstańców.

Sprawa „Anody” – Jana Rodowicza. On spotykał się z kolegami, robił różne spisy dla upamiętnienia ich walki, a oni byli pewni, że montuje nową spiskową grupę, przeciwko władzy ludowej. To byli żołnierze po podchorążówce, potrafili robić i podkładać bomby, byli szkoleni do walki. Dlatego byli groźni. Natomiast propaganda PRL przedstawiała ich jako gówniarzy, jako chłopców. Ot jacyś tam harcerze, poszli walczyć. Chciano ich zlekceważyć, a w gruncie rzeczy było inaczej.

Kazimierz Wyka w swoich tekstach o Baczyńskim nigdy nie nazywa go żołnierzem AK. Udzieliłem kiedyś wywiadu krakowskiemu „Dziennikowi Polskiemu”, była autoryzacja, zaaprobowałem tekst, wszystko było w porządku, tymczasem redakcja dodała lead, w którym Baczyński występuje jako chłopiec. Dwudziesto-trzyletni, dojrzały mężczyzna, żonaty, na pewno nie chłopiec. Powiedział mi Bohdan Tomaszewski, że dawniej do piętnastoletniego młodzieńca nie mówiło się „chłopiec”, „chłopce” itp., mówiło się „panie kawalerze”. Mamy w Polsce całą formację wojskową, wywodzącą się od kawalerów – kawalerię. Co do Kolumbów, nie wiem, czy Bratny wymyślił to sam, czy ktoś mu to podsunął, w każdym razie chodziło o to, żeby nie mówić „pokolenie AK”.

Możliwe, że mu to podsunęto. Pamięta Pan, jak się mówi o Popiele i diamentcie Jerzego Andrzejewskiego, notabene jednego z największych przyjaciół Baczyńskiego? Że ludzie Bermana, albo on sam, przyniósł mu temat na tacy. I wtedy powstała ta „świetna, drańska książka” (Zawieyski).

To możliwe, że z Bratnym było podobnie, ale tego, jak już mówiłem, nie wiem. Zastanówmy się jednak, co to za Kolumbowie, czy oni coś odkrywali – nie. To weszło tak w obieg, że nawet sami powstańcy i poważne osoby używają tego określenia. Bez sensu.

Poezja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego jest zbyt mało obecna w przestrzeni obecnego życia kulturalnego. Książki Lesława Bartelskiego i tom wspomnień zredagowany przez Zbigniewa Wasilewskiego pt. *Żołnierz, poeta, czasu kurz...* oraz *Wiersze zebrane* w opracowaniu Anieli Kmity-Piorunowej i Kazimierza Wyki z roku 1961 (i następne wydania) – to jednak przeszłość. W wolnej Polsce nie ma przełomu, jeśli nie liczyć Pana książek, ale to książki biograficzne. Brak popularnych, zaopatrzonych w kompetentne przedmowy i przypisy wydań wyborów wierszy poety, dokonanych pod określonym kątem. Przecież on napisał ich około tysiąca! Co, Pana zdaniem, należałoby uczynić dla spopularyzowania Poety i jego twórczości?

Myślę, że nie jest aż tak źle. Wprost przeciwnie, przecież poezje Baczyńskiego uka-

zały się w większym nakładzie niż wiersze Mickiewicza jeszcze w czasach PRL-u. To był oszałamiający sukces. Straciłem orientację w latach 90., bo wydawnictwa przestały podawać wysokość nakładu. Ale jedno z wydań, zaraz po 90. roku, miało 200 tysięcy nakładu. To my mamy takie wrażenie, że jego poezji nie widać, ale to nieprawda. Szkoły imienia Baczyńskiego idą zaraz po Janie Pawle II, jest ich bardzo dużo. Spopularyzowała tę poezję Ewa Demarczyk śpiewając kilka spośród tych wierszy. Po '56 roku nastąpiła swoista eksplozja wydań i popularności Baczyńskiego. Teraz, jak obserwuję kolejne pokolenia, widzę, że zainteresowanie Baczyńskim utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie.

A czy Pan po wydaniach swoich książek miał spotkania z czytelnikami?

Setki! Nie mogłem się opędzić od zaproszeń. W pewnej chwili nawet musiałem zmienić numer telefonu, żeby uniknąć tego natłoku zaproszeń. To też świadczy o popularności Baczyńskiego.

Ja jednak upieram się, że jest potrzeba nowych wydań takich wyborów rozumowanych jego wierszy. Wspomniał Pan już o nowej swojej książce o poecie. Proszę w paru słowach powiedzieć, co Pan przygotował.

Książka nazywa się *Baczyński uszlachetnia* i jest podsumowaniem obcowania przez 45 lat z tą postacią. Na pewno byłbym innym człowiekiem, gdybym się nie zajął Baczyńskim. Są tam też nowe rzeczy dotyczące jego biografii, nowe zdjęcia, między innymi zdjęcie jego dziadka, powstańca styczniowego, po raz pierwszy publikowane. Zostały znalezione dokumenty z przeszłości, świadectwo ślubu rodziców Krzysztofa, pisane cyrylicą i inne.

Jeszcze wyjaśnię ten tytuł. Te dwa słowa, „Baczyński uszlachetnia”, to jest synteza całej mojej pracy, w pewnym sensie jest to mój testament. Jest to prawdopodobnie ostatnia moja książka o Baczyńskim, trzeba będzie wznawiać te poprzednie, a ona wyjdzie pod koniec sierpnia.

Baczyński uszlachetnia, ten tytuł, to znaczy, że ktoś, kto czyta jego poezję, staje się lepszym. Kto czyta i rozumie, nie tylko jego poezję, ale i postawę, jego walkę. On musiał walczyć, jeśli pisał taką poezję mobilizującą do walki, poza tym tradycje rodzinne, dziadek powstaniec styczniowy, ojciec w legionach, potem w '20 roku i w powstaniu śląskim. Sprzeniewierzyłby się swojej poezji. Najlepiej to skomentowała Barbara, jego małżonka, mówiąc do kogoś, kto wyrażał takie wątpliwości: „Przeczytaj jego wiersze, to będziesz wiedział, dlaczego on to robi”.

Na koniec jeszcze chcę powiedzieć o zakończeniu tego wywiadu w „Dzienniku

Polskim”. Dziennikarka zapytała, skąd się to u mnie wzięło. Odpowiedziałem, że nie wiem. Z Nieba chyba. I kiedy autoryzowałem tekst, to „Niebo” było napisane wielką literą, jak trzeba. Ale korektorka do druku zmieniła ją na małą. Bo ona widocznie nie wiedziała, że istnieje jakieś inne Niebo, prócz tego przez małe „n”.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał JERZY BIERNACKI ■

■ **Wiesław Budzyński** - rocznik '48, pisarz, biograf Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Brunona Schulza, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor kilkunastu książek o tematyce historyczno-literackiej, m.in. wielokrotnie wznawianej *Miłości i śmierci Krzysztofa Kamila, Testamentu Krzysztofa Kamila, Schulza pod kluczem* (Książki Roku 2001 w plebiscycie czytelników, księgarzy i bibliotekarzy), *Miasta Schulza* (2005 – Książki Roku *ex aequo* z drugą książką autora: *Warszawa Baczyńskiego*), *Uczniowie Schulza, Miasto Lwów*, a także ostatnio wydanej *Baczyński uszlachetnia*. Odznaczony przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a także medalem „Gloria Artis” za zasługi dla Kultury Polskiej oraz medalem „Zasłużony dla Warszawy”. Nagrodzony przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego: w 2006 roku Nagrodą Specjalną, a w 2011 za książkę „Uczniowie Schulza”. Laureat Wielkiej Nagrody im. Witolda Hulewicza za całokształt twórczości.

■ Nowość o Krzysztofie Kamile Baczyńskim



Wiesław Budzyński, *Baczyński uszlachetnia*, Warszawa 2021

Laureaci Wielkiej Nagrody im. Witolda Hulewicza

W czerwcu 2021 roku, w Domu Literatury w Warszawie, odbyła się jubileuszowa Gala XXV edycji Narod im. Witolda Hulewicza. Nagrody przyznano dwudziestu jeden laureatom z Polski i zagranicy. W gronie wybitnych osób polskiej kultury i nauki, życia społecznego i artystycznego, Wielkie Nagrody im. Witolda Hulewicza otrzymało małżeństwo – Wanda i Andrzej Półtawscy.

Wanda Półtawska – lekarka, doktor nauk medycznych, specjalistka w dziedzinie psychiatrii, profesor Papieskiej Akademii Teologicznej, działaczka *pro-life*, podczas II wojny światowej więziona w KL Ravensbrück, bliska przyjaciółka papieża Jana Pawła, dama Orderu Orła Białego. Nagrodę otrzymała za służbę Polsce i Kościołowi.

Andrzej Półtawski – filozof i etyk, profesor nauk humanistycznych, specjalista w zakresie antropologii filozoficznej, fenomenologii, filozofii chrześcijańskiej, personalizmu i teorii poznania, członek Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego, komandor Orderu Odrodzenia Polski. Nagrodę przyznano pośmiertnie.

Z okazji wręczenia Nagrody, prof. Wanda Półtawska wystosowała specjalne



Wanda Półtawska z mężem Andrzejem podczas konferencji poświęconej książce *Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich*, Warszawa, 12 lutego 2009 FOT. © PAWEŁ KULA / PAP

podziękowanie w formie *Listu otwartego do Rodaków*, który niniejszym publikujemy.

Trzecią, równorzędną, Wielką Nagrodę im. Witolda Hulewicza Kapituła przyznała **Romualdowi Karasiowi** – reporterowi, literatowi i dziennikarzowi, twórcy

Nagrody i współtwórcy Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza, laureatowi Lauru Dziennikarza Warmii i Mazur, autorowi czterotomowego dzieła o mjr. Henryku Sucharskim – za obronę dobrego imienia bohaterskiego dowódcy Westerplatte.

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

List otwarty do Rodaków

Szanowny i Drogi Panie Przewodniczący Kapituły Nagrody im. Witolda Hulewicza, na Pana ręce chcę przekazać serdeczne podziękowanie za przyznanie mi wyróżnienia. Nie dlatego, żebym uważała, że jest ono słuszne, bo nie ma w tym żadnej mojej zasługi, że akurat w tym okresie zjawiłam się na świecie. To jest mój wielki los. Prawda jest taka, że całe nasze pokolenie miało szczęście znać wspaniałych ludzi – Polaków.

To wyróżnienie jest dla mnie błyskiem nadziei, że jednak w tym narodzie żyje Duch i cieszę się, że są ludzie, którzy chcą aktualnej młodzieży polskiej „przekazać pałeczkę”. Należymy do tego pokolenia, które miało szczęście znać wspaniałych

Polaków, a dzisiejszej młodzieży trzeba po prostu przekazać o nich wiedzę.

Bohaterska Polska to nie jest deklaracja, ale program życia naszego pokolenia.

Znałam i świętych, i genialnych intelektualistów, i poetów. Cały Naród składał się z ludzi, którzy wiedzieli, kim są i po co są na tej ziemi. Osoba Witolda Hulewicza doskonale nadaje się do pokazania tej dzisiejszej młodzieży, którą z troską obserwujemy.

W ciągu życia byłam świadkiem tragicznych przeżyć, które jednak ujawniały wielki wymiar ducha moich rodaków. Byłam świadkiem, jak młode dziewczyny z podniesioną głową szły na śmierć, śpiewając *Jeszcze Polska nie zginęła*. Parę tygodni temu też byłam świadkiem, jak w dniu, w którym wreszcie polski Trybunał Konstytucyjny wydał sprawiedliwy wyrok, że

nikomu nie wolno zabijać niewinnych dzieci, gromada młodzieży, zarówno dziewcząt jak i chłopców, obserwowała to z mojego okna, demonstrowała wieczorem na krakowskim rynku za prawem zabijania kogo chcą. I ta Kapituła Nagrody im. Hulewicza w pewnym sensie dała mi punkt oparcia i to jest właśnie powód radości.

Dziękuję wszystkim, którzy dbają o to, czego od nas wymagał, a raczej o co prosił największy Polak Jan Paweł II, który na pierwszym spotkaniu z Polakami prosił „dajcie mi w Polsce zaplecze, żeby się nie musiał was wstydzić”.

I myślę, że wiele razy się wstydził.

Przekazuję serdeczności i życzę znalezienia sukcesorów.

WANDA PÓLTAWSKA

Kraków, 31 maja 2021



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Mazowsze.
serce Polski



MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO
MAREK WOŹNIAK



KGHM
POLSKA MIEDŹ

OSTOJA
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

Słuchasz...

*Słuchasz – Słucham ale nie mam ucha
Dla pieśni, co piszczy w trawie
W jakiej sprawie
Do kogo
Wrzeszczą pod podłogą
Głosy w niebiosy aż dom się rozpada*

*Tego nie zagadasz. Wołanie
Przejdzie przez najtłustsze ubranie
Uniformy – jak ból potworny
Aż do skraju granic*

Ale gdzie ten skraj?

*Pytasz. A powiedz – Jaki kraj
Jaka twoja ojczyzna? Przyznaj*

Niżej, leż krzyżem. Słuchaj: co w trawie

Nie zawieź

ERNEST BRYLL
2017

Szczęście rodzi się z odpowiedzialności

■ JAKUB PAŃKÓW



Wdrodze z przedszkola do domu „urywamy się”. Moja córka proponuje: chodźmy do kawiarni. To nie lokowanie produktu, ale w „Sosence” mają naprawdę dobre ciacha. Jest też kącik zabaw dla „małych ludzi” – a dla „dużych” półka z książkami i czasopismami. Biorę *O szczęściu* Tatkiewicza – stare wydanie w czerwonej, materiałowej oprawie.

Maryśka chrupiąc ciacho zacieka się. Tłumaczę, że to książka o tym, co to jest „szczęście” – ale zaraz dodaję, że ona nie musi czytać książek, żeby wiedzieć jak to osiągnąć... przynajmniej na razie.

Marysia znajduje plastikowy telefon i improwizuje, odgrywając swoją matkę. Ja podążam za Tatkiewiczem. Powoli, na bazie lektury, rodzi się refleksja. Istnieją dwie potężne siły determinujące człowieka do życia, do działania: praca – jako źródło utrzymania, ale też element rozwoju osobistego (aktywność społeczna, rodzinna) oraz miłość – na wszystkich jej poziomach i we wszystkich aspektach.

Systemy totalitarne opracowały formułę relacji kolektywnej jako nadrzędną wobec konkretnych relacji międzyludzkich. Joseph Goebbels zamordował całą swoją rodzinę, ponieważ koniec III Rzeszy był dla niego końcem świata. Relacja z „tworem kolektywnym” była istotniejsza od relacji z bliskimi ludźmi, z rodziną. W stalinowskiej Rosji było wręcz obowiązkiem denuncjowanie przyjaciół czy członków rodziny. Lojalność wobec systemu była prawdziwą „miłością”. Praca miała natomiast tylko sens jako trybik w autorytarnej machinie. Liczyło się mrowisko a nie byt pojedynczej mrówki.

Drugi model jaki wyrósł na gruncie rewolucji kulturowych to „indywidualizm”, gdzie pojęcie pracy i miłości jest całkowicie ukierunkowane do wewnątrz podmiotu. Praca i miłość muszą mieć wymiar hedonistyczny. Zaspokajanie indywidualnych potrzeb jest tak naprawdę nadrzędne wobec wartości społecznych czy głębszych więzi emocjonalnych z konkretnymi ludźmi. O ile w strukturze „kolektywnej” jednostka mogła – a nawet powinna – złożyć się na ołtarz Systemu, o tyle w modelu „indywidualistycznym” nie istnieje coś takiego

jak poświęcenie. Drugiego człowieka używa się zawsze instrumentalnie, przedmiotowo. Pojęcie miłości ma znaczenie wtórne, opisowe i dotyczy tylko stanów emocjonalnych – nie wiąże się autentyczną odpowiedzialnością „za kogoś”.

„Artysta” jest wzorem do naśladowania (w dalszej konsekwencji każdy „indywidualista”) – ma prawo narkotyzować się, alkoholizować, zmieniać kochanki, partnerów, płodzić dzieci – i je porzucać, a na końcu odebrać sobie życie – oczywiście pod warunkiem, że „spełnia się twórczo” (nawet jeśli jest to wypróżnianie się do słoików albo publiczne onanizowanie się w czasie wernisażu). W takim modelu praca sama w sobie nie jest żadną wartością ani w sensie poświęcenia dla kogoś, ani etosu społecznego; ma sens tylko wtedy, gdy służy „realizacji marzeń” – jesteś wyjątkowy jak robisz wyjątkowe rzeczy. Od lat takie „pomniki” stawia się gwiazdom rocka. Taki model „umowy” pomiędzy egoistycznymi jednostkami trafnie – choć niekrytycznie – wyraził w swoje filozofii społecznej Max Stirner. A tezy zawarł w książce *Jedyny i jego własność*. Niestety dla „przeciętnej jednostki” zachłyśnięcie się „indywidualizmem” oznacza zazwyczaj rozregulowanie kompasu moralnego i depresję na manowcach „samorealizacji”, a nierzadko autodestrukcję.

Pieśń przyszłości – a właściwie już dzisiaj – to hybryda skrajnego indywidualizmu i kolektywizacji. Człowiek staje się coraz bardziej samotny i „zindywidualizowany”, a z drugiej strony połączony poprzez technologię z resztą grupy. Jaka jest różnica pomiędzy stadem bizonów żyjącym w parku Yellowstone a krowami na przemysłowej farmie – podłączonymi do mechanicznej dojarki, nie muszą tłumaczyć. Jest to tak naprawdę główną przyczyną frustracji współczesnego człowieka tzw. cywilizacji zachodniej. Z jednej strony mamy nachalny marketing konsumpcyjny, który wraz z różnej maści terapeutami i couchami wmawia ludziom, że muszą realizować własny potencjał (w oderwaniu od całości), iż „nasze potrzeby” są w centrum Wszechświata, a z drugiej strony bezduszny system korporacyjnej biurokracji, gdzie człowiek jest tylko trybikiem do wymiany. Napięcie pomiędzy tą skrajnie

egocentryczną koncepcją głównego nurtu współczesnej psychologii (a właściwie współczesnej „humanistyki”), która *de facto* spełnia rolę świeckiej religii dla mas, a bezwzględną tyranią neoliberalnej ekonomii, prowadzi do swoistego dysonansu poznawczego, a w dalszej konsekwencji do kryzysu egzystencjalnego i załamania.

Psychologowie i socjologowie na usługach koncernów, korzystając z technik psychomanipulacji, piorą ludzkie umysły na użytek konsumpcji, a następnie otwierają drzwi swoich gabinetów by szukać doraźnych rozwiązań. Zneurotyzowani i zagubieni beneficjenci „kultury nadmiaru” są szybko przekonywani, że „wybicie” egzystencjalnych bezpieczników (będące zdrowym objawem obronnym organizmu), nazywa się „stanem depresyjnym”, który dzięki postępowi psychiatrii i psychologii należy leczyć. Kapłani w białych kitlach – oraz cienie swoich gabinetów, nie mogą przyznać się, że oddają cześć „złotemu cielcowi” – im dłużej „pacjent” pozostaje w impasie tym lepszy dla nich zarobek. To pogląd zbyt NIE-naukowy, aby zadać „pacjentowi” – przynajmniej – parę pytań metafizycznych...

Na szczęście – w przenośni i dosłownie – istnieje model personalistyczny, gdzie ustrój społeczny a dalej ekonomiczny i polityczny powinien być środowiskiem stwarzającym jak najlepsze możliwości otwarcia się człowieka na tajemnicę bytu, na niepowtarzalność własnego istnienia, na *Sacrum*, a wreszcie na drugiego człowieka. A w sensie ostatecznym na miłość jako zasadę transcendentną. Można powiedzieć, że praca i miłość są pojęciami (wartościami) przenikającymi się i uzupełniającymi.

Pewna aktywistka społeczna z Ameryki Łacińskiej, powiedziała w czasie ulicznej manifestacji, że tylko uzmysłowienie sobie, że ten drugi człowiek to ja – *el otro soy yo*, daje realną możliwość zmiany. I nie chodzi tutaj o utopie szczęśliwości czy równości; ponieważ w ujęciu personalistycznym, droga człowieka do szczęścia jest zależna od jego potencjału, a opiera się zawsze na ciężkiej pracy. Jak mawiali greccy filozofowie: ducha się wykuwa – a każde uderzenie boli. Pamiętajmy, że według tradycji greckich mitów, młody Herakles spotyka na leśnym rozdrożu dwie boginie – jedna ucieleśnia Rozkosz, a druga Cnotę. Heros wybiera

to, co oferuje mu Cnota, a nierozzerwalnie wiąże się z poświęcaniem, odwagą oraz wyrzeczeniem. W tym samym duchu humanistyki pisał o rozwoju wewnętrznym człowieka polski filozof i psychiatra prof. Kazimierz Dąbrowski; dziś niestety prawie całkowicie zapomniany. Dzisiaj synonimem szczęścia uczyniono toksycznie pojętą samorealizację oraz hedonizm.

Konflikt i cierpienie są elementami naturalnie obecnymi w rzeczywistości, i niejako ją definiują. Człowiek powinien podejmować wyzwania na płaszczyźnie samodoskonalenia, akceptując niedoskonałość stworzenia (śmierć, chorobę, starość, różnice osobnicze pomiędzy ludźmi oraz gatunkami) a nie uciekać w utopie (ideologie) negujące strukturę rzeczywistości. Wiele współczesnych teorii pseudohumanistycznych, będących *de facto* propagandą „kolektywizmu-indywidualistycznego”, ma w swoim oddziaływaniu na umysł podobne skutki jak substancje psychoaktywne – odrywające człowieka od realności bytu, prowadząc do skrajnej dychotomii myślowej. A w dalszej konsekwencji do czegoś na kształt schizofrenii, gdzie rozbieżność pomiędzy rzeczywistością postulowaną a doświadczaną ma charakter traumatyczny. System „kolektywizmu-indywidualistycznego”, najpierw uczy rzekomego poszanowania dla „różnicowania”, „oryginalności” i „odmienności”, a następnie kastruje człowieka z jakichkolwiek przejawów krytycznego myślenia, zastępując je formą „urawniłowki”, gdzie niemalże w 10. punktach można zawrzeć „co należy sądzić”. Ten uczony od dziecka „niezbywalnej ekspresji” człowiek, nagle zda sobie sprawę, że musi ciągle uważać na to co myśli oraz mówi, aby nie doświadczyć ostracyzmu i wykluczenia z „kolektywu indywidualistów”, w którym istnieje fałszywa identyfikacja tożsamościowa, ludząco podobna do tej funkcjonującej w sektach. I o ile na płaszczyźnie świadomej nie rodzi to konfliktu, o tyle na głębszych poziomach podświadomości skutkuje egzystencjalną apatią. Aparat opresji – „hodujący” takie społeczeństwo, mówiąc o „indywidualizmie” (czy to w reklamie, czy na akademickich wykładach) ma na celu uspienie uwagi pod kątem lepszej kontroli; operując pojęciem „szczęścia dla wszystkich” ma tak naprawdę na myśli tylko zysk i przemoc.

W ujęciu realizmu społecznego ludzie nie są sobie równi, w takim sensie, jak mogą to określać standardy linii montażowej w fabryce. Są równi na płaszczyźnie metafizycznej (ontologicznej), gdzie każdy element rzeczywistości ma swoje niezbywalne znaczenie, swój sens. To nie „równość” czy „wyjątkowość” daje nam poczucie szczęścia,

ale dostrzeżenie głębi sensu istnienia, swoista epifania, która manifestuje się poprzez autentyczną wolność wyborów – ale co bardzo istotne – wiążących się nieodwracalnie z odpowiedzialnością.

Jestem przekonany, że istnieje holistyczny, całościowy plan dla każdego bytu. Model, w którym predestynacja nie wyklucza wolnej woli. Wierzę, że człowiek jest wyjątkowy, ponieważ każde istnienie jest unikatowym rozbłyskiem poznawczym, dającym niepowtarzalną możliwość dochodzenia do Prawdy. Oczywiście kto jaki z tego robi użytek, to inna kwestia. Ktoś może powiedzieć, że taki „personalistyczny model” w rozumieniu społecznym czy politycznym nigdy nie istniał, że historia jest ciągiem wojen potężnych przeciwko słabym itd. Ja natomiast uważam, że każda sytuacja, w jakiej ludzie ryzykują życiem, by bronić słabszych, i robią to z głębszych pobudek, jest właśnie materializacją „modelu personalistycznego”.

Każdy człowiek, który „zatrzymuje się”, a zarobione pieniądze – choć w minimalnym stopniu – inwestuje w „być” a nie „mieć” (również w sensie mentalnym), skłania się ku personalizmowi, podobnie jak każdy kto stawia swoje ideały ponad doraźnymi korzyściami. Każdy uczciwy pracodawca, budując struktury swojego przedsiębiorstwa wciela w życie społeczną zasadę personalizmu. Każdy pisarz czy artysta, zastanawiający się nad konsekwencjami etycznymi swojej pracy jest personalistą. Każdy ojciec czy matka, rezygnujący ze swoich wygórowanych ambicji na rzecz emocjonalnej więzi z dziećmi, realizuje taki postulat – naprzeciw utopiom „kolektywistycznym” i „indywidualistycznym”. Ja, zamykając książkę Tatarkiewicza jestem usatysfakcjonowany, a patrząc na moją córkę szczęśliwy.

JAKUB PAŃKÓW ■

■ z Listów do Nieznanego Człowieka

Tajemnica

*kiedy myślę o czymś
ukrytym
to myślę o katakumbach
o miejscu spotkań pierwszych
wtajemniczonych
o czymś poza obiegami ulic
poza pytaniami
o właściwy kierunek
co słyszać, jak leci
co u ciebie
poza tym, co powinno być
takie lub inne
czymś poza złudzeniami
pewności*

*myślę o miejscu, gdzie śpią
korzenie drzewa
karmiąc wilgotnym snem
liście i owoce
śnią o jasności*

*marzę o spotkaniu człowieka
głodnego tajemnicy
losów
nasion uspionych
w ciepłej ziemi
w katakumbach
w miejscach tajemnych
ukrytych, zakamarkach odczuć*

JAKUB PAŃKÓW ■





Wizyta Konia Trojańskiego

FOT. NAC

■ ROMUALD KARAŚ



Historia lubi się powtarzać. Nawet po tysiącach. Świadczą o tym dzieje Konia Trojańskiego. Jego literacki opis zawdzięczamy Homerowi, który żył w VIII wieku przed naszą erą. Autor *Iliady* i *Odysei*, przedstawia losy zarówno obrońców Troi jak i najeźdźców, Greków. Przez dziesięć lat nie byli oni w stanie zdobyć miasta. Dopiero przebiegły Odyseusz wpadł na pomysł, żeby zbudować z drewna ogromnego konia. Wewnątrz konstrukcji ustawionej przed bramami Troi, skryli się najdzielniejsi greccy wojownicy. Obrońcy wbrew ostrzegom Kasandry wciągnęli machinę do miasta. Stało się to przyczyną ich klęski. Nocą wojownicy wydostali się z konia

i otworzyli miejskie bramy, umożliwiając wtargnięcie greckiej armii.

Koń Trojański symbolizuje podstęp i zdraziecki atak. W *Eneidzie* Wergiliusz, rzymski poeta z I wieku p.n.Chr., tak przed nim przestrzega: „Czymkolwiek to jest, lękam się Danaów [Greków], nawet gdy składają dary”.

Teraz winien nastąpić ciąg dalszy dziejów Konia Trojańskiego – już współczesnych. Godzi się jednak co nieco opowiedzieć o tym, który rzucił podwładnym myśl spożytkowania Homerowej wersji podstępu w trakcie zaplanowanej napaści na Polskę. Wojny bez jej wypowiedzenia, wbrew zasadom prawa międzynarodowego. Rolę Troi odegra Westerplatte.

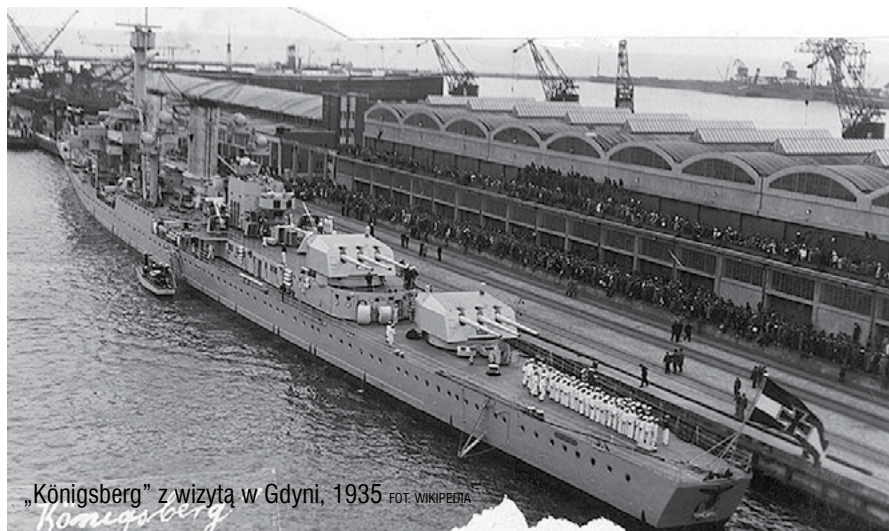
Nie ten kaliber!

Nie sposób ustalić, jak zrodził się pomysł Hitlera z Koniem Trojańskim, skierowanym do walki z Westerplatte. Wiado-

mo tylko, że to on postanowił. Funkcję taką miałby pełnić okręt wysłany przez Kriegsmarine z wizytą kurtuazyjną do Gdańska. Nikt nie powinien zakwestionować jej celu: uczczenia ćwierćwiecza śmierci czternastu marynarzy niemieckich poległych na krążowniku „Magdeburg” i dwu na kontrtorpedowcu w walce z Rosjanami około wyspy Odensholm w Zatoce Fińskiej. A tak naprawdę to jego prawdziwym celem byłoby, po ceremoniale zaatakowanie i zniszczenie swoją artylerią Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

Wojownicy greccy skryli się wewnątrz drewnianego konia. Jacy marynarze mieli pójść w ich ślady na okręcie? Skoro atak artyleryjski winien unicestwić obiekty obronne Wojskowej Składnicy Tranzytowej, to już oddział piechoty morskiej okazywał się zbędny. Rozkaz jednak jest rozkazem, należało więc go wykonać. Tym bardziej, jeśli pochodził od Führera. Ale od początku coś zaczęło się tu nie zgadzać mimo niemieckich zdolności organizacyjnych.

Wstępne kroki okazały się błędne w założeniu. Cóż z tego, że wytypowano do akcji krążownik „Königsberg”, powiadomiono rząd polski o jego wizycie kurtuazyjnej w dniach 25-28 sierpnia 1939 roku w Gdańsku, kiedy zorientowano się po niewczasie, że okręt ten nie nadaje się do takich zadań. Powód? Kaliber dział ma zbyt mały. Artyleria okrętu nie jest w stanie zburzyć umocnień Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Ciężar jego salwy burtowej wynosi około 405 kg. To stanowczo za mało. Przyjdzie dokonać zamiany. Czyni to osobiście sam Hitler. Zgłasza pancernik „Schleswig-Holstein”. Ciężar salwy burtowej samych największych



„Königsberg” z wizytą w Gdyni, 1935 FOT. WIKIPEDIA

armat tego krążownika wynosił 1 320 kg, a razem salwa burtowa z armatkami kalibru 150 mm to około 1 550 kg.

Czy odwoływać wizytę kurtuazyjną „Königsberga”? A może wbrew ustaleniom z rządem polskim wprowadzić do portu gdańskiego i obok Westerplatte pancernik „Schleswig-Holstein”? A jeśli rząd polski zgłosi *veto*? Odwołanie wizyty w grę nie wchodzi. Z pojawieniem się okrętu w Gdańsku wiąże się coś nieuniknionego – wybuch wojny. Plan „Fall Weiss” czeka na spełnienie. Krążownik ma zburzyć żelbetonowe bunkry Westerplatte, a potem ostrzeliwać polskie jednostki na morzu, wspierać ataki na Gdynię. A Westerplatte kto ma zdobywać? Czy w Gdańsku są jakieś oddziały szturmowe? Nie. Brak też ciężkiej artylerii. Więc? Rysuje się szansa wykorzystania siły rażenia pancernika „Schleswig-Holstein”. W Kłajpedzie stacjonują ludzie porucznika Henningsena, doskonale wyszkoleni, żądni zwycięstwa.

16 sierpnia 1939 roku. Komandor Gustav Kleikamp, lat 43, dowódca pancernika „Schleswig-Holstein”, zostaje wezwany do Oberkommando der Marine w Berlinie na naradę. Stawia się z Kilonii. Tam zacamował jego okręt. Ścisłe tajną naradę prowadzi Wielki Admirał, Erich Maria Raeder, dowódca Kriegsmarine. Powiadamia gremium o planowanym na Polskę ataku. Data: 26 sierpnia. Przewidziano wsparcie sił gdańskich artylerią okrętową. Nie pada nazwa żadnej jednostki. Tylko kmdr Kleikamp dostaje zalakowaną kopertę. Co ona kryła? Do dziś nie wiadomo. Kleikamp był wtedy u progu kariery wojskowej w Kriegsmarine.

Kilonia, 22 sierpnia, godzina 22.00. „Schleswig-Holstein” otrzymuje zaszyfrowany radiogram. O północy okręt bierze kurs na Świnoujście.

„Schleswig-Holstein”, rocznik 1906, jest weteranem wojennej floty niemieckiej. Przeszedł trzy gruntowne modernizacje i w dużej mierze ma się nijak do pierwotnego. To typowy okręt szkoleniowy. Można uczyć na nim marynarzy wszystkich specjalności, z wyjątkiem broni podwodnej (torpedy, bomby głębinowe, miny). Na jego pokładzie jest 600 kadetów. Czy wiedzą, jaką rolę ma pełnić „Schleswig-Holstein”?

Tajne układy i plany agresji

23 sierpnia, około godziny 13.00, kmdr Gustav Kleikamp melduje się u adm. Conrada Albrechta, dowódcy sił morskich „Ost”. Zgodnie z rozkazem dowódcy Kriegsmarine pancernik „Schleswig-Holstein” ma wyruszyć do Gdańska z kurtuazyjną wizytą. Kleikamp otrzymał zapewnienie, że siły gdańskie uporają się z tą placówką. „Schleswig-Holstein” winien eliminować polskie jednostki morskie w porcie gdańskim i w Zatoce Gdańskiej.



Pancerniki niemieckiej marynarki wojennej w Swinemünde (obecnie Świnoujście), 1931 FOT.: ILLUSTRACJA KURIER CODZIENNY // NAC

W nocy z 23 na 24 sierpnia, w czasie, kiedy trwały jeszcze w Moskwie rozmowy delegacji angielskiej i francuskiej, ministrowie spraw zagranicznych Rzeszy – Joachim Ribbentrop i ZSRR – Władysław Mołotow, ratyfikowali akt o nieagresji między ZSRR i Niemcami. Podpisanie tego dokumentu oznaczało, że ZSRR złamał wszelkie układy i porozumienia dotyczące stosunków z Polską. W tajnym protokole dokonano podziału stref wpływów radziecko-niemieckich w Europie wschodniej. „W razie terytorialnych i politycznych zmian na obszarach należących do państwa polskiego, strefy interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone wzdłuż rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zagadnienie czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie niepodległego państwa polskiego może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych”. Decyzje te prowadziły do czwartego rozbioru Polski drogą wojny Niemiec i Związku Radzieckiego.

Oddział szturmowy Henningsena

To się zaczęło w Kłajpedzie 23 sierpnia 1939 roku. Niecałe dwie godziny przed północą. W budynku gimnazjum, zajętym na kwatery oddziału szturmowego por. Wilhelma Henningsena, rozlega się przeraźliwy dźwięk gwizdka trelowego. „Alarm! Za pięć minut kompania w szeregu z pełnym ekwipunkiem bojowym” – pada komenda. Przekleństwa, trzaskanie drzwiami, tupot ciężkich butów. Na dziedzińcu szkolnym formują się trzy szeregi. Porucznik Henningsen, dowódca kompanii, odbiera meldunki plutonowych. Brakuje dwudziestu dwu ludzi. Złamali capstrzyk grany o dwudziestą drugą. „Szukać ich w mieście. Nic, tylko chłanie i baby mają we łbach. Za dwie godziny okręt odpływa z całą kompanią w pełnym rynsztunku. Zrozumiano?!” – słyszą słowa dowódcy. „Tak jest!” – grzmi odpowiedź.

Oddział szturmowy Henningsena to doborowa jednostka. Grupa wyselekcjonowana, specjalnie przeszkolona ponad wymogi konwencjonalnej piechoty. Przeznaczona do wykonywania specjalnych zadań. Charakter tej jednostki kwalifikuje ją jako pierwowzór dobrze wyszkolonej piechoty morskiej. Wśród niej znajduje się pluton pionierów. Tym mianem określa się żołnierzy o specjalności saperskiej. Pionierzy są wykorzystywani przy pracach inżynierskich, a w boju do rozminowywania przedpola lub wysadzania w powietrze obiektów ładunkami wybuchowymi.

Żołnierze tej jednostki noszą normalne mundury Wehrmachtu, koloru *feldgrau*. Na rękawach mają wyhaftowane na krzyż żółte kotwice. Czarne płaszcze upodobią ich do SS-manów. Ale noszą też płaszcze koloru niebieskiego. Wszyscy ci doborowi żołnierze pod wodzą Henningsena wdarli się 22 marca 1939 roku do Kłajpedy, litewskiego portu, zajmując w oka mgnienia strategiczne punkty, by z woli Hitlera przyłączyć do Rzeszy południową część bałtyckiego wybrzeża Litwy.

Jaka misja teraz ich czeka? Dokąd poprowadzi kompanię szturmową por. Henningsen?

Dwudziestu dwu żołnierzy z oddziału szturmowego zamiast pójść spać po capstrzyku, wybrało się do lokalu „Sundkrug” w Kłajpedzie. Uczują. Prawie wszyscy są już pijani w sztok. Jeden z tej grupy, najbardziej wstawiony, zdjął z siebie mundur. Siłą przyszło go doprowadzić do należytego stanu i doholować na plac apelowy. Drugi z wesołych kompanów po drodze wyśpiewuje: „Będziemy maszerować, aż wszystko legnie w gruzy”.

Pół godziny przed północą kompania w komplecie, choć pijana, ładuje się na sześć trawlerów. Ma płynąć do pancernika „Schleswig-Holstein”, który oczekuje gdzieś

Ciąg dalszy na s. 24 ►

► Ciąg dalszy ze s. 23

koło wyspy Bornholm. A potem? Ktoś niby poinformowany mówi, że to będzie rejs na południe: Lizbona lub Madera. Pada uwaga, że kadeci szkoleni na statku mogą przysporzyć kłopotu, zabawiając się z tamtejszymi ślicznotkami.

Piętno komanda śmierci

Czterej członkowie komanda śmierci, skryci pod pokładem Konia Trojańskiego, zdecydowali się po latach opowiedzieć o swoich przeżyciach. Przelamali znowu milczenia w trzydziestą piątą rocznicę wybuchu II wojny światowej. Uczynili to dla uczczenia swoich kolegów atakujących Westerplatte. Mówią o straszliwej cenie, jaką przyszło im zapłacić. Spośród 225 osobowej kompanii szturmowej zostało 127 żołnierzy. Padła ponad połowa ich komanda. Czemu to przypisać? Kombatanci twierdzą, że w wyniku braku rozeznania siły oporu polskiej placówki i fatalnych błędów dowodzenia. Historia obrony Westerplatte daje nam na to inną odpowiedź. Zastanawia po latach, że padła tu zadziwiająco duża liczba ofiar. Inne dane przeczą temu. Podaje się 16 zabitych i 94 rannych żołnierzy. Łącznie daje to mniej niż podana liczba 127 osób. Straty i tak straszliwe. W czasie wojny takich danych nie podawano. Przeciwnie, były skrywane. Zbigniew Flisowski w swym dziele Westerplatte pisze: „Nie ujawnili ich w żadnym wydawnictwie ani w żadnej gazecie, podobnie jak nie podali strat polskich; konfrontacja byłaby zbyt kompromitująca”.

Zdumiewa, że w polskich publikacjach ciągle natykam się na uparte pomniejszanie strat niemieckich. Czemu i komu to służy?

Kim są dziś owi kombatanci i kim byli kiedyś, gdy atakami na Westerplatte rozpoczynali działania drugiej wojny światowej? Oto prezentacja tej czwórki: Bruno Nitsche, szeregowiec, dowodził grupą moździerzy – po studiach inżynier budowlany w Nieder-Roden obok Frankfurtu nad Menem. Dr Georg Wolf, swego czasu mat artylerii marynarki, dziś lekarz praktykujący w Essen. Helmut Schauer, na początku wojny bosman, jeden z kompanii szturmowej, po latach emerytowany komandor podporucznik w Kilonii. Hein Denker, wówczas mat oddziału szturmowego, potem brał udział w kampanii norweskiej, walczył w inwazji na Związek Radziecki, oblężeniu Leningradu, szef oddziału szturmowego, trzykrotnie ranny, pięć lat niewoli sowieckiej, studia inżynierskie, praca w tym zawodzie, emerytowany kapitan fregaty w Kilonii.

Również i ta czwórka milczała przez dziesięciolecia na temat tragedii na Westerplatte. „Chcieliśmy o tym zapomnieć”



Adm. Conrad Albrecht (1880-1969)

FOT. © BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

– mówi 54-letni Bruno Nitsche – „a poza tym mieliśmy po wojnie inne zmartwienia niż piętnowanie niepojętych błędów w dowodzeniu, których ofiarą padła połowa oddziału szturmowego”.

Pytanie: jak by postąpili w przypadku sprawnego dowodzenia oddziałem szturmowym? Po wojnie nie ciążyłoby na nich piętno komanda śmierci.

Komentarz autora reportażu w tygodniku „Quick”: „Teraz mówią. Chcą w tym samym wystawić pomnik swoim towarzyszom broni, których bezmyślnie złożono w ofierze na Westerplatte...”.

Coś fałszywego jest w tych słowach. Pomnik dla agresorów? Mamy już przed muzeami pomniki Koni Trojańskich, ale nikt nie pomyślał o pomnikach, nawet słownych, żołnierzy tam skrytych. Zresztą, jak tu równać greckich wojowników spod Troi z oddziałem szturmowym zdobywającym Kłajpedę i Westerplatte?! A na finał opowieści przywoływać nieśmiertelnego Homera w zestawieniu z relacjami czwórki kombatantów hitlerowskich pancernika „Schleswig-Holstein”...

Mimo takich zastrzeżeń relację opieram na przytaczanym tu reportażu: *Heinz Weibel-Altmeyer, Das erste Todeskommando des Zweiten Weltkrieges (Pierwsze komando śmierci drugiej wojny światowej)*. Tekst ze zdjęciami opublikował tygodnik „Quick” (Monachium, 29 VIII 1974). Ten reportaż, choć o spaczonym spojrzeniu bohaterów wydarzeń, jest jednak ważnym świadectwem; odsłania wiele skrywanych spraw. Dlatego też pozytywnie wyróżnia się na tle niemieckich materiałów o Westerplatte. Inne dokumenty i wspomnienia, także z pancernika „Schleswig-Holstein”, rzucą dodatkowy snop światła na tę wersję Konia Trojańskiego Anno Domini 1939. Nikt z tych uczestników wydarzeń już dziś nie żyje.

Zmiana daty

„Hitler coraz gwałtowniej domaga się przyłączenia Wolnego Miasta Gdańsk do Rzeszy i korytarza przez wcześniej cesarskie, a obecnie polskie Prusy Zachodnie. Polacy kategorycznie odrzucają te żądania. Znosi się na wojnę” – pisze „Quick”.

W tym czasie, gdy oddział szturmowy płynie z Kłajpedy w kierunku zachodnim, zaokrętowany na sześciu trawlerach, Hitler podejmuje ostateczną decyzję. Już mu mało Gdańska i korytarza. On chce całej Polski. Oczywiście, że możliwe jest to jedynie drogą wojny. Tajny rozkaz Hitlera *Fall Weiss* (Wariant Biały) nakazuje: błyskawiczna napaść na Polskę ma nastąpić 26 sierpnia 1939 roku, godzina 5.45. Czyli za dwa dni – kreśli tło przyszłych wydarzeń Heinz Weibel-Altmeyer, autor reportażu *Pierwsze komando śmierci drugiej wojny światowej*. Termin ten, oznaczający wybuch wojny, zostanie przez Hitlera przesunięty o kilka dni z powodów politycznych. Dnia 25 sierpnia w Londynie podpisano bowiem układ o wzajemnej pomocy między Polską i Wielką Brytanią. Układ stwierdzał: „W czasie, gdyby jedna ze stron umawiających się, znalazła się w działaniach wojennych w stosunku do jednego z mocarstw europejskich, na skutek agresji tego ostatniego przeciwko tejże stronie umawiającej się, druga strona umawiająca się udzieli bezzwłocznie stronie umawiającej się, znajdującej się w działaniach wojennych wszelkiej pomocy i poparcia będących w jej mocy”.

W tajnym protokole wyjaśniono, że przez określenie „jedno z mocarstw europejskich” rozumieć należy Niemcy. Przymierze polsko-brytyjskie wchodziło w życie z dniem podpisania. Akt ten nie powstrzymał Hitlera od decyzji agresji na Polskę. Liczył tylko poprzednio na neutralność Anglii. Polityka angielska z kolei stawiała na to, że Polska odstąpi Niemcom korytarz i zgodzi się na rezygnację praw do Gdańska.

Fałszywe słowa

W Świnoujściu Koń Trojański zostaje dozbrojony w artylerię przeciwlotniczą – działka i amunicję oraz w zwykłe i ciężkie karabiny maszynowe. Do obsługi broni przeciwlotniczej odkomenderowano dodatkowo 60 żołnierzy z miejscowej Szkoły Artylerii Przeciwlotniczej. Wszystko to czyniono z myślą o walce z lotnictwem polskim, licząc się z tym, że będzie atakować niemieckie pozycje na Wybrzeżu Bałtyckim.

24 sierpnia o godzinie 12, gdy okręt pożegnał Świnoujście, już na pełnym morzu, padł rozkaz: „Wszyscy na pokład rufowy”. Przybył tam komandor Gustav Kleikamp, dowódca pancernika „Schleswig-Holstein”. Zwrócił się do członków załogi w nieoczekiwanie serdecznymi słowami: „Koledzy! Nadszedł

obecnie czas, gdy chcę was powiadomić o misji, jaka przypada okrętowi i chcę wierzyć, że zostanie ona spełniona z honorem [...]. Od dzisiaj okręt znajduje się w punkcie zapalnym wydarzeń. Otrzymałem rozkaz, aby jutro przed południem zawinąć do Gdańska zamiast wyznaczonego do oficjalnej wizyty „Königsberga”. Przede wszystkim wizyta ma charakter pokojowy, ale należy liczyć się, że podczas pobytu w Wolnym Mieście Gdańsku może dojść do użycia broni. W takiej sytuacji okręt ma za zadanie postawić do dyspozycji obrony Gdańska wszystkie swoje środki ogniowe. Dzisiejszy rejs do Gdańska przebiega z zachowaniem pokojowego charakteru [...]. Każdy musi trzymać język za zębami, żaden z was nic tutaj nie słyszał. Wierzę w waszą przysięgę. Oczekuję, że każdy z was jak tu stoi, jest gotowy spełnić zadanie na każdym stanowisku, zadanie, które postawiono okrętowi i nam wszystkim. Zadanie musi być wykonane z dumą, taki rozkaz wydał okrętowi nasz Führer. Jestem pewny, że z radością i dumą wykonamy zadanie i potwierdzimy to okrzykiem: Nasz Führer i naczelny wódz armii, Adolf Hitler – Sieg Heil!” (*Dokumenty Kriegsmarine. Westerplatte*, Tłum. i oprac. Jacek Żebrowski, Ciechocinek 2010).

Pancernik „Schleswig-Holstein” płynie w stronę kwadratu 2838. Tak oznaczone jest miejsce spotkania z trawlerami. Załoga w trakcie drogi przygotowuje okręt do bitwy. „Schleswig-Holstein” otrzymuje kryptonim „SX”. Kadeci są niczego nieświadomi. Uważają, że to przygotowania do ćwiczeń. Tymczasem kapitan marynarki wojennej Gustav Klekamp odbiera meldunek oficera artylerii: „Działa SX gotowe do akcji”. Na wystrzelenie czeka 405 sztuk pocisków kaliber 28 cm, 1450 sztuk pocisków 15 cm i 370 sztuk pocisków 8,8 cm (dziś kaliber pocisków podaje się w milimetrach; dane sprzed wojny, z jakimi się zapoznawałem, podawane były w centymetrach).

O godzinie 19.45 kpt Klekamp dostaje meldunek z punktu obserwacyjnego na bocianim gnieździe o dostrzeżeniu wieży okrętu podwodnego. Okręt typu „Orzeł” oddala się. Czyżby Polacy usiłowali rozszyfrować poczynania pancernika „Schleswig-Holstein”?

Pancernik „Schleswig-Holstein” dopłynął do kwadratu 2838. To na wysokości dzisiejszej Ustki [...]. Od godziny 20.33 do 22.03 trwa przekrętownie kompanii szturmowej z bronią ciężką i sprzętem. Przebiega bez zakłóceń. Na okręcie przebywa 1 197 osób, z dowództwem, oficerami i orkiestrą włącznie. Jest wśród nich ekipa filmowa i dziennikarska.

Trwa sprzątanie pokładu. Nie może być śladów, które wskazywałyby, że „Schleswig-Holstein” pełni inną rolę, niż pokojową.



Niemiecki plakat propagandowy, 1939

FOT. MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ

Co dzieje się jeszcze na okręcie? Czy zachodzą jakieś inne zmiany?

W relacji jednego z załogi szturmowej tak to się przedstawia: „Kazano nam ukryć pod pokładem wszystkie sprzęty, pojazdy [samochód osobowy, motocykle] i ciężką broń. Ale nie otrzymaliśmy kwater po opuszczonych przez kadetów kajutach. Następnie musieliśmy zniknąć w najniższych pomieszczeniach magazynów okrętowych” – opowiada były mat Wolf i konkluduje: „Tam przycupnęliśmy, słoczeni jak owce, o mało nie uduświwszy się we własnym zaduchu. Ten dziwny rozkaz dał nam do myślenia. To o coś innego chodziło niż o odwiedzin na Maderze. Ale o co? Nawet oficerowie naszego oddziału szturmowego nie mieli o tym pojęcia”.

Zdumiewające! Cały oddział szturmowy, 225 chłopów pod dowództwem porucznika Henningsena, nie ma pojęcia o Koniu Trojańskim. A przecież w tym celu się nimi posłużono. Jakaż przerażająca niewiedza...

O ile się nie mylę – wspomina Hermann Klugkist Hesse, członek załogi pancernika „Schleswig-Holstein” – 25 sierpnia zacytowaliśmy w porcie gdańskim i stanęliśmy naprzeciwko Westerplatte. Na nabrzeżu zebrały się tłumy ludzi, którzy nas serdecznie pozdrawiali. Gotowość do walki osłabła trochę z powodu ultimatum. Z kolei nastąpiła wymiana wizyt dyplomatycznych, które były przyjmowane na okręcie z honorami. Oddziały przeznaczone do wykonania zadania otrzymały przepustki na ląd, mogliśmy zwiedzić miasto, wypić słynną gdańską wódkę Goldwasser i spożywać wspaniałe ciasta w kawiarenkach. Wkrótce jednak „Schleswig-Holstein” został przemieszczony w okolice twierdzy Wisłoujście i tam zacytowany. Znowu postawiono nas w stan gotowości bojowej na swoich stanowiskach i czekaliśmy

na to, co nas spotka. 31 sierpnia o godzinie 24.00 upłynął termin ultimatum bez reakcji ze strony polskiego rządu (warunki tego ultimatum do tej pory nie są mi znane!).”

Koń Trojański płynie do wrót Gdańska

25 sierpnia rano obserwatorzy na Helu dostrzegają „Schleswig-Holstein” w towarzystwie trawlerów z Pilawy. Okręt zmierza ku boi portu gdańskiego. Z kolei pancernik widzą pełniący wartę żołnierze Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Ruchy okrętu śledzi także ppłk Wincenty Sobociński, kierownik Wydziału Wojskowego wraz z mjr. Henrykiem Sucharskim, dowódcą Westerplatte i kpt. Franciszkiem Dąbrowskim, jego zastępcą.

Major Sucharski, w związku z pojawieniem się pancernika „Schleswig-Holstein”, wydaje rozkaz wzmocnienia posterunków. Ogłasza stan pogotowia.

W Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk zdeponowany został pamiętnik niemieckiego oficera, kpt. Willego Auricha o walce na Westerplatte. Podczas wojny rękopis trafił w Sopocie do rąk Alberta Fenske, starszego wachmistrza policji gdańskiej, potem awansowanego na wachmistrza sztabowego policji niemieckiej. Można przypuszczać, że Fenske brał udział w walkach o Wojskową Składnicę Tranzytową. W jego dom trafił pocisk i wachmistrz został przekwaterowany do obszernego lokalu restauracji Emmy Königsman. Na rękopis relacji natrafił po wojnie Jan Lewandowski, który przeglądał materiały po wachmistrzu Fenske. Po osiemnastu latach pamiętnik znalazł się w Bibliotece Gdańskiej PAN. W 1974 roku *Relację niemieckiego oficera o walce na Westerplatte* wydał, przetłumażył, wstępem i objaśnieniami opatrzył dr Marian Pelczar, wielce zasłużony historyk Gdańska. Edycja jest dwujęzyczna, bardzo staranna. Książka zawiera reprodukcje ilustracji wklejonych do rękopisu; streszczenia tekstu po angielsku, francusku, rosyjsku; indeksy osób i nazw topograficznych.

Relacja kapelmistrza Auricha ma charakter osobisty. Pamiętnikarz wojenny jest dość bystrzym obserwatorem. Nie wolny duchowo od hitlerowskiej infekcji zdobywa się jednak na obiektywne spojrzenie. Jakże różni się jego relacja w porównaniu z propagandowymi wiadomościami „Der Danziger Vorposten”, który m.in. już 1 września 1939 roku donosił: „Die Westerplatte war in 10 Minuten ein Trümmerhaufen” (Westerplatte była w 10 minut kupą gruzów).

Zacytujmy zatem, co zanotował kapelmistrz pod datą 25 sierpnia 1939 roku: „Po zacytowaniu dowódca schodzi z pokładu. Wrażenie wizyty zostaje zachowane.

Ciąg dalszy na s. 26 ►

► Ciąg dalszy ze s. 25

Z załogi nikomu nie wolno zejść z okrętu. Miejsce naszego postoju leży dokładnie na przeciwko Westerplatte. Gęsty las przeszkadza jakiegokolwiek wglądowi w umocnienia. Z nastaniem mroku czyni się przygotowania do nagłego ataku naszej kompanii szturmowej. Pod osłoną okrętu ludzie schodzą z pokładu do położonego naprzeciw ogrodu, by zaatakować Westerplatte od strony lądu. Atak ma się rozpocząć o godzinie 4.30. Około godziny 21 dowiaduję się od adiutanta, że przedsięwzięcie zostało odwołane. Dlaczego? Niewątpliwie liczą się jeszcze w ostatnim momencie z rozsądkiem Polaków”.

„27 sierpnia. Gala banderowa z muzyką. Polacy na pewno zadziwią się naszym zachowaniem! O godzinie 9 znowu przemówienia dowódcy, mówi on między innymi, że w toku są rokowania, by drogą pokojową rozwiązać istniejące napięcia. O godzinie 13 do 14 graliśmy na rufowej nadbudówce. Po południu wolno nam wyjść na kilka godzin na ląd. Okręt przeszedł na inne miejsce i to nieco dalej w stronę Gdańska. Teraz mamy Westerplatte przed sobą!

28 sierpnia. Stoimy obecnie nieco lepiej. Tak że po zakończeniu gali banderowej możemy zejść na ląd. Poszedłem z porucznikiem Schaferem, a po obejrzeniu miasta wypiliśmy u Bodenburga szklanczkę piwa.

29 sierpnia. Po tej wczorajszej szklanczce piwa jestem chory, ponieważ nie pozostało się na jednej szklanczce. Po chwili bowiem przysiedli się trzej panowie, a następnie...? Wynik: jestem dziś chory. A na dobitkę nieszczęścia dzisiaj jeszcze była wielka gala banderowa ku uczczeniu rocznicy Tannenbergu. Jestem zadowolony, gdy się skończyła. Idę więc do kajuty.

30 sierpnia. Samopoczucie moje jest dziś znowu nieco lepsze. Spodziewam się, że jutro będę mógł znowu pełnić służbę. W nocy położenie nic się nie zmieniło. Gazety donoszą stale o nowych zbrodniach czynach Polaków.

31 sierpnia. Gala banderowa, a potem znowu musztra na lądzie. O godzinie 11 przychodzi na okręt dwu panów z Krajowej Rozgłośni Radia Gdańsk, by omówić ze mną koncert na niedzielę. O godzinie 14 udaję się na ląd, by wręczyć program koncertu. Nasze położenie zdaje się zaostrzać, bo adiutant czyni pewne aluzje. Należy mieć nadzieję, że wnet zapadnie decyzja!”

Jakże otwarte oczy i bystry umysł ma kapelmistrz Willi Aurich. Ten doskonale zdaje sobie sprawę, że „Schleswig-Holstein” to współczesny Koń Trojański. Wizyta kurtuazyjna pancernika w Wolnym Miście, to tylko pozory. Celem jest atak na Westerplatte i szybkie jego zdobycie.



Carl J. Burckhardt, komisarz Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku podczas audyencji u prezydenta RP Ignacego Mościckiego w Warszawie, marzec 1937

FOT. „ILLUSTROWANY KURIER GODZIENNY” / IAC

Najlepsi z najlepszych

Na Westerplatte trafiali wybrańcy. Żołnierze o postawie patriotycznej i doskonałym wyszkoleniu. Takie kryteria stosowano w doborze członków załogi Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Magazynu broni z przeładunku dawno nie było; trafiała z importu do Gdyni. Tam ją przeładowywano. Portowcy Gdańska nie mogli już zgłaszać sprzeciwu, jak to czynili z woli Niemców w gorącym 1920 roku, kiedy Polska toczyła śmiertelny bój z inwazją bolszewicką.

Ataku spodziewano się teraz ze strony hitlerowskiej Rzeszy. Powszechnie powtarzano: wojna toczyć się będzie o Gdańsk. Oto znamienity fakt, przytoczony w ważkiej książce dr. Jarosława Tuliszk *Westerplatte 1926-1939* (Toruń 2012): „Już pod koniec 1938 roku bawięcy z wizytą na polskim wybrzeżu pierwszy lord Admiralicji Brytyjskiej, Duff Cooper, podczas zwiedzania Składnicy na Westerplatte powiedział: „Tu, prawdopodobnie, padnie pierwszy strzał wojny”. Wśród otaczających go dziennikarzy i wojskowych zapanowała konsternacja i cisza. Po krótkiej chwili odezwał się komendant Składnicy, mjr Sucharski: „My, Polacy, nie oddamy pierwszego strzału, lecz zaręczam, że nasz strzał nie będzie ostatni w walce o wolność kraju”.

Policja gdańska już jesienią 1938 roku przygotowała listy polskich mieszkańców Gdańska przeznaczonych do aresztowania w chwili wybuchu konfliktu zbrojnego. Od maja 1939 roku wzmogły się różnego rodzaju szykany w stosunku do polskiej ludności Gdańska i polskich urzędników państwowych. W mieście czuło się atmosferę nadchodzącej wojny o wiele bardziej niż w Polsce”.

Westerplatte mieli bronić ci najlepsi z najlepszych. Oto jeden z tych żołnierzy polskiej placówki. Władysław Goryl, kapral zawodowy, pełnił służbę w 3. pułku piechoty Legionów w Jarosławiu. W marcu 1939 roku ukończył kurs podoficerski, ale nie dostał przydziału nowego miejsca

służby. Podobnie postąpiło dowództwo z czterema jego kolegami: Gryczmanem, Bieniarzem, Trelą i Kochanem. Decyzja ta została objęta tajemnicą służbową. Wszystkich spotkał zaszczyt przeniesienia do Gdańska, na Westerplatte.

W ciągu trzech dni urlopu miał Władysław Goryl przygotować się do wyjazdu. Spędził je w swojej rodzinie. Ostatnie chwile tak upamiętnił w relacji, jaką złożył Zbigniewowi Flisowskiemu, autorowi dzieła *Westerplatte* (1959): „Ojciec mój, stary wiarus II Brygady Legionów, która walczyła w Karpatach na Przełęczy Dukielskiej, kiedy mnie błogosławił, pocałował mnie w czoło i powiedział: «Synu mój, zdaję sobie sprawę, dokąd jedziesz. Ja ci tę Polskę wywalczyłem, ty ją utrzymaj w granicach»”.

Pogwałcenie praw Wolnego Miasta

„Polacy jeszcze nie wiedzą, że pod pokładem pancernika umieszczono specjalną 225-osobową kompanię szturmową niemieckiej marynarki wojennej z zadaniem zdobycia teraz – podobnie jak przed pięcioma miesiącami (23 marca) Kłajpedy – Westerplatte. Czują jednak, że pod pozornie pokojową wizytą okrętu kryje się zapowiedź jakiś decydujących rozstrzygnięć” – pisze Andrzej Drzycimski w pierwszej polskiej biografii dowódcy Westerplatte *Major Henryk Sucharski* (Ossolineum 1990).

Pancernik „Schleswig-Holstein” zawinął do portu w Gdańsku z pogwałceniem praw Wolnego Miasta. Rząd Polski wydał zgodę na przybycie krążownika „Königsberg”, jak uprzednio zgłoszono jego wizytę dla uczczenia poległych w Wielkiej Wojnie marynarzy krążownika „Magdeburg”. Hitler jednak uznał, że siła rażenia okrętu „Königsberg” jest zbyt mała i wybór padł na „Schleswig-Holstein”, pancernik wielokrotnie modernizowany. Mógł wyrzucać pociski o wadze 330 kg, które dosięgałyby stanowisk polskiej artylerii na Helu. Pisząc o tym A. Drzycimski, zauważa:

„Nie obeszło się przy tym bez symptomatycznego incydentu pomiędzy komandorem pilotów morskich w Wolnym Mieście Polakiem kpt. ż. w. Tadeuszem Ziółkowskim a władzami hitlerowskimi. Korzystając ze swoich uprawnień, pod pretekstem, że z wizytą kurtuazyjną miał przybyć «Königsberg», a na redzie awizowano inny, nie wyraził on zgody na wprowadzenie «Schleswiga-Holsteina» do portu. Dopiero aresztowanie przez policję gdańską Tadeusza Ziółkowskiego umożliwiło zacumowanie pancernika przy nabrzeżu w Nowym Porcie, na wprost Westerplatte”.

Doktor Drzycimski tak przedstawia ceremoniał zawitania do Wolnego Miasta Gdańska pancernika „Schleswig-Holstein”, Konia Trojańskiego A.D. 1939: „Zachowywano pozory wizyty kurtuazyjnej. Niemiecka prasa Gdańska podawała szczegółowy program wizyt, które miał składać dowódca okrętu władzom gdańskim, Wysokiemu Komisarzowi Ligi Narodów, Komisarzowi Generalnemu RP, oraz rewizyt na okręcie. Pierwszą wizytę dowódca „Schleswiga-Holsteina” kmdr Gustav Kleikamp – co było niezgodne z protokołem dyplomatycznym – złożył Albertowi Forsterowi, który od 23 sierpnia był już nie tylko Gauleiterem miejscowej partii hitlerowskiej, ale także, na mocy decyzji Senatu Wolnego Miasta Gdańska, objął pełnię władzy jako głowa państwa Wolnego Miasta”.

Na przyjęciach dyplomatycznych wszystko wyglądało układnie. Nie inaczej rzecz się miała w Gdańsku, gdy światu ze strony Niemiec hitlerowskich groził kataklizm. Tajna misja „Schleswig-Holstein”, w istocie Konia Trojańskiego, musiała jednak ciążyć kmdr. Kleikampowi. Każdy człowiek ma przecież sumienie. Także Niemiec pamiętający czasy cesarstwa różne jednak od III Rzeszy. W naszym przypadku był to dowódca pancernika oznaczonego kryptonimem „SX”.

Carl J. Burckhardt, Szwajcar, Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku, w swoich wspomnieniach *Moja misja w Gdańsku 1937-1939* (Warszawa 1970) pisze o bankiecie wydanym w jego domu z okazji wizyty pancernika „Schleswig-Holstein”. W rozmowie w cztery oczy Kleikamp zwierzył się: „Otrzymałem straszliwe polecenie, którego nie mam po prostu sumienia wykonać”.



A jednak kmdr Kleikamp sumiennie relacjonował zadania, jakie postawiono dowodzonej przezeń załodze pancernika „Schleswig-Holstein”. W przemówieniu, wygłoszonym 24 sierpnia o godzinie 12.00, powoływał się na honor, przekazując trzymanie za zębami wiadomości o ukrytej pod pokładem kompanii szturmowej. Podkreślał, że każdy z członków załogi winien z dumą i honorem wykonywać postawione przed nim zadanie. Zadanie, które wydał okrętowi Führer. Zwrócił się do załogi, aby potwierdziła to okrzykiem: „Nasz wódz naczelny, Adolf Hitler – Sieg Heil!”

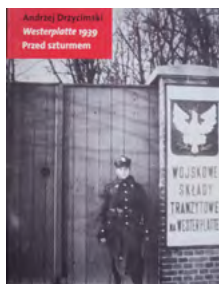
Po co więc Kleikamp zwracał się do Carla J. Burckhardta, Wysokiego Komisarza Ligi Narodów? Kto wie, czy nie dla asekuracji. Przecież w dziejach tyle wielkich postaci padało, a następcy brali odwet na wielu sługach obalonych panów. Po tym, jak Albert Forster, niemiecki funkcjonariusz hitlerowski, Gauleiter NSDAP na terenie Wolnego Miasta Gdańska, potem namiestnik utworzonej prowincji Gdańsk – Prusy Zachodnie został po wojnie wydany Polsce przez Aliantów, sądzony za zbrodnie na ludności polskiej i żydowskiej, poniósł karę śmierci, kmdr Kleikamp poczuł się zagrożony. To pod jego komendą „Schleswig-Holstein”, Koń Trojański, przywiódł do Gdańska skrytą pod pokładem kompanię szturmową. Strzały, jakie oddała przeciw Westerplatte, dały początek II wojny światowej. Stało się to z jego woli i rozkazu. Odpowiedzialność za jej wybuch także w jakimś stopniu i na niego spadała. Po drugiej wojnie światowej,

kiedy sądzono jej sprawców, drżał. Czy sumienie go dręczyło? Wątpię. Zdominował go lęk, czy nawet zwykły strach. Słowa, jakie wyrzekł w tajemnicy Carlowi J. Burckhardtowi, niemieckiego pochodzenia Wysokiemu Komisarzowi Ligi Narodów, w pewnym stopniu go tłumaczyły. Miał jakieś tam usprawiedliwienie. Punkt do ewentualnej obrony. W każdym razie włos mu z głowy nie spadł.

Wróćmy jednak do Gdańska ostatnich dni sierpnia 1939 roku. Wolne Miasto jest na ustach świata. Hitler i jego ekipa z mistrzem kłamstwa i przewrotności Goebbelsem stale oskarżają rząd polski o naruszanie praw Niemców. Rzecz ma się akurat odwrotnie, gwałcone są prawa mniejszości polskiej w Wolnym Mieście. Międzynarodowa opinia to nam każe się tłumaczyć. I bić w piersi za winy nieistniejące. To III Rzesza uczyniła Wolne Miasto beczką prochu. Lont znajduje się w Berlinie. Nie, tu nie chodzi już o wywołanie puczu. Pancernik „Schleswig-Holstein” stanął przed Westerplatte nie z zamiarem przyjacielskiej wizyty. Ma zaatakować Wojskową Składnicę Tranzytową i w ciągu dwu godzin pokonać placówkę. Tego oczekuje Hitler. Już zmobilizowano do tak ważnego zadania ponad trzy tysiące czterystu ludzi trzech formacji: lądowej, morskiej i powietrznej.

ROMUALD KARAŚ ■

Powyższy tekst pochodzi z najnowszej książki R. Karasia *Zwycięzca*, która stanowi tom IV dzieła zatytułowanego *Majora Sucharskiego droga na Westerplatte*.



Hymn ludzi wolnych

W 10. rocznicę śmierci Jerzego Narbutta

■ JERZY BIERNACKI



Powstał jako wiersz, pt. *Solidarni*, w listopadzie 1980 roku. Opublikował go wiosną roku następnego jeden z biuletynów związkowych. Zawarto w nim informację, że jest proponowany jako tekst hymnu „Solidarności”. Wiersz był w swej budowie prościutki, zawierał kilka myśli, „co nie nowe”, a jego treść była znacznie ważniejsza od formy, wyróżniająca się rysem szlachetności czy rycerskości.

Wiersz nawiązywał w pewnym miejscu do postawy powstańczej, ujętej w *Warszawiance* z 1831 roku w pamiętne słowa: „Kto przeżyje, wolnym będzie, kto umiera, wolnym już”. W hymnie podobnie: „A jeśli ktoś nasz polski dom zapali, / To każdy z nas gotowy musi być, / **Bo lepiej byśmy stojąc umierali / Niż mamy kłęcząc na kolanach żyć!** (podkr. JB).

W tych słowach brzmi czysta polskość. Tacy byliśmy, tacy jesteśmy i będziemy. Ale jest i inny element, nie mniej ważny: „Pod wolny kraj spokojny kładź fundament”. Mamy rok 1980, ale nie ma mowy o żadnym „socjalizmie z ludzką twarzą” („potwór powinien mieć twarz potwora” – Zbigniew Herbert), o żadnym poprawianiu tego, co jest nie do poprawienia. Chodzi o budowanie wolnego, niepodległego kraju, przez ludzi wolnych i solidarnych.

Nic dziwnego. Autorem wiersza *Solidarni* jest Jerzy Narbutt (1925–2011), prozaik i poeta, autor znakomitych nowel, o których krytyk napisał, że nadają nowy kształt polskiej noweli i opowiadaniu, autor powieści pt. *Ostatnia twarz portretu*, drukowanej w 1981 roku w drugim obiegu, a ponownie wydanej w 2002 roku, w której wymierza sprawiedliwość elitom II Rzeczypospolitej i portretuje rzetelnie, a zarazem subtelnie i sprawiedliwie pokolenie Polski walczącej; wyśmienity eseista i autor kilku tomów celnej publicystyki, w której jest idealnym strażnikiem ładu moralnego.

Przede wszystkim jest to jednak pisarz i poeta (swoje bezpretensjonalne, mądre i zaprawione szczególną intymnością i dyskrecją utwory poetyckie wydał w tomiku pt. *Trochę wierszy*), twórca, który nigdy nie poszedł na żadne koncesje z PRL-em, nie uczestniczył nigdy (co



FOT. SOLIDARNOSC.ZIK-KRAKOW.PL

czyniło wielu) w „czerwonych mszach” literatów, nie napisał ani jednego słowa, które by chociaż tolerowało komunizm i komunistów. Przez wiele lat ukrywał się (w Polsce stalinowskiej i w stanie wojennym), siedział w więzieniu, pracował jako paczkarz na pocztę; debiutował po trzydziestce, drukował jedynie w prasie katolickiej (nigdy w paxowskiej) i w drugim obiegu, żył w skrajnie nędznych warunkach, niemal przymierał głodem, bo funkcjonował poza jakimkolwiek układem. Wielki Niezależny. Zamilczany przez media lewicowo-liberalne.

Z hymnem „Solidarności” też nie poszło łatwo. Jako hymn Związku został ten tekst zatwierdzony dopiero w 2000 roku. Dlaczego?

Pierwszą melodię napisał do tych słów Jerzy Niedźwiedzki jeszcze w listopadzie

w roku 1980. Obaj autorzy byli zaproszeni na I Zjazd Solidarności do hali Oliwii w 1981 roku. Pieśń miała stać się hymnem Związku. Ale... jak napisał w „Tygodniku Solidarność” (nr 51-52/2000) pan Jerzy: „Ten hymn najwyraźniej się nie spodobał Jackowi Kuroniowi. Zarzucał tekstowi podobno przesadną bojowość, a muzyce nadmierne podobieństwo do pieśni... hitlerowskich. Wezwał do siebie Niedźwiedzkiego i kazał mu się wycofać z całego przedsięwzięcia. Gdy roztrzęsiony kompozytor opowiadał mi o tym w kawiarni Związku Literatów, namawiałem go, aby zlekceważył tę intrygę. Kuroniowe weto jednak jakoś zadziało...”

Niedźwiedzki, pod wpływem guru grupy trockistowsko-socjaldemokratycznej w opozycji, wycofał swoją kompozycję. Opinii twórcy czerwonego harcerstwa

nie uląkł się przyjaciel Narbutta, Stanisław Markowski z Krakowa, z zawodu artysta-fotograf (autor m.in. kilkunastu wspaniałych albumów przedstawiających polskie dwory i dworki, kościoły i kościółki, różne miejsca święte, a wtedy jeden z najlepszych dokumentalistów przebiegu polskiej rewolucji „Solidarności”, zgaszonej stanem wojennym), wywodzący się ze znanej rodziny artystycznej z Częstochowy, uprawiający amatorsko muzykę i kompozycję. Napisał on melodię do wiersza Narbutta i prawykonanie pieśni odbyło się 31 stycznia 1981 roku w Krakowie.

– Od tego czasu – wspominał Jerzy Narbutt – jego muzyka na stałe związała się z moim tekstem, tworząc integralny utwór często śpiewany przez działaczy „Solidarności” w obozach internowania.

Jak się okazało jednak, nowa melodia nie zmieniła opinii Jacka Kuronia o hymnie. Gdy, dość przypadkowo zresztą, uznano, że byłby to doskonały utwór na finał Konkursu Piosenki Prawdziwej w Gdańsku, gdzie Markowski był obecny jako fotograf, Jacek Kaczmarski wziął gitarę i zaczął próbować przed owym finalnym występem, a wraz z nim pozostali artyści – przyszła natychmiast wiadomość, że Jacek Kuroń nie życzy sobie wykonania tej pieśni. A więc chodziło o jej patriotyczną wymowę, zawartą w tekście.

W ten sposób na wiele lat zablokowana została możliwość zatwierdzenia pieśni jako hymnu „Solidarności” w okresie, gdy była ona ruchem społecznym walczącym

o wolność i niepodległość, o narodową tożsamość, mimo że utwór Solidarni jeszcze jako wiersz bez melodii, prezentowany robotnikom, bardzo się im podobał i był akceptowany. Dopiero na Zjeździe NSZZ „Solidarność” w grudniu 2000 roku w Spale pieśń z muzyką Markowskiego została oficjalnie uznana za hymn Związku.

Podobna była sytuacja z jedyną powieścią pisarza, *Ostatnią twarzą portretu*, której fragmentu nie pozwolił zamieścić w „Zapisie” Wiktor Woroszyński, zarzucając autorowi „nadmierny patriotyzm”.

Charakterystyczne, że niedawno, gdy media były pełne „Solidarności” w związku z kolejną rocznicą, cały czas, wielokrotnie podkreślano, że sławna i piękna pieśń Jacka Kaczmarskiego *A mury runą* była hymnem Związku, a jego oficjalny hymn (napisany właśnie dla niej, dla tej pierwszej, 10-milionowej „Solidarności”), zawierający w kilku słowach jej program (choć „jutro jest nieznane”), ani razu nie został w żadnej formie zaprezentowany w elektronicznych środkach przekazu. Mimo to obecnie pieśń, śpiewana pięknie i nagrana przez Chór Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, powoli zdobywa należne jej miejsce w przestrzeni publicznej, np. podczas takich wydarzeń, jak coroczna uroczystość przyznawania Nagrody Społecznej im. Piotra Skórzyńskiego w postaci medali Opoki słowa, czynu i ducha, której Jerzy Narbutt był jednym z pierwszych laureatów.

JERZY BIERNACKI ■

„Solidarni”

słowa: Jerzy Narbutt

muzyka: Stanisław Markowski



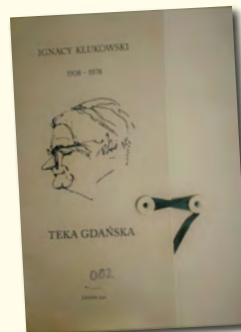
FOT. SOLIDARNOSĆ ZŁ-KRAKOW.PL



Aplauz
Najzaczniejszej
Damie, Studia
i szkice z kręgu
literatury i kultury
dawnej, Studia
i szkice
dedykowane
Profesor
Krystynie
Stasiewicz

pod redakcją Iwony Maciejewskiej i Agaty Ročko, Wydawnictwo Uniwersytetu
Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 2017.

Przez region do
Europy. Księga
Jubileuszowa
dedykowana
Profesorowi
Andrzejowi
Staniszewskiemu
w 70. rocznicę
urodzin, pod
redakcją Joanny
Szydłowskiej
i Magdaleny Żmijkowskiej, Wydawnictwo
UWM, Olsztyn 2019.



Teka Gdańska
Ignacego
Klukowskiego,
t. I: Ignacy
Klukowski –
Teka Gdańska
– Przewodnik,
redakcja Jacek
Borzym,

t. II:
Ignacy Klukowski
(1908-1978) – Teka
Gdańska, Wydawca
Stowarzyszenie
na Rzecz Edukacji
Filmowej
w Gdańsku,
Gdańsk 2020.



Romuald
Mieczkowski,
Pomiędzy,
Wydawca
Stowarzyszenie
Użyteczności
Publicznej na
Rzecz Rozwoju
Kultury
„Znad Willi”,
Wilno 2018.

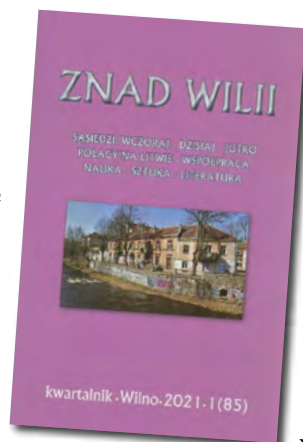
Znad Wilii

Najnowsza edycja „Znad Wilii” (nr 1/2021) pod redakcją Romualda Mieczkowskiego trafiła już do czytelników. Kwartalnik, założony w 1989 roku – do roku 2000 ukazujący się kolejno jako dwutygodnik i tygodnik, obecnie jako kwartalnik. Zgodnie z podtytułem: „Sąsiedzi: Wczoraj • Dzisiaj • Jutro • Polacy na Litwie • Współpraca • Nauka • Sztuka • Literatura” – jest dobrym przykładem niezależnej prasy polskiej na Litwie.

Na łamach 85. edycji kwartalnika znajdziemy m.in. esej Macieja Żakiewicza o pisarce rodem z Wilna Róży Ostrowskiej i jej wileńsko-kaszubskim regionalizmie, tekst Romualda Mieczkowskiego w 100. rocznicę urodzin Czesława Miłosza i Tadeusza

Juchniewicza w 50. rocznicę śmierci Ony Šimaitė, o jej losie i wysiłkach na rzecz zachowania dorobku Uniwersytetu Stefana Batorego podczas lat wojny i okupacji. W Roku Tadeusza Różewicza Jan Stolarczyk pisze o Tymoteuszu Karłowiczu (*Góra z gór...*), a Lech Szajdak i Oksana Stadnyk przypominają postać Bazylego Podmajstrowicza (1917-1973) – członka grupy poetyckiej „Wołyń”.

W ramach „Kawiarni Literackiej” obfitość różnorodnej tematyki, m.in. o kulisy początku współpracy literatów polskich z Wilna z ich kolegami w Polsce,



które zainicjowano pod koniec lat 80. na ziemi suwalskiej, piórem Eugeniusza Kurzawy. Ponadto dział prozy wspomnieniowej (A. Lewandowska, T. Matulewicz, K. Liminowicz, T. Rogoża, R. Butkiewicz, L. Drożdżewicz) oraz ostatni odcinek

Pocztu twórców literatury wileńskiej w opracowaniu Mieczysława Jackiewicza. Ponadto – jak zwykle – kronika wydarzeń: Litwa Polska: Z miesiąca na miesiąc, opinie oraz obfitość recenzji wydawniczych. Jednym słowem – ogrom materiału na 160 stronach, do którego warto sięgnąć.

BIBLIOFIL WILEŃSKI ■

Piórem redaktora Mieczkowskiego

Niepodległa Litwa trwa

i rozwija się, należy dziś do wspólnoty najbardziej rozwiniętych krajów w Europie, co nie oznacza, że nie ma problemów, w walce z pandemią włącznie. Z okazji 30. rocznicy wydarzeń stycziowych w 1991 roku, kiedy to rozpadające się imperium sowieckie użyło przemocy i wojska, pojawiło się wiele wspomnień, wypowiedzi i publikacji.

Na temat litewskiego ruchu niepodległościowego powstało немало opracowań i książek. A jak wypadli wtedy Polacy litewscy, wciąż nie bardzo wiadomo. Owszem są książki, będące głównie owocem studenckich lub doktoranckich opracowań, ale raczej powierzchowne i ze skromnym wykorzystaniem źródeł. Wątpię, czy taka praca powstanie. Bo i temat trudny, bo i interpretacje tamtych wydarzeń bywają skrajnie koniunkturalne: czasami jakbyśmy się przeglądali w krzywym zwierciadle, które to proste linie wykrzywia, a krzywe prostuje. I nie jest to specyfika tylko dotycząca Litwy.

Mimo osłabionego składu, przejęcia drukarni, „Znad Wilii” ukazało się na zastępczych mocach, przekazując kronikę tamtych dramatycznych dni. Jak przed burzą, coś wtedy wisiało w powietrzu – czuć to było na wiecach, na których byłem również z obowiązku dziennikarskiego – robiłem niepodległościowy reportaż do audycji telewizyjnej w języku polskim – nasz program wchodził w skład Redakcji Informacji (Wiadomości), a jednocześnie pisałem do dwutygodnika

„Znad Wilii”. I wspomnienie, które utkwiło w pamięci: trudno było znaleźć kogoś, kto... chciałby po polsku powiedzieć kilka słów. Nagrałem Jerzego Surwiłę, który był przez pewien czas prezesem Wileńskiego Oddziału Związku Polaków na Litwie i apelował o wsparcie dla niepodległości. Z redakcji „Znad Wilii” zabrałem zrobione własnoręcznie białe-czerwone chorągiewki, które rozdawał mój wtedy 11-letni syn, z tym, że nie bardzo było komu znowu je dawać. Jedną trzymał obecny na takich wiecach Romuald Gieczewski, prezes Stowarzyszenia Zesłańców Polaków.

Prawda, spotkaliśmy pięcioosobową grupę działających już na niwie polskiej tzw. działaczy, ale nie chcieli z nami rozmawiać – wszyscy po latach robią zawrotne kariery. Za parę dni pojechały czołgi, przygotowany reportaż nie został wyemitowany – wojsko przejęło telewizję. Moja ówczesna redakcja znalazła przytułek „w sercu wolnej Litwy”, czyli w gmachu byłej Rady Najwyższej, która stawiała się parlamentem niepodległej republiki. Większość audycji było nadawanych na żywo, żeby wejść do środka, trzeba było przekroczyć zasieki z drutu kolczastego i barykady, utworzone z bloków betonowych i punkty kontrolne. Tymczasem w zajęтым ośrodku usiłowała nadawać swoje programy telewizja „mundurowa”, powstała nowa gazeta dla Polaków pod „patriotycznym” tytułem „Ojczyzna” (sic!), oczywiście w składzie ZSRR!



Nadszedł czas trudny. Zima, chłódno, przeziębienia, część ludzi ukryła się u krewnych na wsi, uprzywilejowani i nie liczeni nawet całymi rodzinami wyjechali do Polski. Część rodaków postawiła zdecydowanie na przeczekanie. Powoli jednak sytuacja normalizowała się, aż wyjechał ostatni żołnierz sowiecki z Litwy i choć odmrażały się dawne zaszłości, to zaczął się wyścig o stanowiska państwowe, tematy niedawnej przeszłości odstawione zostały na stronę, a potem poszło wszystko w zapomnienie. Prawda niepełnie, bo czymże po latach można wytłumaczyć „moskiewski” punkt widzenia niektórych naszych tzw. polityków polskich, chociażby w kwestiach ukraińskiej czy białoruskiej. Skutki podobnych postaw odczuwamy w ostatnim czasie, solidaryzując się z represjonowanymi Polakami na Białorusi, walczącymi z reżimem jej mieszkańcami.

Mimo trudnej sytuacji, czas nie zatrzymał się w miejscu. Bez opóźnień ukazały się kolejne numery dwutygodnika, a potem kwartalnika, a w Bibliotece Znad Wilii – nowe pozycje, sukcesy odnieśli związani z czasopiśmem nasi przyjaciele. Mimo przeszkód, zachowana została wspólnota myśli, czego dowodem też jest obfitość nadsyłanych artykułów. Wniosek nasuwa się jeden: w trudnych chwilach śpieszymy się „dawać świadectwo”, zanim ludzie jeszcze czytają!

ROMUALD MIECHKOWSKI ■



Pierwszy ułan II Rzeczypospolitej

Gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski
podczas uroczystości
na Placu Piłsudskiego FOT. NAC

■ WOJCIECH GOLJAT



Tak go nazywano! Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1881-1942) – dziś postać nieco zapomniana lecz niegdyś należał do najbardziej barwnych i najbardziej znanych postaci II Rzeczypospolitej.

Znany był przede wszystkim jako zawodowy wojskowy, pułkownik i później generał, jako dusza towarzystwa, faworyt Marszałka, dyplomata... Był poliglotą i intelektualistą lecz jednocześnie odważnym i zuchwałym człowiekiem czynu i niespokojnym duchem z żyłką awanturnictwa. Potrafił wspomóc swój wyjątkowy intelekt sugestywnością, poczuciem humoru, polotem i fantazją, nie stroniąc niekiedy od konfabulacji. O ile dziś nazwano by go celebrytą to niewątpliwie był celebrytą z klasą.

Niedoszły lekarz, niedoszły artysta, żołnierz

„Świetny żołnierz, zawadiaka, poeta, doktor medycyny, artysta, malarz, cygan i romantyk z epoki Młodej Polski, piękno-
duch, dyplomata i donżuan, lecz przede wszystkim nieskazitelnym patriotą” – tak określił go Tadeusz Wittlin.

Wywodził się ze znanego od XIV wieku rycerskiego rodu Długoszków/Długoszowskich herbu Wieniawa, z którego pocho-

dził również nasz XV-wieczny kronikarz Jan Długosz. Młody Bolesław kilkakrotnie musiał zmieniać szkoły „ze względu na nieokiełznany od kołyski temperament i niechęć do misteriów greckiej gramatyki” (jak sam to określił). Pomimo tego w roku 1906 ukończył z wyróżnieniem Wydział Lekarski Uniwersytetu Lwowskiego uzyskując tytuł doktora nauk medycznych, którego niekiedy używał w oficjalnych dokumentach. Jednak zamiast podjęcia regularnej praktyki lekarskiej wyjechał na studia artystyczne do Berlina, a następnie do Paryża. Tam zetknął się z życiem bohemy artystycznej; tam też, we frywolnej atmosferze Paryża, rozwinął swoje talenty do łamania kobiecych serc. Tam również włączył się w działalność polskiego środowiska patriotycznego. W lutym 1914 roku poznał Józefa Piłsudskiego, który wywarł na nim olbrzymie wrażenie. Pisał wówczas do brata: „Od dziś naprawdę uważam się za żołnierza, bo nareszcie mam Wodza”. Zauroczenie osobowością Piłsudskiego zostało mu do końca życia.

Po wybuchu I wojny światowej Wieniawa, w szeregach 1. Kompanii Kadrowej, wyruszył z krakowskich Oleandrów do Królestwa Polskiego. Wkrótce przeszedł do nowotworzonego oddziału ułanów rtm. Władysława Beliny-Prażmowskiego. Ułani spotkali się w Oblęgorku z wiekowym Henrykiem Sienkiewiczem. Wielki pisarz nie wykazał entuzjazmu polskim żołnierzom

zarzucając im przymierze z Niemcami. Riposta Wieniawy była krótka: „Choćby z diabłem, byle do wolnej Polski”.

Energiczny ułan, a później porucznik Wieniawa wykazywał się wielokrotnie wyjątkową odwagą i brawurą (m.in. pod Kostiuchnowką w lipcu 1915 r.) za co po wojnie wyróżniono go Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari. Oceniany był jako „wyśmienity bojowy oficer, lubiany ogólnie. Ułani z uciechą na najtrudniejsze akcje z nim szli”. Popularności wśród kolegów przyczyniały mu również talenty literackie. Był autorem słów wielu frywolnych ułańskich żurawijek – jednak ze względu na treść i śmiałe wojskowe słownictwo, nieliczne tylko przetrwały w formie pisanej. Jego autorstwa była między innymi słynna żurawiejka: „Lance do boju, szable w dłoń! Bolszewika goń, goń, goń!”. W 1915 roku Wieniawa został adiutantem Komendanta Józefa Piłsudskiego. Ich relacje i wzajemne sympatie były relacjami ojcowsko-synowskimi, gdzie Piłsudski powierzał Wieniawie wiele nietypowych zadań mając zaufanie do jego oddania, patriotyzmu, przedsiębiorczości, inteligencji i umiejętności radzenia sobie w każdej sytuacji. Z zadań tych z reguły Wieniawa wywiązywał się znakomicie.

W 1918 roku przez kilka miesięcy realizował zadania polityczno-wywiadowcze na terenie zrewolucjonizowanej Rosji.

Ciąg dalszy na s. 32 ►

► Ciąg dalszy ze s. 31

Był to okres życia Wieniawy godzinien nakręcenia filmu szpiegowskiego o nadzwyczaj wartkiej akcji. Aresztowany przez władze bolszewickie, uniknął w ostatniej chwili rozstrzelania, dzięki zachowaniu zimnej krwi. Na wolność wyszedł, po ryzykownej akcji, korzystając z pomocy Bronisławy Berenson – znajomej z okresu paryskiego, żony adwokata mającego dobre relacje z bolszewikami (bronili kilku z nich w czasach carskich). Pomimo że w okresie paryskim nie darzyli się sympatią to niebezpieczeństwo bardzo ich do siebie zbliżyło. Rok później, po rozwodzie z mężem, piękna pani Bronisława została drugą żoną Wieniawy – koledzy podśmiewali się, że była to „kara za nieostrożne obchodzenie się z Bronią”.

Po powrocie do Polski w 1919 roku Wieniawa nadal współpracował z J. Piłsudskim jako Naczelnym Wodzem, między innymi przy opracowaniu założeń operacji zajęcia Wilna 1919 czy wyprawy kijowskiej 1920. Za zasługi bojowe w wojnie polsko-bolszewickiej powtórnie nagrodzono go Krzyżem Walecznych.

Wieniawa to siła wyższa

„Dzwoniąc szablą od progu, idzie piękny Bolek, ulubieniec Cezara i bożyszcze Polek” tak opisał go zaprzyjaźniony z nim poeta Antoni Słonimski. Bolesław Wieniawa-Długoszowski znany był w okresie międzywojennym z bujnego życia towa-

rzyskiego. Przyjaźnił się ze środowiskiem artystycznym, wieczory spędzał w kawiarniach nie stroniąc od alkoholu (do trunków miał rzeczywiście mocną głowę). Wśród kobiet wzbudzał podziw swoją błyskotliwością, szarmanckością, poczuciem humoru i niemalą dozą zuchwałości oraz niewątpliwą męską urodą. Marszałek Piłsudski mawiał o nim, że „z taką twarzą powinien być kardynałem, dyplomatą lub aktorem filmowym”. Sam pułkownik Wieniawa przyznawał, że „swoje pieniądze wydaje na kobiety i alkohol, a resztę roztrwania”. Krążyły o nim setki anegdot mniej czy bardziej prawdziwych. Powszechnie postrzegano go jako miłośnika szampańskiej

zabawy, alkoholu i towarzysztwa pięknych kobiet. Jak wspominał Marian Hemar: „W towarzystwie Wieniawy było się w polu magnetycznym jego osoby – w polu magnetycznym jego wdzięku, swady, polotu i humoru, jego niespożytej energii, jego ochoty do życia, głodu życia”.

Żale pewnego pana, że Wieniawa ubiegł go w zabiegach o względy pewnej pani, Antoni Słonimski podsumował: „Cóż chcesz, Wieniawa to siła wyższa”. Ekscesy Wieniawy ucho- dziły mu z reguły na sucho dzięki słabości Marszałka do byłego adiutanta u którego, pomimo wad, dostrzegał również wiele zalet. Ponadto Józef Piłsudski zdawał sobie sprawę, że sympatyczny, wesoły i powszechnie lubiany Wieniawa przyczynia się do ocieplenia wizerunku sanacji w społeczeństwie.

Nasz bohater awansował w hierarchii wojskowej zostając w 1926 roku dowódcą 1. Pułku Szwoleżerów,

potem dowódcą brygady i dywizji kawalerii, był również komendantem garnizonu Warszawy. Kochał konie i kochał kawalerię. Cały czas miał wyjątkowo dobre relacje z Marszałkiem – na wielu jego zdjęciach z tego okresu widzimy obok właśnie Wieniawę-Długoszowskiego. Józef Piłsudski kilkakrotnie chciał pułkownika Wieniawę przesunąć do służb dyplomatycznych – ten bronił się mówiąc, że „w kawalerii można robić głupstwa, natomiast świństw nigdy – odwrotnie niż w dyplomacji i stąd też woli zostać w kawalerii”. Dopiero po jego śmierci, Wieniawa trafił w 1938 roku jako ambasador Polski do Rzymu.

Awansując w 1931 roku na stopień generała brygady z żalem musiał Wieniawa rozstać się z dowodzeniem ukochanym 1. Pułkiem Szwoleżerów. Wówczas to kazał wydrukować sobie nową wizytówkę „Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, były pułkownik”. Po jednym z jego pijackich ekscesów rozeźlony Piłsudski wezwał Wieniawę „na dywanik”. Ten zjawił się ubrany po cywilnemu, a należy pamiętać, że dotychczas zawsze pojawiał się w mundurze. Na pytanie zirytowanego Marszałka: „A cóż to?”, Wieniawa odpowiedział: „Za to co zrobiłem powinienem dostać po pysku. Ale zbyt szanuję mundur i nie uchodzi, aby generał w mundurze dostawał po pysku.

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE



Bolesław Wieniawa-Długoszowski jako ambasador RP w Rzymie (1938-1940)

FOT. AKTA BOLESŁAWA WIENIAWY-DŁUGOSZOWSKIEGO/AAN

Tak więc oto jestem”, czym rozładował napiętą atmosferę.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz w swojej słynnej *Karierze Nikodema Dyźmy* z 1932 roku postać pułkownika Waredy, jednego z przyjaciół Dyźmy z wyższych sfer, wzorował właśnie na pułkowniku Wieniawie (w wersji filmowej znanego serialu rolę tę brawurowo zagrał Leonard Pietraszak).

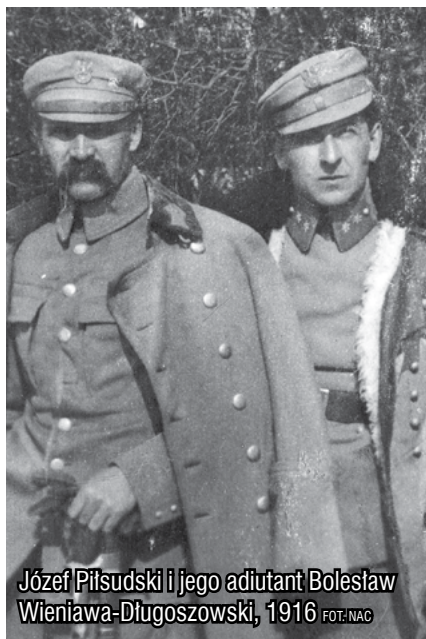
Wieniawa lubił kobiety, kobiety lubiły Wieniawę. Jako dżentelmen był jednak nadzwyczaj dyskretny. Przesadnie przypisywano mu dziesiątki romansów lecz tylko niektóre z nich rzeczywiście miały miejsce. W tej sferze Wieniawa był też bohaterem wielu, mniej czy bardziej eleganckich, anegdot. Podobno przesyłając pewnej urodziwej pani bukiet kwiatów, dołączył bilecik: „Szanowna Pani! Zeszłej nocy śniła mi się Pani w taki sposób, że poczułem się zobowiązany”.

Oprócz tego, że przyjaźnił się z wieloma przedstawicielami świata artystycznego (Tuwim, Słonimski, Lechoń, Boy-Żeleński, Hemar i inni) sam też realizował się jako literat: pisał wiersze, teksty kabaretowe, wiele też tłumaczył. Tłumaczył z francuskiego m.in. wiersze Ch. Baudelaire’a czy biografię napoleońskiego generała huzarów Ch. Lassalle’a.

Jego Ekscelencja Ambasador

Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski przeżył mocno śmierć Marszałka J. Piłsudskiego (1935). Stracił bliskiego sobie człowieka, wodza; ale też zmniejszyła się tolerancja władz dla jego alkoholowych i kawiarnianych ekscesów. W Polsce rozgorzała polityczna walka o władzę. W kwietniu 1939 roku zastrzelili się zdesperowani byli premier Walery Sławek, uważany przez Marszałka za najszlachetniejszego z ludzi. Również prostolinijny, w gruncie rzeczy, generał Wieniawa źle się czuł w świecie rozgrywek personalnych i intryg. Stąd też przyjął w 1938 roku propozycję objęcia stanowiska ambasadora Rzeczypospolitej w Rzymie.

Na pierwszym spotkaniu z personelem Ambasady powiedział: „Moi państwo! Ludzie są szanowani dla swoich zalet i cnót, a lubiani dzięki wadom. Ja podobno w Warszawie byłem lubiany. Obawiam się jednak, że wy tutaj będziecie mnie szanowali”. I pozostał wierny tej deklaracji. Ku zaskoczeniu wszystkich stał się wręcz abstynentem i, jako ambasador, godnie reprezentował Rzeczypospolitą. Pomimo sojuszu Włoch z Niemcami hitlerowskimi ambasador Bolesław Wieniawa-Długoszowski nawiązał dobre relacje z władzami włoskimi. Zaprzyjaźnił się wręcz z ministrem spraw zagranicznych Włoch hrabią Galeazzo Ciano (prywatnie zięciem Mussoliniego). Poprawne,

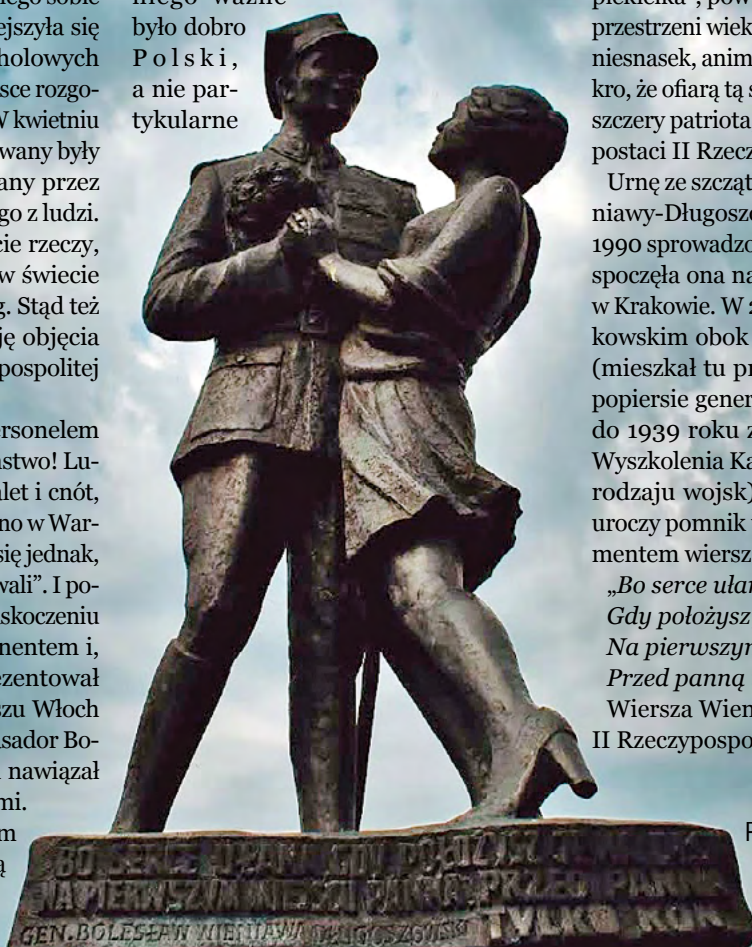


Józef Piłsudski i jego adiutant Bolesław Wieniawa-Długoszowski, 1916 FOT. NAC

dzięki ambasadorowi nawet ciepłe, relacje polsko-włoskie mocno irytowały Hitlera.

Krótko po wybuchu II wojny światowej internowany prezydent Ignacy Mościcki desygnował B. Wieniawę-Długoszowskiego na swego następcę na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej. Wskutek sprzeciwu gen. Władysława Sikorskiego i rządu Francji Wieniawa zrezygnował z objęcia stanowiska Prezydenta. Nie chciał, a zapewne i nie potrafił, eskalować kłótni polsko-polskich po przegranej kampanii wrześniowej – dla niego ważne

było dobro Polski, a nie partykularne



interesy danych osób czy ugrupowań. Do połowy 1940 roku pełnił obowiązki ambasadora RP w Rzymie, m.in. organizując przerzuty na terenie Włoch polskich oficerów i żołnierzy zmierzających do polskiej armii tworzonej we Francji.

Generał Wieniawa-Długoszowski, po likwidacji placówki dyplomatycznej w Rzymie, występował o przydzielenie mu zadań wojskowych. Jednak rząd W. Sikorskiego traktował niechętnie byłych współpracowników Marszałka.

Przebywającemu w USA Wieniawie udało się spotkać z premierem gen. Sikorskim. Rwący się do czynu Wieniawa przyjął ostatecznie propozycję objęcia ambasady w Hawanie. Szukanie kompromisu z rządem Sikorskiego przez byłego bliskiego współpracownika Marszałka, spotkało się z olbrzymią dezaprobatą środowiska piłsudczyków i zostało potraktowane jako zdrada. Premier gen. Władysław Sikorski małostkowo pozwolił sobie na zakpienie z zasłużonego generała i dyplomaty desygnując go na mało ważną placówkę. W efekcie 1 lipca 1942 roku Wieniawa popełnił samobójstwo wyskakując z balkonu piątego piętra wynajmowanego mieszkania w Nowym Jorku. Taka była (i jest) wersja oficjalna. Czy jednak aby na pewno nie „pomógł” mu ktoś trzeci?

Część poszlak skłania, co najmniej, do rozważenia takiego pytania. Bez względu na to jak było, to kolejna ofiara „polskiego piekielka”, powtarzających się do dziś, na przestrzeni wieków, kłótni polsko-polskich, niesnasek, animozji i małostkowości. Przykro, że ofiarą tą stał się wspaniały człowiek, szczyry patriota, jedna z najbarwniejszych postaci II Rzeczypospolitej.

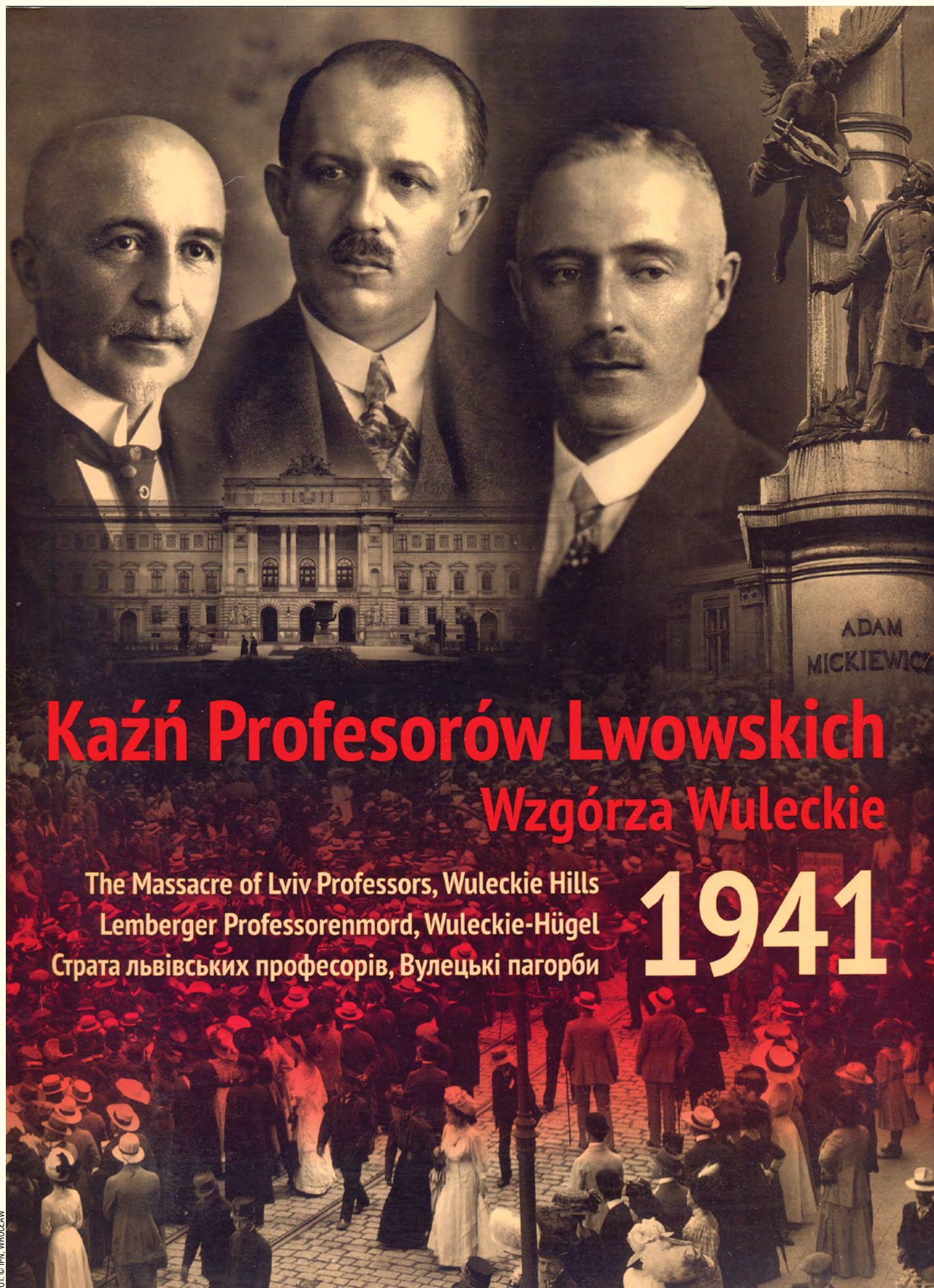
Urnę ze szczątkami gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego dopiero w roku 1990 sprowadzono do Polski – ostatecznie spoczęła ona na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W 2019 roku w Parku Łazienkowskim obok Pałacyku Myślewickiego (mieszkał tu przez kilka lat) odsłonięto popiersie generała. W Grudziądzu, gdzie do 1939 roku znajdowało się Centrum Wyszkożenia Kawalerii (jego ukochanego rodzaju wojsk), łatwo można odnaleźć uroczy pomnik ułana z dziewczyną z fragmentem wiersza:

„Bo serce ułana,
Gdy położysz je na dłoń;
Na pierwszym miejscu panna,
Przed panną tylko koń”...

Wiersza Wieniawy – pierwszego ułana II Rzeczypospolitej!

WOJCIECH GOLJAT ■

Pomnik ułana z dziewczyną w Grudziądzu autorstwa art. plastyka Ryszarda Kaczora FOT. © OKIEMOBIETYWU.PL



Zginęli dlatego, że byli Polakami

STANISŁAW A.
BOGACZEWICZ



O siemdziesiąt lat temu, 22 czerwca 1941 roku, zgodnie z założeniami planu operacji o kryptonimie „Barbarossa” nastąpił atak hitlerowskich Niemiec na sowiecką Rosję. Już 30 czerwca do Lwowa wkroczyły oddziały armii niemieckiej entuzjastycznie witane przez ukraińską ludność miasta.

Następnego dnia do Lwowa przybyło kilka Einsatzgruppen (grupy operacyjne), wśród nich Einsatzkommando des Sicherheitspolizei und Sicherheitsdienstes (Oddział Operacyjny Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa), dowodzony przez SS-Brigadenführera dr. Eberharda Schöngartha, komendanta Sicherheitspolizei und Sicherheitsdienstes (Policja Bezpieczeństwa i Służba Bezpieczeństwa) w Generalnym Gubernatorstwie. Oddział ten uczestniczył w Sonderaktion Krakau (Akcja specjalna Kraków), w czasie której 6 listopada 1939 roku aresztowano pracowników naukowych wyższych uczelni Krakowa.

Przybycie oddziału Schöngartha do Lwowa wieściło kontynuację działań zmierzających do eksterminacji inteligencji polskiej podejmowanych na polskich terenach okupowanych przez Niemców. Stanowiło to konsekwentną realizację planów Hitlera, który poza wezwaniami do eksterminacji ogółu narodu wzywał szczególnie do wyniszczenia polskich elit, gdyż jak powiedział jesienią 1939 roku: „Tylko naród, którego warstwy kierownicze zostaną zniszczone da się zepchnąć do roli niewolników”.

Każń polskich profesorów

Już we wrześniu i październiku 1939 roku w ramach operacji „Tannenberg” dokonano zbrodni na około 20 tys. grupie Polaków uznanych za wrogów Trzeciej Rzeszy, m.in. działaczy polskich z Gdańska i Pomorza Gdańskiego, uczestników powstań śląskich i powstania wielkopolskiego. Działania te na terenach RP wcielonych do Rzeszy kontynuowano pod kryptonimem „Intelligenzaktion” (Akcja Inteligencja) w okresie od września 1939 do kwietnia 1940 roku. Rozstrzelano wówczas około 50 tys. osób – nauczycieli, duchownych, ziemian, przedstawicieli wolnych zawodów, działaczy politycznych i społecznych, emerytowanych wojskowych. Dalszych 50 tys. wywieziono do obozów koncentracyjnych.

W utworzonym pod koniec października 1939 roku Generalnym Gubernatorstwie Niemcy zintensyfikowali operację „Intelligenzaktion”. Jej elementem była również Akcja AB (Außerordentliche Befriedungsaktion – nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna) – prowadzona na terenie Generalnego Gubernatorstwa ze szczególną intensywnością od kwietnia do lipca 1940 roku. Jej celem było zniszczenie środowisk zdolnych do zorganizowania oporu osób podejrzanych o udział w działalności podziemnej. Zginęło wówczas około 3,5 tys. Polaków. Do lipca 1940 roku ofiarami „Intelligenzaktion” padło, według najnowszych szacunków, ponad 100 tys. przedstawicieli elit polskich.

Przybywszy do Lwowa, członkowie Einsatzkommando zatrzymali 2 lipca przed południem Kazimierza Bartła, profesora Politechniki, byłego premiera rządu RP. Zapowiadało to realizację zaplanowanej wcześniej akcji, której kulminacją przypaść miała na noc z 3 na 4 lipca 1941 roku. Wówczas, po zapadnięciu zmroku, do mieszkań profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej, Akademii Medycyny Weterynaryjnej i Akademii Handlu Zagranicznego wtargnęli Niemcy. Według ustaleń i zeznań świadków, byli oni członkami Einsatzkommando i jednostki Geheime Feldpolizei (Tajna Policja Polowa) dowodzonej przez Hauptsturmführera SS Hansa Krügera. Towarzyszyli im pełniący funkcję tłumaczy, ukraińscy folksdojcz. Aresztowania przeprowadzano według posiadanych list proskrypcyjnych. Przygotowano je jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, najprawdopodobniej w Krakowie, we współpracy ze związanymi z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów byłymi ukraińskimi studentami uczelni lwowskich. O fakcie wcześniejszego sporządzenia list świadczy obecność na nich nazwisk niektórych osób, które wcześniej zmarły. Aresztowanych profesorów i zatrzymane wraz z nimi osoby przewożono do bursy Abrahamowiczów, gdzie nocą, około godziny drugiej, przystąpiono do brutalnych przesłuchań.

W czasie ich trwania, podczas ataku epilepsji, został zastrzelony Stanisław Ruff, syn ordynatora szpitala uniwersyteckiego. Następnie zatrzymani – niosąc ciało zamordowanego – pod eskortą przeszli na Wzgórza Wuleckie, gdzie zostali rozstrzelani. Dopelnieniem tego zbrodniczego aktu były zamordowanie 11 lipca dwóch kolejnych osób z polskiego środowiska

akademickiego Henryka Korowicza i Stanisława Ruziewicza oraz 23 lipca prof. Bartła.

Niemcy, dokonując lwowskiego mordu, zamierzali uniknąć sytuacji zaistniałej po aresztowaniu profesorów krakowskich w listopadzie 1939 roku, gdy pod wpływem głośniejszych protestów w Rzeszy i w innych krajach zwolniono ich z obozów koncentracyjnych. Wskazuje na to przemówienie wygłoszone 30 maja 1940 roku przez gubernatora Hansa Franka do przedstawicieli SS i policji, w którym stwierdził: „Nie da się opisać, ileśmy mieli zawracania głowy z krakowskimi profesorami. Gdybyśmy sprawę tę załatwili na miejscu, miałyby ona całkiem inny przebieg. Proszę więc panów usilnie, by nie kierowali już panowie nikogo więcej do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, lecz podejmowali likwidację na miejscu lub wyznaczali zgodną z przepisami karę. Każdy inny sposób postępowania stanowi obciążenie dla Rzeszy i dodatkowe utrudnienia dla nas. Posługujemy się tutaj całkiem innymi metodami i musimy je stosować nadal”.

O szczegółach lwowskiej kaźni wspomina jeden z jej naocznych świadków inż. Karol Cieszkowski, który w swej obszernej relacji m.in. podał: „O 4 nad ranem, [...] usłyszałem strzały od strony Wzgórza Wuleckiego. Szarżało wówczas i zaczynało być widno. Na krawędzi Wzgórza Wuleckiego dobrze widocznego z okna mego narożnego pokoju, najbardziej wysuniętego na północ, ujrzałem kilkadziesiąt cywilnych osób stojących w jednym rzędzie, a nieco dalej od nich na prawo i lewo stali bardzo szykownie, powiedziałbym elegancko ubrani oficerowie niemieccy z rewolwerami w rękę. Nie liczyłem tych cywilnych osób, ale oceniłem je na około 40-50 osób.

Mniej więcej w połowie zbocza zobaczyłem nad wykopaną jamą cztery cywilne osoby zwrócone twarzą do zbocza, a plecami do mnie. Za plecami tych osób stali czterej niemieccy żołnierze z karabinkami w rękę, a obok nich oficer. Zapewne na słowną komendę tego oficera żołnierze równocześnie strzelili i wszystkie cztery osoby wpadły do jamy.

Wówczas sprowadzono z góry ścieżką nowe cztery osoby i cała scena dokładnie się powtórzyła. Trwało tak do końca, aż wszystkie osoby cywilne zostały sprowadzone nad jamę i zastrzelone. Ostatnią osobą rozstrzelaną była kobieta w długiej czarnej sukni. Schodziła ona sama, ślaniając się.

Ciąg dalszy na s. 36 ►

Gdy przeprowadzono ją nad jamę pełną trupów zachwiała się, ale oficer podtrzymał ją, żołnierz strzelił i wpadła ona do jamy”.

W 1943 roku, gdy klęska Niemiec stała się jedynie kwestią czasu, niemieccy przywódcy zdecydowali o zatarciu śladów popełnionych zbrodni. Zadanie to wykonywane było przez specjalne oddziały tzw. Sonderkommando (Oddziały specjalne) 1005 złożone z przeważnie żydowskich więźniów – wykonujących rozkazy niemieckich funkcjonariuszy SD (Sicherheitsdienst des Reichsführers-SS – Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS), Sicherheitspolizei (Policja Bezpieczeństwa) lub Ordnungspolizei (Policja Porządkowa). Późnym wieczorem 8 października 1943 roku więźniowie tego komanda odkopali mogiłę na Wzgórzach Wuleckich. Wydobyte ciała profesorów lwowskich i osób zamordowanych wraz z nimi w lipcu 1941 roku przewieziono do podlwowskiego Lasu Krzywczyckiego, gdzie dołączone do innych kilkuset zwłok zostały spalone. Ocalałe fragmenty kości zmielono w żwirowym młynie i wraz z popiołami rozsypano po lesie. W ten sposób próbowano ukryć prawdę o popełnionej zbrodni i wymazać ją ze świadomości następnych pokoleń.

Poznanie prawdy o zbrodni

Przetrwanie pamięci o mordzie popełnionym na polskich profesorach we Lwowie w 1941 roku jest zasługą osób, które z determinacją i odwagą, z nieustraszoną wytrwałością dążyły do poznania prawdy, pielęgnowania jej i dzielenia się nią z innymi. Do grona tych osób należała również hrabina Karolina Lanckorońska – wywodząca się ze znamienitego arystokratycznego rodu, wybitny historyk sztuki i docent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w czasie wojny od stycznia 1940 roku zaprzysiężony żołnierz Związku Walki Zbrojnej / Armii Krajowej, a także działacz Polskiego Czerwonego Krzyża i Rady Głównej Opiekuńczej na ziemiach polskich okupowanych przez Niemców. Na Karolinie Lanckorońskiej sprawa mordu popełnionego na profesorach lwowskich, w perspektywie przyszłych wydarzeń, wycisnęła się szczególnym brzemieniem i wywarła istotny wpływ na dalsze jej losy – zarówno wojenne, jak i powojenne.

Zagrożona aresztowaniem ze strony NKWD (ros. Народный комиссариат внутренних дел – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) Karolina Lanckorońska dysponując fałszywymi dokumentami, na początku maja 1940 roku opuściła Lwów i przekroczywszy granicę w Przemyślu na Sanie przedostała do Generalnego Gubernatorstwa. Przybywszy do Krakowa nawiązała kontakty konspiracyjne z podziemiem polskim i podjęła działalność w strukturach Krakowsko-Śląskiego Obszaru

ZWZ, dowodzonego przez gen. Tadeusza Komorowskiego. Szczególnym jednak polem jej aktywności była prowadzona w ramach PCK pomoc na rzecz poszkodowanych przez wojnę. Jako pielęgniarka opiekowała się i niosła ulgę w cierpieniu chorym i rannym polskim jeńcom wojennym, których po zwolnieniu z obozów niemieckich przewieziono do Krakowa i umieszczono w kolegium jezuickim i w miejscowych szpitalach.

Realizowana przez niemieckiego okupanta polityka eksterminacji narodu polskiego już w lipcu 1941 roku wytyczyła Karolinie Lanckorońskiej szczególną sferę aktywności. Poruszona informacjami o tragicznej sytuacji panującej w więzieniach i występujących tam częstych przypadkach śmierci głodowej, postanowiła rozłożyć opiekę nad uwięzionymi. Zyskawszy zgodę dla takich działań od Adama Ronikiera, prezesa RGO, zrezygnowała z pracy w PCK, poświęcając się działalności w Radzie. Po uzyskaniu zezwolenia władz Gestapo (Geheime Staatspolizei – Tajna Policja Państwowa) i SD na prowadzenie anonimowego dożywiania więźniów na obszarze całego Generalnego Gubernatorstwa, zameldowała o tym gen. Komorowskiemu, który od lipca 1941 pełnił obowiązki zastępcy komendanta głównego ZWZ. W odpowiedzi otrzymała rozkaz zerwania wszelkich kontaktów konspiracyjnych i wyłącznego realizowania nowego obowiązku. W tym okresie dzięki stanowczości i odwadze, arystokratycznemu pochodzeniu i biegłości języka niemieckiego objęła swą niejednokrotnie ratującą życie pomocą osoby przebywające w więzieniach: Krakowa, Tarnowa, Jasła, Sanoka, Nowego Sącza, Częstochowy, Piotrkowa Trybunalskiego.

W ostatnich dniach września 1941 roku Karolina Lanckorońska udała się do Lwowa. Tam w czasie odbytych spotkań zyskała nową wiedzę o przebiegu okupacji sowieckiej po swym wyjeździe z miasta. W związku z powracającą w rozmowach „sprawą profesorów lwowskich” zdecydowała o podjęciu wszelkich możliwych zabiegów jawnych i konspiracyjnych służących jej wyjaśnieniu oraz odnalezieniu profesorów. Odtąd cel ten towarzyszył wszystkim jej działaniom prowadzonym na rzecz uwięzionych zarówno w Generalnym Gubernatorstwie, jak i w czasie organizowania struktur RGO w Małopolsce Wschodniej.

W styczniu 1942 roku Karolina Lanckorońska wyjechała do Stanisławowa, gdzie zabiegać chciała o możliwość udzielenia pomocy żywnościowej uwięzionym. Spotkała się jednak z odmową ze strony szefa miejscowego Gestapo Hauptsturmführera Hansa Krügera – odpowiedzialnego za masowe mordy miejscowej inteligencji polskiej. Kolejne spotkanie w z Krügerem nastąpiło 25 kwietnia i miało charakter przesłuchania zmierzającego do uzyskania pretekstu

do aresztowania Karoliny Lanckorońskiej. Zarzut prowadzenia nielegalnej działalności odparła, okazując pełnomocnictwa władz niemieckich. Wówczas Krüger wystąpił z pytaniami o jej opinię na temat rozbitcia Państwa Polskiego, o jej nastawienie do Niemiec i prowadzonej przez Polaków pracy konspiracyjnej. Dyktowane honorem i potrzebą wyrażenia prawdy – lecz nie naruszające ustanowionego przez okupanta prawa – odpowiedzi zdecydowały o jej zwolnieniu. Po tym wydarzeniu jeszcze około trzech tygodni spełniała swe obowiązki w Stanisławowie.

Kres działalności Karoliny Lanckorońskiej położyło jej aresztowanie 12 maja 1942 roku w Kołomyi. Stąd przewieziono ją do Stanisławowa, gdzie ponownie stanęła przed Krügerem. Na wstępie zakomunikował jej, że na podstawie wcześniejszych zeznań trafi do obozu Ravensbrück. Godne przyjęcie tego oświadczenia wzburzyło Krügera. Zirytowany jej manifestowaniem patriotyzmu, przyznał się do współudziału w zamordowaniu profesorów lwowskich. Tak Karolina Lanckorońska dowiedziała się prawdy o owianej dotychczas tajemnicą zbrodni. Po przesłuchaniu, umieszczono ją w areszcie. 8 lipca 1942 roku, przewieziona została do więzienia we Lwowie. Następnego dnia doprowadzono ją do lwowskiego Gestapo. Tam pod zarzutem prowokacji wobec Krügera przesłuchiwał ją Walter Kutschmann, Komisarz SS do Polskich Spraw Politycznych – w lipcu 1941 roku podwładny Krügera oraz uczestnik i świadek zbrodni lwowskiej. Wbrew rozkazowi, nie aresztował wówczas kolejnej grupy profesorów. Wyczuwając towarzyszące mu wątpliwości – wyrzuty sumienia oraz niechęć do ówczesnego przełożonego, zdecydowała swymi zeznaniami obciążyć Krügera – dowodząc jego osobistej wrogości wobec siebie i ujawniając jego przyznanie się do zamordowania profesorów lwowskich. Sporządzony przez nią zgodnie z sugestią Kutschmanna raport, za jego pośrednictwem trafić miał do Berlina.

26 listopada 1942 roku poinformowano ją o mającym nastąpić nazajutrz wyjeździe do Rzeszy. Sytuację wyjaśniała wieczorna wizyta Kutschmanna w więzieniu, który poinformował Karolinę Lanckorońską, iż jej zeznanie trafiło do samego Hitlera i wpłynęło na podjęcie przez Himmlera stosownych działań. Krüger i Kurt Stawitzky – przełożony Kutschmanna ze Lwowa zostali odwołani. Ona sama przesłuchana miała być w Berlinie jako główny świadek w sprawie Krügera.

Po przewiezieniu do Berlina Karolina Lanckorońska 30 listopada stanęła przed Hertlem – sędzią przy Reichsführerze SS. W czasie przesłuchania nie chcąc narażać Kutschmanna, jako motyw napisania dostarzonego do Berlina sprawozdania podała chęć ocalenia siebie, przez przedstawienie

rzeczywistego przebiegu spotkania z Krügerem. Uwaga Hertla koncentrowała się jednak nie na fakcie zabójstwa profesorów przez Niemców i udziale w nim Krügera, lecz ujawnienia przez niego jako funkcjonariusza gestapo – tajemnicy państwowej.

Po przesłuchaniu, hr. Lanckorońska oczekiwała miała na konfrontację z Krügerem, wytoczenie mu procesu i wszczęcie postępowania w jej własnej sprawie. Zamiast tego, 8 stycznia 1943 roku przewieziona została do obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück. W dwa miesiące później – pod wpływem decyzji Berlina spowodowanych interwencją włoskiej rodziny królewskiej – dla zapewnienia jej lepszych warunków, przeniesiona została do izolatki. Nie chcąc być lepiej traktowaną od innych Polek, kilkakrotnie zabiegała o odesłanie jej do obozu. Wobec braku zgody komendanta podjęła decyzję o głodówce. Jej determinacja sprawiła, że 21 października pozwolono jej dołączyć do ogółu więźniarek Ravensbrück. Pomimo tragizmu życia obozowego, dzięki niezłomnemu charakterowi, swym działaniami i pomocą ratowała godność ludzką i wielokrotnie świadczyła o niej.

Z obozu Karolina Lanckorońska zwolniona została 5 kwietnia 1945 roku wraz z grupą 299 Francuzek dzięki zabiegom prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża prof. Carla Jacoba Burckhardta. Po przewiezieniu do Szwajcarii dowiedziała się, iż już wcześniej interweniował on kilkakrotnie w jej sprawie u Himmlera. Ten jednak w 1943 roku oświadczył mu w liście, że wobec powagi jej sprawy oraz cechującej ją prowokującej i szowinistycznej postawy, oczekuje zaniechania działań służących jej uwolnieniu. Podobną odpowiedź otrzymali jej krewni włoscy.

Przebywając w Szwajcarii, już w kwietniu hr. Lanckorońska złożyła na ręce prof. Burckhardta raport o sytuacji w obozie Ravensbrück. Poświęciła jej również opublikowany na łamach szwajcarskich czasopism naukowych artykuł w języku francuskim *Souvenir de Ravensbrück* i niemieckim *Erlebnisse aus Ravensbrück*. W sierpniu zaś w Rzymie, sporządziła meldunek o swym aresztowaniu dla gen. Władysława Andersa oraz Kazimierza Papée, ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej. Wtedy również zaczęła spisywać swoje wspomnienia, we fragmentach drukowane w londyńskiej prasie polskiej.

Sytuacja polityczna Polski po II wojnie światowej, wpłynęła na decyzję Karoliny Lanckorońskiej o wyborze życia na emigracji. Wstąpiła do II Korpusu gen. Andersa, gdzie troszczyła się o zapewnienie demobilizowanym żołnierzom wykształcenia. Jednocześnie, w listopadzie 1945 roku utworzyła w Rzymie wraz z ks. Walerianem Meysztowiczem Polski Instytut Historyczny. W 1967 roku w trosce o rozwój niezależnej

nauki i kultury polskiej powołała do życia Fundację z Brzezia Lanckorońskich.

W tym samym roku Karolina Lanckorońska, świadomie powróciła do przeżyć i doświadczeń z okresu wojny. Poinformowana w 1966 roku o toczącym się w Münster procesie przeciw Krügerowi – oskarżonemu o mord na Żydach stanisławowskich – postanowiła zeznawać w jego sprawie jako świadek. Dwukrotnie zabiegała u niemieckich władz sądowych o przesłuchanie. Dopiero groźba zamieszczenia treści listów w szwajcarskiej prasie zdecydowała o zgodzie na jej przesłuchanie. Rozprawa odbyła się 28 kwietnia 1967 roku. Po zrelacjonowaniu swych przeżyć w Stanisławowie, gdy hr. Lanckorońska podjęła zagadnienie kaźni profesorów lwowskich, przewodniczący składu sędziowskiego próbował przerwać jej wypowiedź – zarzucając brak związku z prowadzoną sprawą. Spotkało się to jednak z protestem pozostałych sędziów przysięgłych. Zeznania Karoliny Lanckorońskiej, wsparte okazaniem posiadanych przez nią dokumentów, zaciążyły na dalszym przebiegu rozprawy. Na jej zakończenie obrońca milczał, sam zaś oskarżony nie śmiał zaprzeczyć zeznaniom świadka.

Tego samego dnia odbyła się konferencja prasowa z udziałem prasy niemieckiej i żydowskiej oraz Radia Wolna Europa. Uwaga dziennikarzy spoza środowiska polskiego koncentrowała się na kwestiach żydowskich, z pomijaniem sprawy profesorów lwowskich. Zakończenie konferencji hr. Lanckorońska opisała następująco: „Delegatka Niemieckiego Czerwonego Krzyża zapytała mnie, dlaczego Polacy się o swoich zamordowanych nie upominają. Pytanie zrozumiałe, skoro w tym jednym procesie przesłuchano już przeszło stu świadków żydowskich, a ja byłam pierwszym świadkiem polskim. Wszyscy dziennikarze na konferencji też zapewniali, że o dzisiejszej sensacji – mordzie profesorów lwowskich – nikt w Niemczech jeszcze nie słyszał... Odpowiedziałam wymijająco, że przyczyną tego milczenia ze strony polskiej jest zapewne brak stosunków dyplomatycz-

nych między Polską Ludową a Niemiecką Republiką Federalną. Nie chciałam tłumaczyć, że nie wątpię, że Polskę Ludową nic nie obchodzi ci, którzy życie dali za Rzeczpospolitą na ziemiach wschodnich, dziś utraconych”.

W roku 1968 Krügera skazano na dożywotnie więzienie. Obarczano go odpowiedzialnością za masowe mordy popełnione na ludności żydowskiej. Pominęto zaś milczeniem zbrodnie wobec Polaków. Podjęte wówczas przez Karolinę Lanckorońską zabiegi na rzecz ponownego jej przesłuchania, w sprawie odpowiedzialności Krügera za zbrodnie lwowską, nie przyniosły efektu. Wtedy także dzięki ustaleniom Szymona Wiesenthala zidentyfikowano ukrywającego się w Argentynie Kutschmanna. Działania władz niemieckich, nie były jednak na tyle skuteczne, by doprowadzić do jego ekstradycji. Wobec braku postępu w sprawie wyjaśnienia i ukarania sprawców zbrodni na profesorach lwowskich – Karolina Lanckorońska opublikowała w lutym 1972 roku w piśmie ofiar prześladowań nazistowskich „Freiheit und Recht” („Wolność i Prawo”) artykuł pod tytułem *Aufklären, nicht totschweigen* (*Wyjaśnić, nie przemilczeć*). Jej apel nie spotkał się jednak z oczekiwaną reakcją wymiaru sprawiedliwości Niemiec.

Do swych doświadczeń z okresu II wojny światowej Karolina Lanckorońska powróciła w opublikowanych w 2001 roku *Wspomnieniach wojennych*. Nakłoniona do ich napisania przez osoby ze swego najbliższego otoczenia, wniosła istotny wkład w przekazywanie i pielęgnowanie oraz utrwalenie pamięci o tragicznych losach Polaków w czasie II wojny światowej. Są one wymownym wyrazem troski o przyszłe pokolenia oraz ich pamięć i świadomość historyczną. Jak powiedział bowiem uczestniczący w sympozjum w Castel Gandolfo w 1994 roku filozof Paul Ricoeur: „Pamięć jest tą siłą, która tworzy tożsamość istnień ludzkich, zarówno na płaszczyźnie osobowej, jak i zbiorowej. Przez pamięć bowiem w psychice osoby tworzy się poniekąd i krystalizuje poczucie tożsamości”.

STANISŁAW A. BOGACZEWICZ ■



Tu są Niemcy

Część 2

FOT. © AXEL KIRCH / CC BY-SA 4.0

■ AGNIESZKA KARAS



Tysiąc lat chrześcijaństwa na północy Bonn – głosi niemieckojęzyczny plakat na murze kościoła świętego Jana Baptysty i Piotra w centrum miasta. Kościół, który wynajmuje się polskojęzycznej parafii, stoi w miejscu, w którym przed tysiącem lat spotykali się na modlitwie pierwsi chrześcijanie z terenów biegu środkowego Renu. Niektórzy byli legionistami rzymskimi, przeszli na wiarę Chrystusa i ponieśli w obronie tej wiary męczeńską śmierć.

„Do sali parafialnej” – wskazuje drogowskaz na pomieszczenie, w którym od 29 lat prowadzi się katechezę w języku polskim. Od 1 września 2015 roku nie wolno już Polskiej Misji Katolickiej korzystać z tego pomieszczenia. Na tysiąclecie chrześcijaństwa na północy Bonn nieliczna parafia niemieckojęzyczna wymówiła licznej parafii polskojęzycznej możliwość korzystania z kościoła i sali katechetycznej w centrum miasta.

Biskupstwo zarządza przeprowadzkę Polskiej Misji do miejscowości Sankt Augustin na obrzeżach miasta. Oznacza to rozpad czterech klas, w których (w kombinacji z katechezą) uczono dzieci pisanie i czytania w języku polskim.

Polskojęzyczna rada duszpasterska wystosowuje list do kardynała w Kolonii, aby ten wpłynął na parafię gospodarzy i by pozostawiono choć jedną mszę w języku polskim w centrum miasta.

Ze strony niemieckojęzycznej parafii na spotkaniu z biskupem obecny jest proboszcz – szczupły sześćdziesięciolatek, ślący na prawo i lewo uśmiechy, i kilka osób z rady parafialnej, wśród nich emerytowany prawnik z doktoratem i przystojna starsza kobieta z umalowanymi na karmინowo ustami. Ze strony polskojęzycznej parafii obecna jest głównie młodzież. Są

też rodzice ministrantów i pani Matylda – staruszka ze Śląska. Jest umówione, by uważać na Matyldę, żeby nie palnęła czegoś niestosownego w obecności biskupa. Jest też proboszcz Polskiej Misji Katolickiej. Ale po ostatniej wymianie zdań z biskupem ma nakazane, by nie zabierać głosu w sprawie wypowiedzenia jego parafii umowy o korzystaniu z sali i kościoła w centrum miasta. To on, dwadzieścia dziewięć lat wcześniej, jako młody zakonnik, wystarał się o to, by do kościoła św. Jana Baptysty i Piotra przyjęto polskojęzyczną parafię.



FOT. © WWW.SANKT-PETRUS-BONN.DE

Początkowo odprawiał mszę dla dziecięciu wiernych. W chwili wypowiedzenia umowy, w roku 2015 polskojęzyczna wspólnota liczy ponad 1 200 osób. Tych ludzi proboszcz polskojęzycznej parafii ma wysłać na przedmieścia miasta. Bo tylko tam zdecydowano się przyjąć polskojęzycznych katolików. Polskojęzyczna rada duszpasterska napisała trzy wersje listu do kardynała w Kolonii, jedną wersję napisał nauczyciel matematyki, drugą – specjalista od marketingu, trzecią – poeta. Zrobiono tysiąc dwieście fotokopii, które rozdano w kościele. Polskojęzyczni wierni mieli listy przeczytać, podpisać i wysłać.

– Drogie Siostry, Drodzy Bracia, Polską Misję czeka przeprowadzka – otwiera spotkanie biskup. – Kardynał Kolonii otrzymał w tej sprawie 333 listy, i prosił, bym zajął się sprawą.

Tylko 333 listy? Nielatwo jest skrzyknąć Polaków do konkretnych akcji – przelatuje przez głowę Bogusi, która też przyszła na spotkanie z biskupem.

– Polskojęzyczna parafia rośnie. Również parafia niemieckojęzyczna... powiedzmy... – biskup szuka słów – rośnie... na skutek łączenia poszczególnych parafii w centrum miasta. Przed laty zaczęto robić w Kościele niemieckim oszczędności – wyjaśnia biskup archidiecezji kolońskiej, jednej z bogatszych archidiecezji Niemiec. – W ramach tej akcji Kościół wyzbył się wielu budynków. Nie przewidziano sytuacji, w której wiernych będzie przybywać, jak w przypadku waszej wspólnoty. W tutejszej parafii brakuje więc miejsca. Wasza wspólnota jest liczna. Wy potrzebujecie miejsca, żeby się spotkać. Czy wy wiecie, jak wspaniały jest przyklasztorny kościół w miejscowości Sankt Augustin na obrzeżach Bonn? Czy wy wiecie, jak wspaniałe są w tym klasztorze krużganki? – biskup uśmiecha się do swoich myśli.

– Ale pielęgniarki z domu starców mają tylko dwie godziny wychodnego w niedzielę. Nie zdążą obrócić w obie strony, jeśli msze święte będą odprawiane za miastem. Bilet na metro będzie droższy. Co z samotnie wychowującymi matkami? Co ze starcami? Co z rodzicami małych dzieci? A młodzież? Czy mamy młodzież pozbawić liturgii w języku ojczystym? – argumentują polskojęzyczni wierni.

– Drzwi parafii niemieckojęzycznych stoją dla was otworem – mówi pani z niemieckojęzycznej rady parafialnej.

Przecież nie tylko o liturgię chodzi – myśli Bogusia, i pewnie wielu wiernych też. – Polska Misja Katolicka to jedyne miejsce w przestrzeni publicznej zachodnich Niemiec, w którym dzieci polonijne, co najmniej raz w tygodniu, słyszą i mówią w języku polskim, za wyjątkiem lekcji polskiego, podczas których mówią po polsku tylko z nauczycielem, bo między



sobą komunikują się po niemiecku – tak im wygodniej.

– Płacimy podatki na Kościół w Niemczech i mamy prawo domagać się mszy świętej w języku polskim.

– Ale jest was tylu, że żadna parafia w Bonn nie chciała was przyjąć. Wszyscy mówią, że nie mają miejsca.

Rozmowa schodzi na pieniądze, paragrafy, miejsca parkingowe i umowę o wynajęcie nieruchomości.

– Czy my jesteśmy w biurze maklera, czy w Kościele? – pyta matka ministrantki Karoliny.

– Nie chcemy odchodzić z centrum Bonn – mówi matka ministrantki Aśki. – To nasz kościół, tu zawieramy śluby, tu chrzczymy dzieci. Tu polskojęzyczne dzieci idą do bierzmowania i ślubu.

– Nie przywiązujecie się tak do murów – radzi pani z niemieckiej rady parafialnej. – Bóg jest wszędzie.

– Chcemy pójść Drogą Piotrową – włącza się do rozmowy proboszcz niemieckojęzycznej parafii i zaczyna opowiadać o swojej wizji szeregu akcji kontemplacyjno-modlitewnych, którą wypełni pustoszejącą parafię.

– Ale znajdzie się chyba w Drodze Piotrowej jedna wolna godzina w niedzielę, żebyśmy mogli odprawić też mszę po polsku – mówi przewodnicząca polskojęzycznej rady duszpasterskiej.

– Drogą Piotrową to szereg akcji nieograniczonych do konkretnej godziny – uśmiecha się tajemniczo proboszcz. – Będziemy celebrować msze święte dla ludzi z demencją. Chorych na demencję peszą duże skupiska ludzkie. A na msze w języku polskim przychodzą tłumy.

Następnie wymienia sale koncertowe i kościoły Bonn, które czeka remont. Wiernych tych kościołów chciałby przyjąć w jego parafii.

– Postawiliśmy na dialog między religiami – kończy wypowiedź proboszcz.

– To dlaczego nie prowadzicie dialogu z nami? – wtrąca jedna z polskich studentek.

– Może dziwnie to zabrzmiało, ale ja powiem szczerze: my potrzebujemy trochę swobody

– mówi kobieta z niemieckojęzycznej rady duszpasterskiej. – Nie chcemy już zważać na terminy waszej parafii. Nie chcemy dzielić z wami jedynej salki, jaką nam zostawiono.

– Podsumujmy wyniki spotkania – decyduje biskup. – Strona polskojęzyczna życzy sobie jednej polskojęzycznej mszy świętej w centrum Bonn, jeżeli to możliwe, w kościele św. Jana Baptysty i Piotra w centrum...

– Nie, „jeśli to możliwe”, tylko na pewno w kościele św. Jana Baptysty i Piotra – wpada biskupowi w słowo przewodnicząca polskojęzycznej rady.

– Jeżeli to możliwe, w kościele św. Jana i Baptysty... – uparcie ciągnie biskup.

– Na pewno w kościele św. Jana Baptysty i Piotra – znowu wpada w słowo biskupowi polska przewodnicząca.

Biskup zaczyna udierać ręką w stół.

– Nie przerywajcie mi! Słuchajcie, co do was mówię! – krzyczy. W chwilę potem przeprosza za podniesienie głosu.

Zgłasza się doktorantka z Polski.

– Moi niemieckojęzyczni znajomi zastanawiają się, czy w całej tej sprawie nie chodzi o niechęć do cudzoziemców? – mówi drżącym głosem.

– Jeżeli opowiada pani o sprawie w tak emocjonalny sposób, jak w tej chwili, znajomi mogą takie wrażenie odnieść – mówi biskup.

– Ja z mojej strony mogę zapewnić, że nie ma tu mowy o niechęci do cudzoziemców. Jeden z ministrantów chce zabrać głos.

– Po zajęciach na uniwersytecie przybiegałem w piątki na msze święte w języku polskim. Świat wydawał mi się taki uporządkowany – mówi spokojnym głosem, świetnym niemieckim.

Cicho robi się na sali. Biskup dziękuje za spotkanie.

– Niechęć do cudzoziemców? Jaka znowu niechęć? – emerytowany prawnik z doktoratem, członek rady parafialnej niemieckojęzycznej parafii, z niedowierzaniem kręci głową.

Ciąg dalszy na s. 40 ►

► Ciąg dalszy ze s. 39

O rany, Matylda! Było mówione, żeby pilnować Matyldy! Za późno. Staruszka o chudych nogach i siwych, spiętych rogówką spinką włosach, wymachuje przed biskupem laską.

– Nie dam! To mój kościół, moje zdrowie! – dochodzą do Bogusi strzępy słów, jakie staruszka wyrzuca w stronę biskupa. Biskup pochyla się nad Matyldą.

– Módlcie się za mną, kobieto – mówi.

Proboszcz polskojęzycznej parafii też prosi, by modlić się za biskupa.

Kolejne spotkanie przedstawicieli obu Rad parafialnych. Biskup jest nieobecny. Do opieki nad duszpasterstwem polskojęzycznym oddelegowano nową osobę – młodego niemieckiego księdza, który do tej pory kierował seminarium duchownym w Kolonii. Ten jest na spotkaniu i bez komentarzy obserwuje dziwną atmosferę: skostniałe w staraniu o zachowanie neutralnego wyrazu twarze polskojęzycznych przedstawicieli i uprzejmie uśmiechnięte twarze niemieckojęzycznym gospodarzy, którzy zdają się szukać okazji do przyjaznej pogawędki. Nieobecny biskup kazał przekazać najserdeczniejsze życzenia polskojęzycznym siostram i braciom.

– Do was należy przyszłość Kościoła – szepcze w stronę polskojęzycznej rady duszpasterskiej referent biskupa. To jedno z jego ostatnich, oficjalnych spotkań, bo odchodzi na emeryturę.

Jest i mediator spotkania, bo uznano, że bez takowego się nie obejdzie. Proboszcz niemieckojęzycznej parafii przychylił się do prośby polskojęzycznych wiernych, brzmi pierwsza, oficjalna wiadomość spotkania. Zachowuje się jedną mszę świętą w języku polskim w centrum Bonn na okres jednego roku. Potem Polska Misja będzie musiała opuścić kościół w centrum miasta. Dotych-

czas mszę odprowadzono o godzinie 12.15. Na kolejny rok ustala się nową porę – 8.15 rano w niedzielę i święta.

Oficjalną decyzję mamy, porę mszy mamy, to dobra pora, podsumowuje mediator. Nikt z polskojęzycznej rady mu nie przerywa, nie mówi, że nowa pora jest beznadziejna, bo wiadomo, że albo będzie ta pora, albo nie będzie żadnej.

Niedziela, godzina 8.15. Jest jeszcze półmrok. Bogusia, ziewając, ślania się na nogach. W kościele nie ma o tej porze dzieci, nie ma prawie młodzieży. Przed wiernych wychodzi chłopak, który zabrał głos na końcu spotkania z biskupem. Żegna się z parafią. Przerwał studia teologii na uniwersytecie w Bonn, i wstępuje do seminarium duchownego Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej w Poznaniu, by w przyszłości móc pracować z emigrantami z Polski.

– To znak żywotności wspólnoty, jeżeli pojawia się w niej kandydat na duchownego – mówi wikariusz Polskiej Misji.

Klasztor misjonarzy werbistów w Sankt Augustin na obrzeżach Bonn. Na ścianach klasztoru wiszą zdjęcia z miejsc, w których pracują werbiści, z Afryki i Azji. Nie ma w tym klasztorze przytulnej parafiańskości, zastałych grup bywalców, z których każda rości sobie pretensję do dysponowania kościołem. Tu się przychodzi i odchodzi. W hallu klasztoru widuje się zakonników, czarnoskórych i białych.

Szopka w przyklasztornym kościele zimą 2015 roku składa się z konstrukcji imitującej więzienne kraty. Nie ma sreberka i ozdóbek. Czarnym flamastrem wypisano hasła na tekturowych płachtach. Hasła są w języku arabskim. W szopce jest trzech uchodźców: Maryja, Józef i mały Jezus. Misjonarze werbiści nie boją się polskojęzycznych katolików, nie boją się też ludzi uciekających przed terrorem Państwa Islamskiego, bo znają świat.

Szybowce latają nad głowami wiernych. Niedaleko klasztoru misjonarzy werbistów

jest lotnisko sportowe. To dobrze, łatwiej jest uprosić dzieci, żeby trzydzieści minut jechały tramwajem na drogę krzyżową w języku polskim. Cudownie jest być przyjętym na nowym miejscu, jakkolwiek by nie było daleko od centrum miasta.

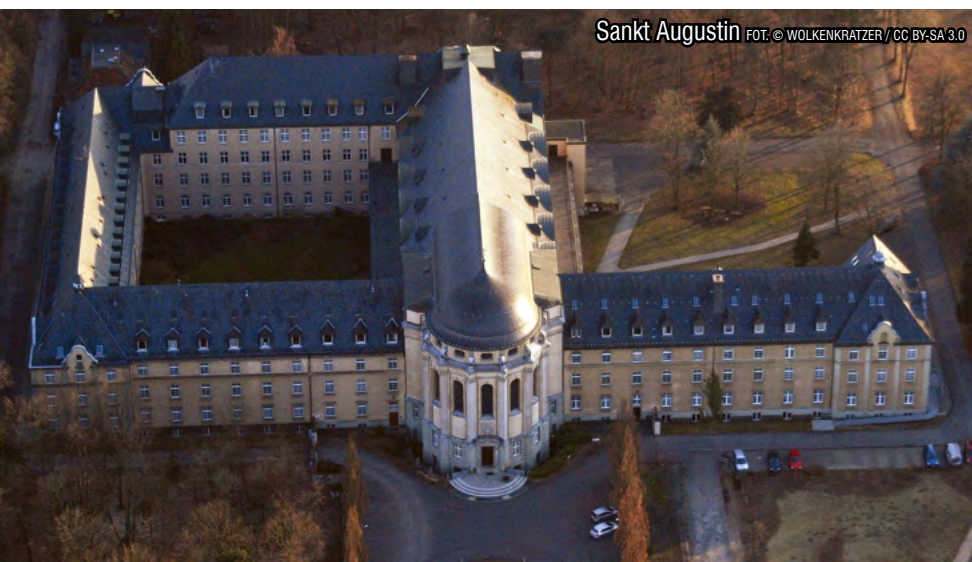
W roku 2016, po wyprowadzce z kościoła św. Jana Baptysty i Piotra w centrum Bonn, Polska Misja Katolicka otrzymuje nową siedzibę. Obok klasztoru na przedmieściach, może sprawować msze święte w języku polskim również w parafii na zachodzie miasta. Kościół pod wezwaniem św. Michała jest niewielki, ale atmosfera przyjazna. Proboszcz parafii pochodzi z Zagłębia Ruhry, zna polskojęzyczne wspólnoty na terenie Niemiec, bez problemów zgadza się wynająć Polskiej Misji kościół.

W styczniu 2018 przyjeżdża na wizytację do Polskiej Misji następca biskupa. Tego biskupa, który swojego czasu przyjechał na spotkanie z polskojęzycznymi wiernymi i walił pod koniec spotkania pięścią w stół, bo mu rozmówcy w słowo wpadali.

– Wizytacja kojarzy się z wizytą teściowej – mówi na początku wspólnej mszy biskup, młody człowiek, który do niedawna kierował seminarium duchownym w Kolonii, i którego tytułuje się *monsignore*. Następnie zwraca się do zgromadzonych w kościele, polskojęzycznych wiernych w ich rodzimym języku. Kilkakrotnie podczas mszy zaskakuje Polaków ich ojczystym językiem, słychać, że wyuczonym specjalnie na tę okazję. Polskojęzyczni katolicy cieszą się i chętnie włączają do modlitwy z *monsignorem*. To nowy, przychylny wiatr. Bo za poprzedników młodego opiekuna polskojęzycznych wiernych było tak, że podczas wizytacji odprowadzono wspólną mszę wyłącznie w języku niemieckim i wielu wiernych zostawało w ten dzień w domu, nie rozumiejąc niemieckojęzycznych modlitw.

Wstaje nowy dzień. Nowy dzień w dzielnicy migrantów. Dzieci, jak młode lisy, biegają po podwórku miejskiej podstawówki. Od śmietnika do huśtawki, od huśtawki do śmietnika. Jeszcze uczą się i bawią wszystkie razem. Po czwartej klasie zostaną rozdzielone. Podział społeczeństwa zaczyna się w Niemczech w piątej klasie.

Z okna mieszkania patrzy Bogusia na dzielnicę imigrantów. Zależnie od tego, w którą stronę patrzy, dzień zaczyna się powoli lub szybko. Jeżeli patrzy w prawo, dzień zaczyna się powoli. Po prawej stronie mieszkają Ormianie, którzy mówią w domu po rosyjsku i w klubie dzielnicowym prowadzą sekcję szachową. Bogusia nigdy nie rozmawia z nimi o polityce. Bo czy to coś zmieni, jeśli zapyta sąsiada, dlaczego Władimir Putin zajął Krym, a zimą 2016 roku bombarduje szpitale w syryjskim mieście



Sankt Augustin FOT. © WOLKENKRATZER / CC BY-SA 3.0

Aleppo? Zamiast tego rozmawia z sąsiadami o tym, że jest parno albo że bezchmurne niebo zwiastuje zimną noc.

Kiedy Bogusia patrzy na dół, dzień zaczyna się szybko i pachnie kawą. Na dole mieszkają Niemieccy emeryci. Wstają o szóstej rano, by czytać gazetę, sprawdzić, czy wszędzie jest ład, i wygłaszać monologi przy stole.

Kiedy Bogusia patrzy na lewo, myśli o tym, żeby po cichu zejść ze schodów bloku i nie otwierać na korytarzu okna. Bo po lewej stronie mieszka rodzina bośniackiego piekarza, który na nocnej zmianie wypieka chleby, a za dnia marznie z niewyspania.

Z okna bloku widzi Bogusia granicę między „dobrą” i „nie dobrą” częścią dzielnicy. Po dobrej stronie ulicy czynsz za wynajem 80 m² mieszkania wynosi 800 euro, po nie dobrej – o połowę mniej. Bogusia mieszka w tej części dzielnicy, w której czynsz jest niższy.

Z okna bloku widzi Bogusia ludzi pędzących do autobusu. Ludzi, którzy pracują w biurach albo jako sprzątacze w dużych firmach. Ludzi, których dyplom ukończenia studiów pedagogicznych szkoły wyższej jakiegos kraju w Europie środkowo-wschodniej nie został uznany, dlatego pracują w Niemczech jako wychowawcy w świetlicy albo opiekunowie niedołążnych ludzi.

Pani Maria z Rzeszowa biegnie na *puckę*. *Pucką* nazywa się miejsce, w które chodzi się sprzątać. Pani Maria ma ponad 70 lat, ale ciągle jeszcze chodzi na *pucki*. W oczach pani Marii jest spokój człowieka, który nie pragnie niczego więcej ponad to, co ma.

Arabscy starcy przechodzą pod oknem. Idą powoli, z godnością. Ich białe kaftany z szorstkiej tkaniny mają w sobie coś z oddechu pustyni, coś, co wymyka się pośpiechowi i prawom dzielnicy.

„Opowiedz mi swoją historię! Użyj słów: Kto? Gdzie? Kiedy i dlaczego?” – napisało kolorowymi literami na ścianie klasy w miejskiej podstawówce. Połowa uczniów pochodzi z Europy, w tym tylko jedna czwarta z Niemiec, druga połowa pochodzi z Afryki i Azji. To, który uczeń jest dzieckiem uciekinierów z Syrii, poznaje się po używanym tornistrze, który rodzice któregoś z byłych uczniów przekazali szkole, po używanym piórniku, niedopasowanych ubraniach, i po tym, że dziecko nie mówi po niemiecku. Takim dzieckiem zajmują się koledzy i koleżanki mówiące po arabsku albo po kurdyjsku. Wychowawczyni zaprasza takie dziecko do zabaw ruchowych na długiej przerwie. Szczęściem dla takiego dziecka jest wysłanie go raz w tygodniu na zajęcia z języka ojczystego. Wtedy dziecko ma jedną maleńką wyspę, na której czuje się pewnie.

W piekarni na rogu ulicy jest kolejka. Większość klientek to muzułmanki, ubrane w hidżab – chustkę, zakrywającą włosy,



Dzień Świętego Marcina

FOT. © PATRICIA SZABO / NEUEPRESSE.DE



FOT. © SOFIA BURTON

uszy i szyję, ale pozostawiającą odkrytą twarz. Hidżab jest znakiem muzułmańskiej religijności kobiet. Arabki poznaje się po korpulentnych figurach i miękkich ruchach. Niemki, które dopiero niedawno stały się muzułmankami, są przeważnie wyższe, szczuplejsze, mają bardziej kanciaste, dynamiczne ruchy, twarz i całą sylwetkę szczerzej zasłoniętą niż muzułmanki z dziada pradziada, na przykład czarną chustą przechodzącą w długi szal i zakrywającą dolną część twarzy, albo pozostawiającą jedynie niewielkie otwory na oczy. Takie okrycie to czador. Do dzieci mówią głośnym, wyraźnym niemieckim, jakby chciały zademonstrować, że są Niemkami i pochwalić się ich nową religią.

W kolejce stoi Dżamila, niegdyś Agnieszka. Nosi na włosach chusteczkę, a pod chusteczką dodatkową opaskę zasłaniającą część czoła i włosów. Przed laty wyszła za mąż za piłkarza z Maroka. Dziewczyny w akademiku zazdrościły jej tego przystojnego chłopaka z umięśnionymi nogami. Kiedyś Agnieszka z błyszczącymi oczami opowiadała o swoich chrześcijańskich przeżyciach, dziś opowiada o odpowiedziach, jakich szukała, i znalazła w *Koranie*, aż ją mąż strofuje „nie gadaj tyle”. Czasem

wyrwie się Agnieszce podczas rozmowy emocjonalne „Jezus, Maria!”, aż Arnold zaczyna chichotać. Agnieszka *alias* Dżamila i Achmed mają trójkę dzieci. Achmed prowadzi w centrum Bonn zakład poligraficzny z punktem xero, trójka ich dzieci uczy się w dobrych szkołach, dzieci chodzą też na lekcje języka polskiego jako ojczystego. Władają polskim, arabskim i niemieckim.

– Co to za święto teraz macie? Sąsiadka z Libii stoi przed plakatem zapraszającym na ekumeniczne ognisko.

– Zesłanie Ducha Świętego, odpowiada Arnold – niepraktykujący protestant, poinstruowany przez syna katolika.

– Aaaa, Duch Święty to ja chyba mogę sobie wyobrazić, „zesłanie” to też chyba wiem – Libijka wpatruje się w plakat z językami ognia.

Między sąsiadami z bloku Bogusi nie trudno porozumieć się co do świąt religijnych. Marokańczyk z warzywniaka wie, co to post, bo sam obchodzi ramadan, więc w marcu nie częstuje Antka słodczykami. Wychowawczyni w podstawówce składa dzieciom muzułmańskim życzenia z okazji zakończenia ramadanu. Chrześcijańscy uczniowie nie przynoszą na szkolne uroczystości słodczy z dodatkiem żelatyny, bo żelatyna jest produkowana z wieprzowiny, która w religii judaistycznej i muzułmańskiej uchodzi za mięso nieczyste. Wszyscy uczniowie podstawówki biorą udział w pochodzie ku czci Świętego Marcina wieczorem 11 listopada. Niosą ulicami kolorowe lampiony, a potem chodzą po domach i śpiewają piosenki o legionście rzymskim, który podzielił się płaszczem z żebrakiem. Za śpiewanie nagradza się dzieci słodczykami. Czasem z muzułmankami chodzą ich matki, dyskretnie stojąc u podnóża schodów, podczas gdy ich córki w chusteczkach na głowach, razem z chrześcijańskimi dziećmi śpiewają:

*Święty Marcin na koniu mknie
Śnieg i wiatr mu w oczy dmie
Zziębnięty żebrak na drodze stoi
o pomoc prosić on się nie boi.*
CDN.

AGNIESZKA KARAŚ ■

Szwedzkie otwarcie na multi-kulti w obiektywie Stefana Sarena



Wojna gangów w Szwecji, z którą w tej chwili mamy do czynienia, świadczy o słabości państwa szwedzkiego i niemocy polityki multi-kulti. Żadne państwo nie jest dobrze przygotowane na to, aby te osoby zintegrować, a ponadto takie osoby nie są zainteresowane integracją.

Moi przyjaciele mieszkający na stałe w Göteborgu, Malmö czy Sztokholmie potwierdzają to, co tam się dzieje. To nie jest nowe zjawisko. Już parę lat temu zwracano uwagę, że źle się dzieje w dzielnicach, gdzie rolę policji przejmują gangi.

Gangi oferują osobom niewykształconym środki finansowe, aby mogły one dorównać swoim szwedzkim czy niemieckim rówieśnikom. Wiemy, że dzień bez strzelaniny w Szwecji jest dniem straconym. Przy okazji giną postronni obywatele Szwecji.

SŁAWOMIR OZDYK ■

□ Pełna wypowiedź dr. Sławomira Ozdyka o wojnie gangów w Szwecji oraz problemach z imigrantami w Niemczech w audycji „Świat w powiększeniu” Polskiego Radia 24 www.polskieradio24.pl

Owoce

Adam mieszka na wysokim parterze w budynku położonym w eleganckiej dzielnicy Kristianstadu (południowa Szwecja). Gdy pogoda dopisuje, lubi spędzać czas na balkonie, z którego można zejść drewnianymi schodami do ogródka otoczonego gęstym żywopłotem. W ogródku rosną trzy duże drzewa owocowe: jabłoń, grusza i śliwa. Owoce są dorodne, więc Adam często robi z nich kompoty, zaprasza też sąsiadów na degustację.

Któregoś dnia (latem 2020 roku) za żywopłotem stanęło ośmiu chłopaków o ciemnej cerze w wieku 12-13 lat. Uprzejmie zapytali, czy mogą urwać sobie trochę jabłek.

– Proszę bardzo – zgodził się Adam. – Jabłek jest tyle, że możecie urwać ile chcecie.

Narwali, zapakowali w plastikowe torby i stanęli za żywopłotem.

– Ich twarze – wspomina Adam – nagle bardzo się zmieniły, ziały nienawiścią.

W pewnej chwili bez uprzedzenia zaczęli rzucać w niego tymi jabłkami. Gdyby drzwi balkonowe były zamknięte, wyłukliby wszystkie szyby. Przestali rzucać, gdy skończyła się „amunicja”. Nie wiadomo było, jak reagować, bo to jeszcze prawie dzieci, więc Adam tylko zasłaniał się rękami, zresztą sąsiedzi też przyglądali się bezradnie.

Upłynął tydzień. Przed domem pojawiła się kolejna grupa w podobnym wieku. Uprzejmie zapytali, czy mogą zerwać trochę gruszek. Robili sympatyczne wrażenie, jednak Adam w pierwszej chwili zamierzał odmówić, ale sąsiad z boku poradził, aby im pozwolić na rwanie, bo zemszczą

się i spalą schody, kiedy nikogo w domu nie będzie.

Sytuacja z obrzucaniem Adama owocami powtórzyła się. Tym razem mężczyzna nie wytrzymał, wziął z domu gruby kij przygotowany wcześniej „na wszelki wypadek” i skoczył z zamiarem „wymierzenia sprawiedliwości” napastnikom. Byli szybsi, więc uciekli.

Tego samego dnia Adam udał się do administracji osiedla i zażądał wezwania policji. Kierownik obiecał, że sam rozwiąże problem i... słowa dotrzymał.

W dwa dni później Adama obudził warkot silnika. Gdy wyrwał przez okno, zobaczył na ziemi wszystkie trzy drzewa owocowe. Zostały ścięte. Młodzi muzułmanie już nie pojawiali się w jego ogródku, a kierownik administracji z dumą głosił naokoło, że problem rozwiązali. **MP ■**



FOT. WINSCHOTEN / PINTEREST.COM

Pomyślny holenderski marsz...

JOANNA

PASZKIEWICZ-JÄGERS



Czy warto wspominać 30-lecie upadku Muru Berlińskiego? „Przecież to było tak dawno!” – tak zareagował poproszony o wypowiedź Holender, który dwadzieścia lat jeździł w odwiedziny do przyjaciół w Berlinie Wschodnim.

Upadek Muru... zbyt dawno? Trudne do zaakceptowania, niemniej jednak charakterystyczne. Szybko ubywa zainteresowanie przeszłością. Również przeszłością własnego kraju.

Stare dobre czasy? Nie było ich tutaj. Były tylko biedne czasy.

Poszukiwałam śladów przeszłości (wyobrażanej sobie jedynie), w małej wsi na północy Holandii, do której wprost z Warszawy przybyłam z końcem lat osiemdziesiątych. Większość mieszkańców pochodziła z tego samego regionu i łączyło ich poczucie wspólnoty. Przybysze z zewnątrz stanowili mieszaninę żyjącą po swojemu i zupełnie obok.

Wieczorami nasza wieś nieruchomiała... Za nieosłoniętymi oknami w ciemnych wnętrzach migotały ekrany telewizorów. Niedziele charakteryzowała całodniowa modlitewna cisza.

Domy rdzennych mieszkańców miały cechy wspólne. Laboratoryjnie czyste kuchnie o wpół do jedenastej przesycił zapach kawy pitej do krótkiego odpoczynku. Uporządkowana sień mieściła pralki, rowery, była też miejscem na saboty, które mężczyźni zdejmowali wchodząc do domu przez kuchnię. Na przydomowe trawniki wystawiano przenośne chatki królików.

W niektóre dni na chodnikach widniały pojemniki z obierzynami; około południa wysypywali je na przyczepę młodzi bezrobotni.

Poniedziałki oznaczały pranie; na sznurach kołysała się śnieżnobiała pościel i wzdęte wiatrem kombinezony robocze. W środy przez wieś przejeżdżał sprzedawca smażonych ryb ogłaszający się dzwonkiem i okrzykiem: Lekkebekje! W sztormowe dni, a było ich wiele, uczniowie wracali ze szkół w zwartych grupach, płasko przygięci do kierownic rowerów. 30 kwietnia wieś świętowała Dzień Królowej, a 6 grudnia przybycie Świętego Mikołaja (przyływał kanałem motorówką). Tymi pocztówkowymi wspomnieniami nie dzielę się z nikim, gdyż spotkałoby mnie wzruszenie ramion.

Jaki sens ma dodawanie przeszłości do teraźniejszości?

Maszerujemy, świat się zmienia i Holandia zmienia się wraz z nim.

Próbuję zagadnąć o przeszłość, ot tak, dwóch znajomych z pokolenia lat 60. Dla zachęty podsuwam książkę *Nasze dobre życie. O tym, jak Holandia w ciągu półwiecza stawiała się coraz zamożniejsza* (Annegreet van Bergen, *Het goede leven. Hoe Nederland in een halve eeuw steeds welvarender werd*, Wydawnictwo Atlas Contact, 2018). Zawiera ilustrowany archiwalnymi zdjęciami opis czterokrotnego wzrostu holenderskiej zamożności, mierzonego wysokością dochodu na mieszkańca. Obaj rozmówcy przerzucają książkę od niechcenia, ironicznie pytają czy jest nowa, a jeśli nawet, czy może coś dodać do tego, co i tak już wiedzą?

Gdy decydują się na moment zwrócić ku przeszłości, zgodnie wskazują najpierw mityczny dla nich ruch Provo z 2. połowy lat sześćdziesiątych, po nim rewolucyjny obyczajowo okres, w którym dorastali – lata siedemdziesiąte. Jeden z nich, instruktor tai-chi wyuczony przez chińskich nauczycieli, chce podkreślić przełomową rolę amerykańskiej popkultury. Sam otacza cześć Neila Younga, w którego europejskich koncertach wielokrotnie uczestniczył.

Ciąg dalszy na s. 44 ►

► **Ciąg dalszy ze s. 43**

Utożsamia się z jego muzyką, działaniami charytatywnymi i z troską o Matkę Ziemię.

Wypowiedzi nawiązującej wprost i w osobisty sposób do lat powojennych, spodziewam się od przedstawiciela pokolenia Babyboomers. Eddy Ufkes doświadczył zarówno przygniatającego biedą dzieciństwa, jak i uszczęśliwiającego marszu ku zamożności.

Urodził się w 1947 roku w północnym miasteczku Winschoten. Jego ojciec pracował jako kamieniarz w przykościelnym zakładzie, a po ożenku z córką właściciela został u teścia pracownikiem dwuosobowego biura (dziadek Eddy'ego był w Winschoten pierwszą osobą, która miała telefon).

Charakteryzując sytuację rodziny z początku lat pięćdziesiątych, Eddy z właściwą sobie prostolinijnością stwierdza: „Żyliśmy bardzo spokojnie – z daleka od polityki nasyczonej lękiem przed komunizmem i atakiem atomowym. I też bardzo skromnie; wciąż tylko w naszym własnym gronie i w najbliższym otoczeniu. Z młodszym o cztery lata bratem ani nie mieliśmy miejsca do zabaw, ani nie wyjeżdżaliśmy na wakacje. Kino było możliwe raz lub dwa razy w roku. Stolica prowincji, miasto Groningen, wydawało się nam bardzo odległe”.

W najwcześniejszych wspomnieniach Eddy'ego powtarzał się wyraz *dichtbij* – blisko, tuż obok. Codzienne bytowanie jego rodziny rozgrywało się na ograniczonej powierzchni. Rozstanie ze ściśniętym przestrzennie sposobem życia będzie najważniejszą ze zmian, jakie przyniesie mu holenderski dobrobyt.



Eddy Ufkes, początek lat. 60 XX wieku | FOT. ARCHIWUM EDDY UFKES

Poczucie, że świat się ku niemu otwiera, przybliża, narastało krok po kroku. W wieku lat dwunastu Eddy miał własny rower, w wieku lat osiemnastu – motorower.

Kiedy przeprowadzili się do Stadskanaal i ojciec zaczął pracować w fabryce Philipsa, rodzinna izolacja została przełamana. Zaczęli nawiązywać kontakty z tymi, których dawniej uważaliby za „obcych”. Standard rodzinnego życia szybko wzrastał. Mogli teraz więcej kupować. Tak, jak ówczesnie w wielu holenderskich rodzinach najważniejszym zakupem stała się pralka automatyczna. Co za ulga... matka już nie musiała pracować ręcznie!

Eddy z przyjemnością wspomina służbę wojskową 1970-1971 i rozpoczęcie pracy nauczyciela muzyki w szkole (pozostanie w tej szkole 38 lat). No i wkrótce... w jego szkole i w całej Holandii nadszedł okres, w którym – jak mówi oględnie – każdy zaczął mieć coś więcej do powiedzenia.

„Kobiety na przykład zaczęły pracować, co sprawiło, że szkoła miała w południowych godzinach wobec dzieci nowe powinności. To ja musiałem je wymyślić i zorganizować. Wtedy zyskałem poczucie, że społecznie znajduję się wewnątrz. To poczucie jest ze mną do tej pory” – stwierdza Eddy.

Obecne życie Eddy'ego jest rodzinne, materialnie dostatnie, sprawnie zorganizowane i nacechowane przestrzennym oddechem, który mu wciąż rekompensuje



FOT. ARCHIWUM EDDY UFKES

lata „przykurczenia”. Dumnie stwierdza: „Teraz mogę być wszędzie”.

Od 1987 roku systematycznie wyjeżdża poza Holandię i wybiera przeciwstawne kierunki, np. Portugalia i Kanada. W Skandynawii był niezliczoną ilość razy. Dzięki jednej z córek, która została w Danii trenerką łyżwiarstwa figurowego, Eddy ma w Danii blisko morza własny dom. Wciąż fascynują go obserwowane z bliska różnice kulturowe między Danią a Holandią. Natomiast jeśli chodzi o własny kraj, od kilku lat dostrzega niepokojące go zmiany społecznych zachowań.

Zmiana pierwsza: bliskie kontakty kurczą się. Jest ich coraz mniej, a te, które pozostają, chętnie odbywane elektronicznie, stają się mniej osobiste.

Zmiana druga: w centrum uwagi stawianie siebie samego. Ja, ja, ja! – moja własna osoba jest najważniejsza. Nastawienie tego typu przestało być ganione jako samolubne.

Zmniejszone zainteresowanie innymi ludźmi mieć będzie – zdaniem Eddy’ego – liczne konsekwencje. Jedną już dostrzega: w Stadskanaal aż dwieście rodzin korzysta z Banku Żywności. Oznacza to, żeuboższych rodzin żyjących w stanie społecznego wyizolowania należy szukać również w małych miastach.

Opinia, że półwieczny okres wzrastającej zamożności wykształcił w Holandii optykę nadwątlającą dawne społeczne więzi, powtarzała się we wszystkich moich rozmowach z osobami pamiętającymi lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte XX wieku.

Dla młodszych rozmówców ten punkt odniesienia był w czasie zbyt odległy, aby go chcieli brać pod uwagę.

Krótsze życiowe doświadczenie stawia ich po innej, różniejszej, bardziej optymistycznej stronie. Chcą realizować wysoce zindywidualizowany sposób przeżywania życia. Ma być intensywny i przebiegać przy jak najmniejszej liczbie ograniczeń. Ma też być szybkie. Świat przyspiesza licząc się sekundy.

Ten model życia w oczywisty sposób zakłada pewien stopień zamożności.

Zamożność powinna być możliwa do osiągnięcia w obrębie jednego pokolenia i na tyle szybko, aby dało się ją odpowiednio wykorzystać. Co do tzw. wielkich pieniędzy, można się bez nich obyć.

W życiu powinno być miejsce na wiele; pracę, naukę, wygodny i dobrze wyposażony dom, bliskość rodziny, przyjaźń, miłość, sport, podróżowanie... Protestowałyby, gdyby ktoś ten model określił jako: zelfzuchtig – samolubny.

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS ■



Stadskanaal | FOT: GOUWENAAR/WIKIPEDIA



Wydawnictwo
Stowarzyszenia
im. Witolda Hulewicza

Poezje Rilkego w tłumaczeniu Hulewicza z przedmową Romualda Karasia

Celem projektu, realizowanego w ramach umowy z Instytutem Książki, jest wydanie poezji Rainera Marii Rilkego w polskim tłumaczeniu Witolda Hulewicza. Edycja będzie nie tylko przybliżeniem bogactwa poetyckiego austriackiego poety, reprezentanta liryki symbolicznej, prekursora egzystencjalizmu, ale również poszerzeniem wiedzy o życiu i twórczości

Witolda Hulewicza – poety, wybitnego tłumacza literatury niemieckojęzycznej. Wiersze zostaną zaczerpnięte ze zbiorów:

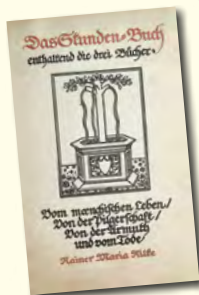
Das Stunden-Buch (1899-1905, tłum. 1935) i *Das Buch der Bilder* (1902-1906, tłum. 1927). Zbiór poezji ukaże się w 2021 roku, z okazji 95. rocznicy śmierci Rilkego (+29 XII 1926, Valmont k. Montreux) i 80. rocznicy śmierci Hulewicza (+12 VI 1941, Palmiry).

Tłumaczenie tekstów od wydawcy: Agnieszka Karaś
Opracowanie wydawnicze i redakcyjne: Ireneusz St. Brucki
Opracowanie graficzne: Dobrochna Bugiera
Korekta: Radosława Pieniężna-Grabowska

Edycję dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa
Narodowego i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.





” *Feldmarszałek Lorentz von Linde wysadzał w powietrze polskie zamki. Leksykograf Samuel Linde opracował epokowe dzieło pod tytułem «Słownik języka polskiego». Ogólnie rzecz biorąc, to jednak Szwedzi okropnie nam namieszcili, natomiast Henryk Sienkiewicz w «Potopie» potraktował ich mimo wszystko zbyt łagodnie.*

MIROŚLAW PRANDOTA

Zamek w Ogrodzieńcu, 2014

FOT. © JAKUB HALUN / CC BY-SA 3.0

Piromani XVII wieku

■ MIROŚLAW PRANDOTA



Historia jest podobno matką wszystkich nauk. Sęk w tym, że dorośli przeważnie nie słuchają już matki i wiele na tym tracą. Ma więc historia wartość przeważnie tylko poznawczą, porównawczą, archiwalną, skłaniającą do refleksji, nikt natomiast nie planuje strategii w oparciu o to, co kiedyś już było. Gorzej bywa, gdy uczniowie są niegramotni, wykładowcy niedouczeni, a podręczniki pełne luk. Czy Szwedzi znają historię swojego kraju?

Historia zaskakuje i nokautuje

Doktor Peter Holmen z Malmö, lekarz, czyli inteligent pracujący, któremu lekko-myślnie powierzyłem raz swoje zapalenie gardła podgrzewane gorączką, a który leczył mnie jak jakiś znachor przydrożny, bo paracetamolem i kroplami na katar – tak powiedział któregoś dnia:

– Dużo czytałem o Polsce. I o tym, ile wasz kraj wycierpiał w czasie wojny od Niemców. To byli okropni zbrodniarze!

Zburzyli wam Warszawę, mordowali cywilów i zostawili po sobie zrujnowany kraj. Chyba nikt i nigdy nie zniszczył Polski tak, jak zrobili to Niemcy, prawda?

Mogłem przytaknąć i zmienić temat, ale paracetamol nie skutkował, złość mnie rozpierała na samego siebie za to, że nie zabrałem z Warszawy biseptolu, który leczy

szybko i dobrze, nie wypadało mi więc zrobić nic innego, jak tylko wyładować agresję na niedouczonego z historii dobrodzieju.

– Bywało jeszcze gorzej – poinformowałem mściwie. – Po Niemcach pozostało przynajmniej dwadzieścia tysięcy dworów i pałaców w stanie nietkniętym. Ich prekursorzy zniszczyli prawie wszystko.



Johann Philip Lemke, *Karol X Gustaw – Król Szwecji* FOT. NATIONALMUSEUM



– Coś takiego! – zdziwił się uprzejmie Peter. – Kim byli ci dranie?

– Twoimi pradziadkami...

Patrzył na mnie z niedowierzaniem. Próbował uśmiechać się, myślał, że to żart, więc jeżeli nawet nie można go zrozumieć, wypada przynajmniej uśmiechnąć się. „Potopu” akurat nie czytał, jego pobratymcy, urodzeni już w epoce telewizyjnej, chyba również nie czytali książek polskiego pisarza, mimo że wszystko zostało przetłumaczone na szwedzki. Zresztą w Szwecji nie traktuje się powieści jako fabularyzowanego dokumentu historycznego, ale jako plód autorskiej wyobraźni.

Epokę masowego czytania książek mamy, niestety, już za sobą, aczkolwiek w Szwecji czyta się jednak więcej niż w Polsce. A przecież Sienkiewicz nawet w części nie opisał tych wszystkich zbrodni, jakich dopuścili się Szwedzi na terenie Rzeczypospolitej w połowie XVII wieku.

Polska bufonada i szwedzka agresja

Gdzieś musiał być początek. Smutny początek nastął wraz z wprowadzeniem szwedzkiej dynastii Wazów na polski tron. Podczas niemal osiemdziesięciu lat rządów pełnionych przez władców mieniących się królami Szwecji i Polski terytorium Rzeczypospolitej tonęło w coraz większej ciemności, mimo że przecież historycy ani razu nie odnotowali przewlekłego zaćmienia słońca.

Gdy po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem mnóstwo kozackich i polskich trupów zalegało ogromny plac boju, a nie było komu ich pogrzebać, z czego potem zaraza rozpowszechniła się od Lwowa aż po Gdańsk, inkwizytorzy Jana Kazimierza,

skończonego niedołęgi (jak określił go Paweł Jasienica w *Rzeczypospolitej Obojga Narodów*) z dynastii polskich Wazów, palili na stosach czarownice, podobno niekwestionowane sprawczynie tej zarazy, a także wszelkich innych nieszczęść.

Nauka, a z nią i sztuka lekarska, stojąca wysoko w epoce Odrodzenia, zeszła na psy. Trudno się też dziwić, że właśnie w atmosferze powszechnego ogłupienia szlachetka Siciński wystąpił z pierwszym w historii *liberum veto* i nikt nie potrafił mu się przeciwstawić. Zresztą tenże król-niedołęga zerwał następny sejm, nie osobiście, ale za pomocą swojego równie głupiego zwolennika, który krzyknął „nie pozwalam”, bo w przeciwnym wypadku trzeba by oddać buławy hetmańskie Januszowi Radziwiłłowi, a ponieważ sejm się rozpadł, buławy zachował król dla siebie.



Gdy śledzi się udokumentowane historycznie poczynania tego ostatniego Wazy na polskim tronie, nietrudno odkryć, że czego tylko król się dotknął, robił to źle. Ale do zrezygnowania z papierowego tytułu króla Szwecji nie dał się namówić za żadną cenę. Taki to był bufon!

Tymczasem zaraz po wojnie trzydziestoletniej skandynawskie wojsko było tak ogromne, że nie istniała możliwość utrzymania go z krajowych funduszy. Aby się utrzymać, żołnierze musieli walczyć, podbijać inne kraje, brać łupy, bo w przeciwnym razie Szwecja udusiłaby się własną potęgą wojskową. W roku 1654 na tron szwedzki wstąpił Karol X Gustaw, również członek dynastii Wazów. Tak o nim pisze Paweł Jasienica: „Miał trzydzieści dwa lata, odrażającą powierzchowność zębatej ropuchy, duże doświadczenie w dowodzeniu, talent militarny i wielkie wzięcie u żołnierzy. Prosta była jego recepta kuracji finansów i ogólnego stanu państwa: «Za pomocą żelaza, którego nam przyroda nie poskąpiła, możemy zaopatrzyć się w złoto»”.

Tymczasem nasz Jan Kazimierz, nawet gdy wysyłał poselstwo do Sztokholmu, kazał ludziom przemawiać w imieniu króla Polski i Szwecji, trzy korony szwedzkie zdobyły pierś orła polskiego na oficjalnych pieczęciach państwowych. Wyglądało więc na to, że król Szwecji przysłał swoich ludzi do króla Szwecji. Gdy co mądrzejsi senatorowie polscy próbowali wybić swemu panu z głowy takie zwyczaje, bo to groziło wojną, niedołęga odpowiadał buńczucznie: „Nie taki Szwed straszny, jak go tchórze malują”.

Ciąg dalszy na s. 48 ►



► Ciąg dalszy ze s. 47

I Karola Gustawa szlag w końcu trafił, bo trafiłby każdego w tej sytuacji.

Korzenie narodowej klęski

Armia szwedzka ruszyła na Polskę 12 lipca 1654 roku. Już wcześniej było jasne, że tak się stanie, a mimo to król-bufon jeszcze w końcu czerwca rozkazał wojskom wielkopolskim maszerować na Ukrainę, bo tam buntował się Chmielnicki! Zresztą, jak przekazuje znowu Jasienica, Chmielnicki buntował się słusznie, bo polonizowani magnaci ukraińscy próbowali ograniczać prawa Kozaków, którzy chcieli dorównać splendorem swoim pobratymcom znad Wisły.

W listopadzie Szwedzi dokonali pierwszego remanentu na terenie zagrabionej Rzeczypospolitej. Ogromne tabory z łupami ciągnęły się dziesiątkami kilometrów na drodze prowadzącej do szwedzkiego już od kilkunastu lat Szczecina. Pałace i zamki, pełne dotychczas beczennych zbiorów, zostały ogolone. Jan Kazimierz, tak heroicznie zaprezentowany przez Sienkiewicza, tchórzliwie uciekł z kraju. W zasadzie do walki z najeżdżącą występował raz po raz tylko Stefan Czarniecki.

Polska szlachta miała serdecznie dość Jana Kazimierza, więc albo zaciągała się do wojska szwedzkiego, albo czekała na rozwój wydarzeń. Ba! Z dokumentów zachowanych do dziś w archiwach szwedzkich wynika, że słynna obrona Jasnej Góry to fikcja wymyślona przez Sienkiewicza. Najlepiej świadczy o tym list przeora Kordeckiego do Karola Gustawa. Oto fragment: „Ponieważ Jego Królewską Mość Króla Szwecji całe królestwo [chodzi o polską szlachtę – przyp. MP]

uznaje i na pana swego wybrało, przeto i my z naszym miejscem świętym pokornie poddaliśmy się Jego Królewskiej Mości Królowi Szwecji. Czcimy więc jako ulegli poddani Jego Królewską Mość króla Szwecji, Pana naszego najlaskawszego, nie zamierzamy też podnieść zaczepnego oręża przeciw wojsku Jego Królewskiej Mości. Nasz klasztor i poświęcona Bogu i Jego Najświętszej Matce świątynia zasyła do Boskiego Majestatu modlitwy za bezpieczeństwo Najjaśniejszego króla Szwecji, Pana i protektora naszego królestwa, jak i nas samych, których bynajmniej nie jest powołaniem opierać się potędze królów. Cokolwiek Jego Królewska Mość rozkaże spełnimy”...

Historyk i pisarz w jednej osobie, dr Cezary Łeżeński, autor wielu znaczących rewizji historycznych przypomina między innymi w „Aneksie” nr 5(6) z maja 2000 roku, że „nie tylko Kordecki złożył wieniec poddańczy hołd Karolowi Gustawowi. Cała Polska się poddała, a Jan Sobieski, późniejszy bohater spod Wiednia, tylko dlatego nie oblegał Jasnej Góry wspólnie z generałem Muellerem, że razem z Karolem Gustawem i wojskami szwedzkimi odszedł w tym czasie do Prus. Społeczeństwo polskie wierzyło, że akt poddańczy wobec Karola Gustawa był jedynym ratunkiem dla ojczyzny, przywiezionej do ostatecznej zguby przez Jana Kazimierza. Wystąpienia zbrojne przeciw Szwedom nie były równoznaczne z obroną ojczyzny, lecz z obroną Jana Kazimierza. W XVII-wiecznej Polsce bowiem król i państwo nie byli tożsami ani prawnie, ani w świadomości społecznej. Mimo to po powstaniu na Podgórzu i walce szlachty oraz wojsk koronnych przeciw Szwedom poprzedni akt poddańczy wobec Karola Gustawa stawał

się rzeczą wstydliwą, którą każdy starał się ukryć. I tak zaczęła się kształtować idea zbrojnego oporu...”

Mimo sporów w gronie historyków, jak było naprawdę z Jasną Górą, faktem ogólnie przyjętym jest, że z czasem magnaci, którzy pierwotnie sprzymierzili się ze Szwedami, bo liczyli na ich pomoc w walce z Rosją, zmienili front. Obrócili miecze przeciwko wojskom Karola Gustawa, co zdecydowanie odmieniło sytuację na froncie.

Sam Jan Kazimierz, który do kraju powrócił, gdy tylko usłyszał, że armia ruszyła na wroga, działał po swojemu. Najpierw zakwestionował partyzancki sposób prowadzenia walki przez Czarnieckiego, każąc mu „uczciwie walczyć”, potem złożył publiczną obietnicę wygnania z kraju arian, następnie, jako zawodowy katolik formatu konkwistadora Pizarra, ogłosił się obrońcą wiary katolickiej, rozpałił fanatyzm i tym samym sprowokował wyznawców innych wiar do przejścia na stronę szwedzką. Równouprawnienie wszystkich religii, które miało rangę ustawy w epoce Odrodzenia, przepadło na wiele dziesiątków lat.

Krajobraz po bitwie

Wojna ze Szwedami zakończyła się 3 maja 1660 roku. Główny motyw polskiego pejzażu stanowiły ruiny. Takich zniszczeń nie odnotowała historia Rzeczypospolitej nigdy przedtem i nigdy potem. Szwedzi, jak jacyś maniacy wypuszczeni z zakładu dla obłąkanych, wysadzali w powietrze wszystko, co wystawało na wysokości kilku metrów. Zrabowali nieprzebrane skarby, zabijali dzieci, kobiety, starców. Wszystkich, którzy nawinęli się pod szpady i topory. Miasta i miasteczka, które musieli opuścić, bo zagrażało im wojsko polskie, równali z ziemią. Ludzkie głowy zdobiły gęsto sztachety ogrodów i ogródków. Mistrzem ceremonii w tym względzie był feldmarszałek Lorentz von Linde, który walczył najpierw w tak zwanej wojnie trzydziestoletniej na terenie Niemiec, a później zdobył wąską specjalizację w podpalaniu polskich zamków.

Po odpłynięciu fali „potopu” nie doliczono się w kraju 27 procent obywateli! Liczba inwalidów, kalek i ludzi nieuleczalnie chorych była podobna. To już nie było wyczerpanie biologiczne jak po innych najazdach i wojnach. To był kataklizm, z którego bogata niegdyś Rzeczpospolita nigdy się nie odrodziła.

W dwieście lat później niesławne imię feldmarszałka-piromana zostało jednak wymazane z pamięci historycznej. Tak się bowiem złożyło, że imiennik podpalacza, Samuel Linde, pochodzący ze szwedzkiej rodziny, a zamieszkały w Toruniu, okupił w pewnym stopniu winy przaszczura wobec Polaków. W 1. połowie XIX wieku



Biblioteka Uniwersytecka w Uppsali FOT: MIRKO JUNGHE / CC BY-SA 3.0

opracował on pionierski *Słownik języka polskiego*, dzieło sześciotomowe, które okazało się rewelacją na miarę światową i wyprzedziło o kilkanaście lat podobne poczynania słynnego encyklopedysty francuskiego Pierre'a Larousse'a.

Nikt nic nie wie

Wróćmy do rzeczywistości. Co o „potopie” wie współczesny Szwed? Otóż wie on trzy zdania: Karol X Gustaw zaatakował Polskę w 1654 roku. Pomimo wielu bitewnych sukcesów Szwedom nie udało się odnieść decydującego zwycięstwa. W tej sytuacji Dania wypowiedziała wojnę Szwecji. Koniec.

Tyle treści na temat barbarzyńskiego zrujnowania Polski zawiera szwedzki podręcznik historii dla klas gimnazjalnych pt. *Nowa historia wszechczasów*.

Jako człowiek w miarę dociekliwy, udałem się do ambasady szwedzkiej z prośbą o książkę, która by poinformowała mnie nieco szerzej o zaszłościach. Było nie było, wojna polsko-szwedzka toczyła się prawie przez sześć lat, jest więc o czym pisać, a i poczytać by się chciało. Interesował mnie również współczesny stosunek potomków Karola X Gustawa do tego, co „król z żabią mordą” nawyprawiał przed laty w Polsce.

Otrzymałem obszerną broszurę pt. *Zwiąźle o Szwecji*, przygotowaną przez Instytut Szwedzki w ramach działalności informacyjnej dla zagranicy. Jak podaje wydawca, książka powstała „przy współpracy licznych specjalistów z różnych dziedzin”. W rozdziale *Fakty historyczne* można przeczytać o tym, że już trzy tysiące lat przed naszą erą myśliwi i rybacy przybyli do Skandynawii, gdy stopniał ostatni lodowiec, zaczęli się osiedlać i zajmować uprawą ziemi i hodowlą bydła. Za to o królu Karolu Gustawie ani słowa. Owszem, synowie Gustawa Wazy kontynuują politykę ekspansji w obszarze Bałtyku. A jakże, rozpoczyna się okres wielkomocarstwowej Szwecji. Ba, po wielu wojnach z Danią i Norwegią, Szwecja anektuje prowincje Skanii, Blekinge, Halland i Bohuslaen. Dzieje się to wszystko w roku 1658,



FOT: MATTHIAS KLANG / CC BY-SA 3.0

czyli w tym samym, w którym wysadzało się zamki i całe miasta na terenie Polski.

Ale o tym sza! Nie ma się czym chwalić, więc nic takiego nie było.

Szczegółów morderczej wyprawy na Polskę nie ma ani w ogromnej encyklopedii pod nazwą *Svensk Uppslagsbok*, wydanej w Malmö w 1956 roku, ani też w 15-tomowym *Lexikonie* z lat 1961-1967.

I to jest sposób na życie!

Łupy wojenne na każdym kroku

Za to Biblioteka Uniwersytecka w Uppsali pełna jest bezcennych skarbów zrabowanych Rzeczypospolitej podczas szwedzkiego najazdu. Wtedy to za armią zwykłych przygłupów, dobrze władających rapierami, siedł zwykle tak zwany Batalion Kulturalny, składający się z żołnierzy wykształconych. Byli oni doskonałymi ekspertami znającymi się na wartościach zabytków. Łupem tegoż siedemnastowiecznego komanda padło między innymi wiekopomne dzieło Mikołaja Kopernika *O obrotach ciał niebieskich*. Dzisiaj zajmuje zaszczytne miejsce w szwedzkiej bibliotece i nikomu nie przychodzi do głowy, aby zwrócić je narodowi, który wydał na świat wielkiego astronoma.

Cennych rękopisów należących niegdyś do polskiego dziedzictwa kulturowego są tam setki. A uppsalski zamek obfituje dla odmiany w rękodzieła polskich złotników, kaletników, zbrojarzy, stolarzy, rzeźbiarzy i innych mistrzów rzemiosła. Gdy przez weekend pospacerowałem po całym mieście, czułem się jak w rodzinnym kraju. Wszystko, co najlepsze i najwartościowsze, wyprodukowano w Polsce. Aż się dusza raduje! *Made in Poland* to jest to!

Szwedzi tłumaczą, że zrabowane skarby to tylko ich łupy wojenne i na tym kończy się jakakolwiek dyskusja. A łupy świadczą co najwyżej o tym, że Szwecja była kiedyś potęgą i basta. Bo przecież jakiegoś zapyziałego kraju nie byłoby stać na takie zdołbyczne luksusy i wobec tego *vivat Svecia!*

Sposób na dobre samopoczucie

Mówi Wanda, Polka zamieszkująca Szwecję od dwudziestu lat, uczęszczająca tam do szkoły, wielokrotnie wyróżniana za dobrą naukę, obecnie znana i podziwiana malarka, specjalizująca się w portretach, prywatnie moja szwagierka: „Środki masowego przekazu pokazują Szwecję w najlepszym świetle.

Ciąg dalszy na s. 50 ►

► Ciąg dalszy ze s. 49

Nawet najprostszy Szwed mówi z przekonaniem o swoim kraju, że jest najwspanialszy. Byle drobiazg *made in Sweden* leżący na wystawie w supermarkecie opatrzone jest napisem: *svensk produkt*, co upoważnia zarazem do podniesienia ceny, jak i do preferencyjnego wyboru ze strony klienta. Historia kraju jawi się ludziom jako pasmo nieustających sukcesów, odniesionych ciężką i uczciwą pracą. I nie jest to żadna propaganda, ale osobiste przekonanie, wręcz pewność. Tego akurat nie pojmie wiecznie wybrzydzący Polak, bo w Polsce jest odwrotnie. Martyrologia i ogromny wór z kompleksami, do którego sami Polacy raz po raz próbują się wpędzać. Polak ciągle przeżywa i celebrytuje na nowo historyczne nieszczęścia swojego kraju. Na tle patrzących w przyszłość Szwedów wypadamy jak profesjonalni cierpiętnicy. Jeżeli trzeba, gotowi jesteśmy cierpieć za grzechy całej ludzkości! Szkoda tylko, że taka postawa nie budzi szacunku za granicą, gdzie jednak ceni się w pierwszym rzędzie ludzi sukcesu, a nie samobiczowników”.

Trudno nie zgodzić się z takimi poglądami, aczkolwiek ja akurat jestem daleki



Franciszek Kondratowicz, *Oblężenie Jasnej Góry w 1655 r.*, ok. 1880 FOT. MACIEJ SZCZEPAŃCZYK / CC BY-SA 3.0

od rozkładania tego cierpiętnictwa na cały naród. Moim zdaniem, martyrologia stosowana (takie brzmienie powinno oddawać istotę rzeczy) pełni u nas rolę narzędzia pewnej wpływowej grupy wiecz-

nych rewolucjonistów, którym marzy się nieustające trzymanie narodu pod kontrolą. A ponieważ póki co, nie jesteśmy orłami ani w temacie odkrywców, ani też racjonalizatorów czy ekonomistów, więc trudno byłoby określić jakiś wspólny mianownik dla całej populacji. Lansuje się więc pogląd, że jesteśmy narodem wielkich nieudaczników, którzy gotowi są walczyć o wolność całego świata, ale którym ktoś ciągle robi na złość i stąd bierze się ta nieustająca masturbacja przy pomocy obowiązkowych upamiętnień minionych, aktualnych i przyszłych klęsk narodowych. I jak tu nie wpaść w kompleksy?

Historia malowana kamerą

Szwedzi chyba nie lubią historii. Co najmniej kilkanaście osób różnej profesji przepytawałem z historii ich własnego kraju i niewiele się dowiedziałem. Wiedzą, że była królowa Krystyna, bo akurat w jej postać wcieliła się niegdyś filmowa gwiazda szwedzka, Greta Garbo, która wystąpiła w filmie... amerykańskim. Jeżeli już film coś pokaże, to się pamięta. Szwedom byłoby o wiele łatwiej polubić dzieje własnego kraju, gdyby w poczet dynastii Wazów dało się zaliczyć takie postacie, jak Arnold Schwarzenegger, Kojak, James Bond, a nawet prezydent Bush czy Obama, których nie brakowało na małym ekranie.

Oglądałem raz w szwedzkiej telewizji film *Taras Bulba* – widowisko wyprodukowane przez Amerykanów na podstawie powieści Mikołaja Gogola trzydzieści lat przed „poprawnym politycznie” filmem Jerzego Hoffmana *Ogniem i mieczem*. Ta amerykańska superprodukcja nie ukazała



Walery E. Radzikowski, *Zawiązanie konfederacji tyszowieckiej (1655)*, XIX w.

FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

się w Polsce, jak mi się wydaje, ze względów zdrowotnych. Interpretacja konfliktu polsko-ukraińskiego na modłę amerykańską mogłaby bowiem sprawić, że podczas projekcji sporo osób chorych na serce umarłoby ze śmiechu.

Postacią naczelną jest Taras Bulba, przywódca wyzyskiwanego ludu ukraińskiego, walczący o uwolnienie się spod jarzma polskich magnatów. W roli Tarasa wystąpił... Yul Brynner – największa amerykańska gwiazda filmowa tamtych lat, sławny poskromiciel bandytów z filmu *Siedmiu wspaniałych*, z pochodzenia Rosjanin urodzony we Władywostoku. Jest masywny, zbudowany jak kulturysta, parady z odkrytym torsem, najczęściej na bosaka, budząc zachwyt filmowych pań i panienek. Jego przeciwnikami są hetmani – utytułowani krwiopijcy *made in Poland*. W filmie nie wyeksponowano tła narodowościowo-politycznego, które w rzeczywistości stało się przecież przyczyną wojny domowej. Wszystko jest czarno-białe, czyli dobrzy Kozacy i źli Polacy, ma się rozumieć gnębiciele.

Mimo naiwnej interpretacji musiałem przyznać, że wspaniale wyglądają sceny końcowe batalii. Znad horyzontu wylania się dostojnie polska husaria – rycerze zakuci w błyszczące zbroje i – żeby było śmieszniej – rzymskie albo hiszpańskie hełmy z czasów konkwisty (film kręcono na stepach Argentyny). Potęga, zdawałoby się, nie do pokonania. Z drugiej strony Tatarzy i Kozacy. Ubrani w jakieś nędzne lachmany z Lumpexu, bosy, kiepsko uzbrojeni i... wystraszeni widokiem przeciwników. O ostatecznym wyniku zadecydowała jednak postawa pułkownika kozackiego, Tarasa-Brynnera. Tak zagroził do walki swych bojów, że Polacy, którzy najpierw z pogardą patrzyli na obe-

rwańców, dostali później okropne lanie, a wspaniałe zbroje leżały na ogromnym polu bitwy jako symbol porażki butnych panów.

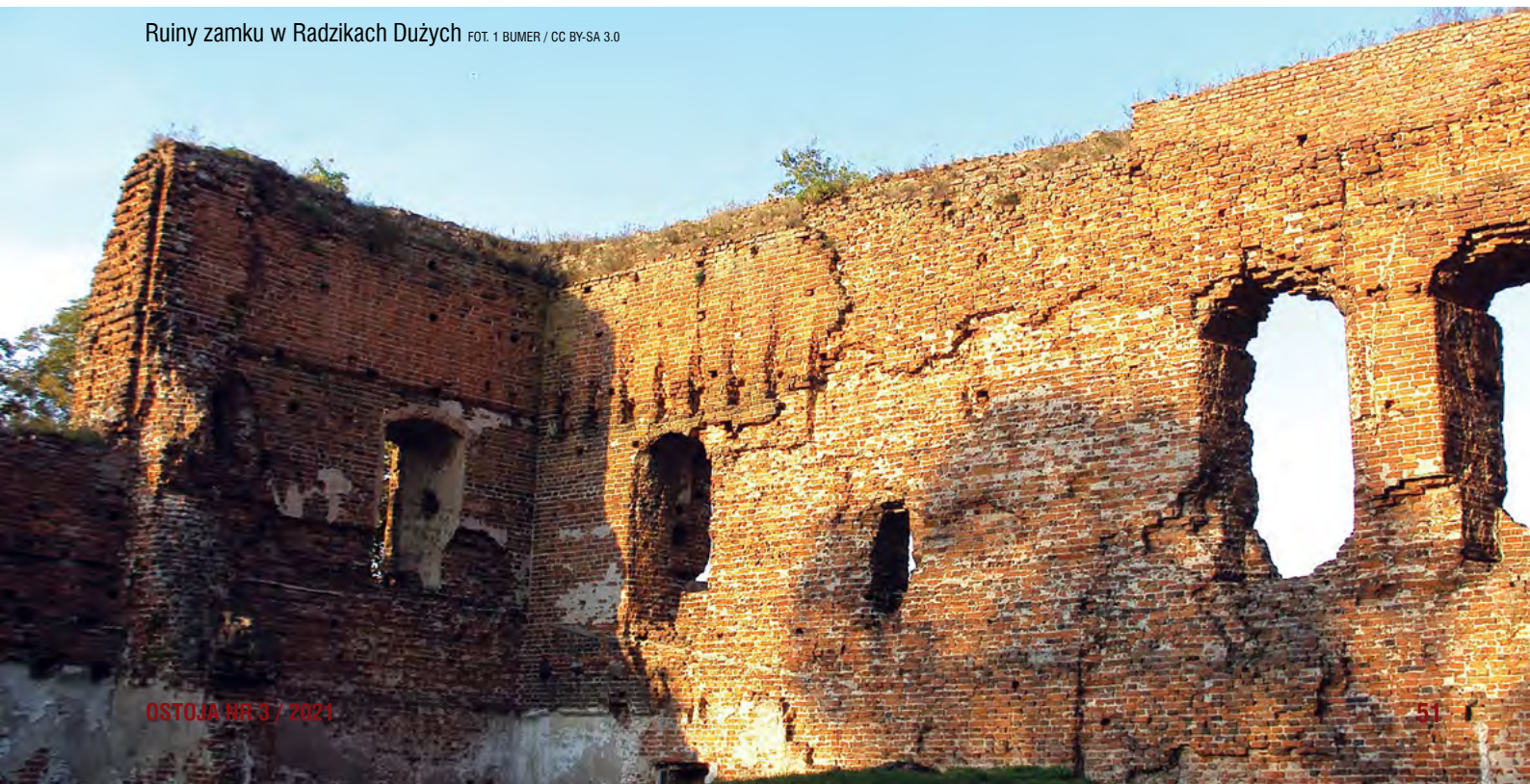
Film powstał w latach 60., nasi nigdy go nie kupili i na pewno nie kupią, bo mimo że lubimy martyrologię, to jednak tylko wtedy, gdy ją sobie sami zorganizujemy. Egzotyka tego filmu polegała, przynajmniej w moim odczuciu, głównie na tym, że Kozacy, którzy w powieści Gogola byli chwaleni za mordercze instynkty, tutaj zostali przedstawieni jako szlachetni obrońcy ojczyzny, a Polacy jako nieprawdopodobne „negatywy”, żerujące na krzywdzie ludzkiej. Podejrzewam, że w Polsce coś takiego dałoby się nakręcić jedynie we wczesnych latach 50. (gdyby oczywiście miało się pieniądze na superprodukcję), kiedy to ówczesna władza dawała ludziom do zrozumienia, że królowie i książęta to już w ogóle nieporozumienie historyczne, ponieważ od początku świata liczy się tylko sojusz robotniczo-chłopski, sekretarze jedynie słusznej partii i wieczna przyjaźń ze Związkiem Radzieckim.

Co by nie powiedzieć o dawnych czasach, film z Brynnerem obejrzałem, a z całkiem współczesnym szwedzkim doktorem Peterem Holmenem nawet zakolegowałem się. Przewiozłem go po Polsce, pokazałem kilka zabytkowych ruin zamkowych, na których wiszą tabliczki, każda z takim samym napisem: „Obiekt zrujnowany przez Szwedów w połowie XVII wieku”. Peter za głowę się łapał, nie mógł uwierzyć, że to prawda. Przecież o tym nie było ani w szkole, ani nawet na uniwersytecie! Może podejrzewał mnie, że to ja umieściłem te tabliczki, aby mu dokopać moralnie? A jeżeli nie ja, to komunistyczna propaganda przed laty, a zabiegani za forsa ludzie nie zdążyli usunąć relikwów minionej epoki? Wszystko możliwe, wszak Szwecja nie była w Układzie Warszawskim, zatem istniał jakiś pretekst do złośliwego wymyślenia postaci Karola X Gustawa i do dywersyjnego włożenia go między karty szwedzkiej historii.

MIROSLAW PRANDOTA ■



Ruiny zamku w Radzikach Dużych FOT. 1 BUMER / CC BY-SA 3.0





Rolka sztokholmska

Rolka sztokholmska, określana także *Rulonem polskim*, to unikatowe dzieło z początku XVII stulecia ukazujące w formie fryzu widowiskowy wjazd do Krakowa orszaku ślubnego króla Zygmunta III i arcyksiężniczki Konstancji Austriackiej, jaki miał miejsce 4 grudnia 1605 roku. *Rolka* jest jednym z niewielu poloników, zrabowanych przez Szwedów, które przed laty powróciło do kraju i jest w zbiorach Zamku Królewskiego w Warszawie.

Określenie *Rolki* mianem „sztokholmskiej” bierze się od miejsca długiego pobytu dzieła, która wraz z innymi łupami wojennymi znajdowała się w szwedzkich zbiorach muzealnych w Sztokholmie. Pomimo wspólnych prac uczonych obu krajów w latach 60. ubiegłego stulecia, aby zorganizować sesję naukową i wydać publikację poświęconą dziełu, nie doszło do realizacji tych planów. W roku 1969 sztych został przekazany jako depozyt do Muzeum Narodowego w Warszawie, a pięć lat później ostatecznie został zwrócony Polsce – o czym niezwykle



FOT. © ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

„dyplomatycznie” informuje nas internetowa strona Zamku Królewskiego w Warszawie – „jako **dar** [podkr. ISB] ówczesnego premiera Szwecji Olofa Palmego”. Może cieszyć ten fakt, jednak zwrot *Rolki* stanowi „kroplę w morzu” skradzionych i wywiezionych do Szwecji poloników i dzieł sztuki, podczas tej jednej z największych grabieży dokonanych na naszych ziemiach.

Rolkę sztokholmską wykonano w technice akwareli i gwaszu z użyciem złotej farby na papierze szerokości 27-28 cm i długości ponad 15 metrów. Nie mamy pewności co do autorstwa. Niektórzy historycy wskazują na nadwornego malarza królewskiego Balthazara Gebharda. Sztych przedstawia sześciuset uczestników pochodu. Pełne detali dzieło, „misterna pamiątka królewskiej uroczystości”, przybliży nam sekrety ceremoniału dworskiego sprzed ponad czterech stuleci.

Obszerny rysunek – jak podkreślili organizatorzy publicznej prezentacji *Rolki* w 2019





Rolka, ark. 32-39

roku na Zamku Królewskim w Warszawie – stanowi rewię siedemnastowiecznej mody, zarówno zachodniej, jak i tej rodzimej. Kolorami mienia się brokaty, adamaszki, aksamitne żupany, białe kryzy, wyszywane srebrem pludry, karmazynowe liberie, zdobione piórami kapelusze i turbany. Uwagę zwraca również wspaniała prezentacja husarii – symbolu ówczesnego oręża polskiego. „Skrzydlatych jeźdźców” zdobią barwne pęki piór, a ich plecy okrywają lamparcie skóry. W rękach dzierżą tarcze, szable, nadziaki i buzdygany. Nad oddziałami łopoczą proporce, a dobosze bębnią w kotły. Rzędy końskie połyskują złotem i drogocennymi kamieniami. W orszaku z gracją paradyrumaki wszelkiej maści – białe, siwe, gniade, kare, kasztanowate.

Precyzja malarska umożliwia rozpoznanie nie tylko poszczególnych grup, lecz także konkretnych osobistości biorących udział w ceremonii i to nie tylko głównych bohaterów – podążającego na kasztanowym koniu króla Zygmunta III oraz jadącej w czarno-złotym paradnym powozie królewskim jego narzeczonej, Konstancji Austriaczki. W gronie przedstawionych postaci, dostrzeżemy bowiem i 10-letniego wów-

czas królewicza polskiego Władysława, matkę i siostrę arcyksiężnej Konstancji, arcyksięcia Maksymiliana Ernsta, nuncju-

sza papieskiego Klaudiusza Rangoniego, chorążego wielkiego koronnego Sebastiana Sobieskiego czy wojewodę poznańskiego

Hieronima Gostomskiego. Szczególnie intrygująca jest postać tzw. kobiety z brodą, czyli Heleny Antonii z Liège – dwórki Habsburzanek, która przybyła z nimi z Gruzji do Krakowa.

Rolka sztokholmska trafiła do Polski w złym stanie, dlatego pod koniec lat 80. dokonano jej demontażu na 39 arkuszy, z których pierwotnie była sklejona, zachowując przy tym możliwość ponownego zestawienia elementów malowidła na potrzeby ekspozycyjne. Z powodu luki w banderolach z numerami między 15 a 24 istnieje hipoteza, że może brakować długiego odcinka sztychu. Ze względu na szkodliwe działanie czynników zewnętrznych dzieło jest prezentowane okazjonalnie (ostatnio w 2002 i 2019 roku) i nie jest już także wypożyczane za granicę.

Z okazji ostatniej prezentacji dzieła został wydany, edytorsko dopracowany, katalog autorstwa Marty Zdańkowskiej (*Rolka sztokholmska. Skarb Zamku Królewskiego w Warszawie*, Warszawa 2019), zawierający reprodukcje tego unikatowego dzieła wraz ze szczegółowym opisem.

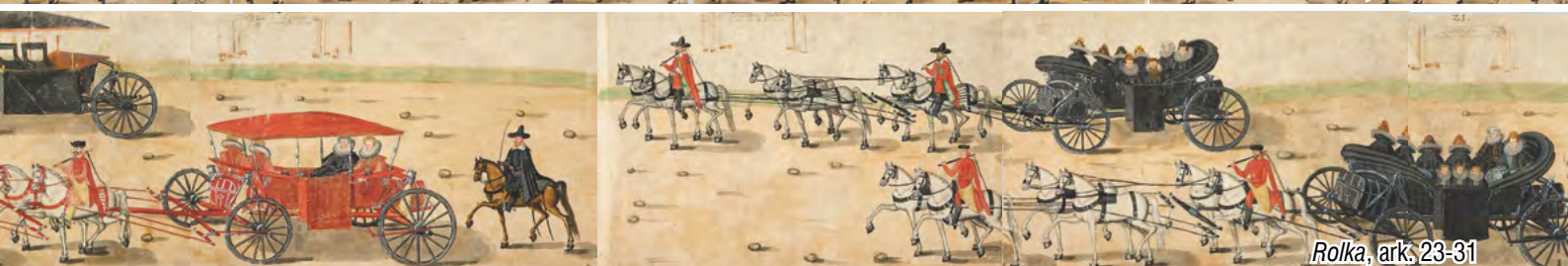
IRENEUSZ ST. BRUSKI ■



FOT. © ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE



Rolka, ark. 18-22



Rolka, ark. 23-31

Adolf Hitler. Koniec Legendy część 3

PETER RAINA



Hitler kochał Alpy, malował je, chętnie spędzał wakacje w gospodarstwie państwa Wachenfeld w Obersalzbergu (Berchtesgaden). W 1936 roku kupił Haus Wachenfeld. W krótkim czasie został całkowicie przebudowany. Zasadniczo dom ten, nazwany „Berghof” (górski folwark) miał służyć do odpoczynku, ale Hitler prowadził tu bogate życie towarzyskie i polityczne.

Bawił się nie tylko z ludźmi ze swojego sztabu, ale przyjmował znanych polityków zagranicznych, a także członków rodzin królewskich. W otoczeniu Berghofu pobudowano także domy gościnne i mieszkania dla służby. W Obersalzbergu znajdowały się również luksusowe wille dla Bormanna, Speera i Göringa.

Berghof – wykwintne życie

Obraz życia w Berghofie szczegółowo opisuje naoczny świadek, sekretarka Führera, Christa Schroeder. Przytoczymy tu najciekawsze fragmenty jej opisu.

„Kiedy Hitler i Ewa Braun na powrót wprowadzili się na górne piętro, przesiadywali tam również goście, którzy przed pójściem spać chcieli wypić jeszcze jedną dodatkową lampkę szampana. Odpuszczano się wówczas przed tak zwanym «oficjalnym posiedzeniem kominkowym», podczas którego nikt nie czuł się tak bardzo swobodnie i nieskrępowanie, jak tu na drewnianej kanapie obitej skórą, gdzie można było usiąść całkiem wygodnie, kładąc ręce na stole. Wówczas często robiło



się całkiem głośno, szczególnie wtedy, gdy obydwoj awanturnicy – Schaub i Hoffmann – znów na siebie trafili.

Przebudowane drzwi, znajdujące się obok szafki z książkami, prowadziły na taras przez obecnie nazywaną «zimowym ogrodem» dawną werandę. Tutaj, gdy pogoda była ładna zbierali się goście przed posiłkami, oczekując Hitlera (gdy pogoda była brzydka, zbierano się w salonie). Jako ostatnia zjawiała się zwykle Ewa Braun. Gdy następnie przychodził Hitler, witał zawsze wszystkie kobiety pocałunkiem w dłoń, także sekretarki. Kiedy wszyscy się już zebrali, służący ubrany w czarne spodnie i białą wieczorową marynarkę meldował: «Mój Führerze, podano do stołu, pan prowadzi panią...». Hitler wówczas podawał owej damie ramię i odchodzili razem. Jako druga para podążali Martin Bormann z Ewą Braun. Pozostali goście dołączali się swobodnie.

Korowód ruszał wówczas przez przestronny przedsionek, którego pięknie sklepiony sufit był podtrzymywany przez imponujące kolumny. Dalej szedł obok szerokich schodów prowadzących do górnych pokoi, do wykończonej w ślicznie mazerowanym drewnie z limby jadalni położonej we wschodniej części domu. Przy jej szeroko otwartych dwuskrzydłowych drzwiach stało dwóch służących. Długi stół jadalny, przy którym stały fotele obite czerwioną skórą, oferował 24 miejsca.

Fasada okienna wydłużonej jadalni rozszerzała się na jej końcach do półokrągłych rogów. Tu przy okrągłym stole, w przypadku brzydkiej pogody, ci, którzy wstali wcześniej bez skrępowania jedli rano śniadanie. Większość jednak zamawiała śniadania do pokoi. W przypadku ładnej pogody śniadanie jedzono na tarasie. Używano białej, delikatnej porcelany ręcznie malowanej w alpejskie kwiaty, takie jak: goryczka, róża alpejska i obuwik.

Popołudniami i wieczorami duży stół w jadalni nie wystarczał dla gości, dlatego też okrągłe stoły we wgłębieniach były używane przeważnie przez adiutantów gości. Zaraz obok stał kredens z ręcznie malowanymi kafelkami, przedstawiającymi również sceny z życia w Berghof. Na jednym z nich znajdowała się na przykład pani Endres z czubatą salaterką knedli. Była ona, po odejściu pani Raubał, przez krótki czas gospodynią Hitlera. Przez szklane drzwi witryny po prawej stronie pokoju można było obejrzeć szczególnie piękną porcelanę, prezent Winifreda Wagnera dla Hitlera, oraz ręcznie malowane salaterki i pudełeczka.

Hitler siadał zawsze pośrodku stołu na przeciwko fasady okiennej z widokiem na

Adolf Hitler i Ewa Braun, Berghof 1942

FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0



góry. Za każdym razem wybierał sobie sąsiadkę z prawej strony. W tym okresie brano pod uwagę również sekretarki. Podczas gdy po jego lewej stronie zawsze siadała Ewa Braun ze stałe jej towarzyszącym przy stole Martinem Bormannem, po drugiej stronie naprzeciwko Hitlera sadzano szczególnie wyróżnionych gości.

Ważną rolę poświęcał Hitler pięknemu udekorowaniu stołu kwiatami. Było dla niego oczywistością, że stół musiał zawsze być przyozdobiony najpiękniejszymi kwiatami, sprowadzonymi z najbardziej ekskluzywnych kwiaciarni Berlina i Monachium. Bardzo piękne były dekoracje podczas kolacji państwowych [...]. Porcelana była wykonana według projektu Hitlera. Na środku, na skraju talerza znajdowało się złote godło państwowe – orzeł z rozpostartymi skrzydłami – a na prawo i lewo od niego iniciały imienia i nazwiska Hitlera – „A” i „H” – pisane antyką. Również sztuce zostały wykonane według projektu Hitlera [...].

Jedzenie było proste i mieszczańskie. Zwykle podawano zupę, mięso, warzywa, sałatę i deser. Dom Hitlera funkcjonował bez zarzutu, jak dobrze prowadzony hotel. Z założonej na górze przez Martina Bormanna cieplarni, sprowadzano codziennie świeże warzywa i sałatę. Z dworu pochodziło mleko, jajka, czerwone albo czarne porzeczki, soki, np. z winogron czy jabłek. Miód pszczeni zbierano z uli znajdujących się w lasach Obersalzbergu i na Kahlstein. Od kiedy Hitler odkrył uspokajającą właściwość chmielu, pił także piwo, warzone specjalnie dla niego.

Ulubionymi potrawami Hitlera na początku lat trzydziestych były: biała fasola, groch i soczewica, potrawy z warzyw i sałaty. Wraz z postępem wojny, gdy zaczął dla Hitlera gotować asystent do spraw diety, jadłospis ustalono według diety Bircher-Benner.

Hitler, który czuł prawdziwy wstręt do mięsa, według opowieści Juliusa Schaub, został wegetarianinem po śmierci swojej siostrzenicy Geli Raubal. Był on głęboko przekonany, że jedzenie mięsa czyni człowieka słabym. Jako przykład przytaczał konia, byka i słonia, zwierzęta roślinożerne, cechujące się ogromną siłą i wytrzymałością. «Natomiast psy – mówił Hitler – jako zdecydowane mięsożerne, po niewielkim nawet wysiłku wywieszają języki». Mięso według niego było martwą, zgniłą materią. Poza tym potępiał okrutny sposób zabijania zwierząt w rzeźniach” (C. Schroeder, *Er war mein Chef, [Był moim szefem]*, Herausgegeben von Anton Joachimsthaler, München 1985, s. 178-180, tłum. polskie Dariusz Biernacki).

„Goście przed [udaniem się do] salonu przechodzili do wielkiego holu, który



Hitler szczególnie lubił, do którego w dół prowadziło pięć stopni.

Hol był bardzo wysoki o powierzchni prawie 200 metrów kwadratowych. Podłoga była wyłożona welurem w kolorze poziomkowym. Trzy marmurowe stopnie prowadziły do zestawu wypoczynkowego przed kominkiem. Było tam niewiele mebli. Na prawo od okna znajdowały się dwie duże szafy i zestaw wypoczynkowy, na lewo zaś duży stół konferencyjny, globus i zegar. Następnie fortepian i kilka niewielkich komód. Kłamka jednej z dużych szaf przedstawiała ręcznie wyrzeźbioną wyrazistą ludzką głowę. Szafa mieściła w sobie dokumenty związane z nadaniem honorowego obywatelstwa, starą broń i temu podobne. Inna, za szybą chroniła starą cynę. Wielkopańskie gobeliny ze wzruszającymi scenami z polowań zasłaniały na ścianach niezbędne do pokazów filmowych dziurkowniki.

Wielkie obrazy starych mistrzów w holu były od czasu do czasu zmieniane. Często wisiał w pobliżu kominka bardzo lubiany przez Hitlera obraz *Nana* Anselma Feuerbacha (przedstawiający długoletnią rzymską ukochaną Feuerbacha, żonę szewca). Na dłuższej ścianie holu wisiała ubrana na czerwono piękność Bordona, w której pobliżu zawsze stały na komodzie goździki tak samo czerwone jak jej szata.

Największe wrażenie w wielkim holu, mającym sufit wyłożony ciemnobrązowymi kasetonami, sprawiała w ciągu dnia niewątpliwie na ówczesne czasy nadzwyczaj ogromne okno, które mogło zostać wyjęte, ukazując majestatyczną panoramę pogórza (wzgórza) w ramach. Stojący przed oknem prostokątny ogromny stół, z białym wykonanym z marmuru z Untersberg, okazał się bardzo praktyczny przy naradach o planach i nie tylko.

Do zestawu wypoczynkowego przy kominku (kominek był prezentem od Mussoliniego i został zbudowany z marmuru) należała czarna skórzana kanapa. Była ona gigantycz-

nych rozmiarów. Wprawdzie w stosunku do wielkości holu pasowała nieźle, była jednak bardzo niewygodna. Ponieważ siedzenie było zbyt potężne, trudno było dosięgnąć plecami do oparcia. Siedziało się zawsze na początku «posiedzenia kominkowego» na krawędzi, toteż można było całkowicie zeszytywnieć. Wraz z upływem wieczoru zmuszało to kobiety do wygodniejszego ułożenia się i położenia nóg na siedzeniu. Wyściełane fotele, każdy z małym stolikiem, których ilość była zależna od ciągle zmieniającej się liczby gości, były znacznie wygodniejsze.

Kominek nie był rozpalany każdego wieczoru. Hitler, który zajmował miejsce po prawej stronie, zawsze pomiędzy dwiema damami (po jego prawej stronie zawsze siadała Ewa Braun), decydował, kiedy powinno się napalić. On również najczęściej rozpoczynał albo podtrzymywał rozmowę, jak tylko jakiś temat budził jego zainteresowanie. Czasem niechętnie rozmawiał. Były też wieczory, które przemijały w dusznym milczeniu, kończące się często jego pytaniem: «Czy chcemy posłuchać odrobinę muzyki?». Wszyscy wówczas entuzjastycznie przytakiwali.

Szafa grająca, której obsługa należała do Martina Bormanna, znajdowała się w przedniej części holu, na prawo od okna. Z ogromnego repertuaru dobrane przez [niego], były odgrywane za każdym razem ulubione melodie: symfonie Brucknera i Beethovena, pieśni Richarda Straussa, Hugo Wolfa, Brahmsa, Beethovena, Schuberta i Schumanna.

Hitler szczególnie lubił dzieła Ryszarda Wagnera. Na pierwszym miejscu stawiał *Tristan und Isolde Liebestod*. Wspominał o tym kiedyś mówiąc: «to chciałbym usłyszeć w mojej godzinie śmierci...». Richarda Wagnera uważał Hitler «za wskrzesiciela kultury z ducha muzyki». Muzyczna mowa Wagnera brzmiała w jego uszach «jak boskie objawienie» (Tamże, s. 188-189).

Ciąg dalszy na s. 56 ►

► **Ciąg dalszy ze s. 55**

Dzień powszedni Führera

Każdego ranka budził Führera jego osobisty ordynans, który zawsze wywodził się z gwardii wodza SS-Leibstandarte Adolf Hitler. Kandydaci na ordynansów byli przedstawiani Hitlerowi przez dowódcę tej gwardii. Kandydat musiał być blondynem o niebieskich oczach i wzroście 1,89 m. Z zaproponowanych SS-manów Hitler wybierał tego, który był według niego najbardziej sympatyczny.

Zadaniem ordynansa było troszczenie się o osobiste sprawy Führera. Budził go rano o uzgodnionej wcześniej godzinie, pukając do drzwi sypialni; kładł przed drzwiami gazety i inne dokumenty, i wycofywał się. Podczas gdy Hitler czytał przygotowaną dla niego lekturę, ordynans przygotowywał dla szefa kąpiel i układał w określonym porządku odpowiednie ubranie na odpowiedni dzień. Hitler brał codziennie kąpiel, często kilkakrotnie w ciągu dnia, szczególnie po zebraniach i przemówieniach, z których wracał bardzo spocony.

Golił i ubierał się sam. Nigdy podczas ubierania się nie prosił o pomoc ordynansa. Ubrania musiały być tak uszyte, żeby spełniały jak najbardziej praktyczne funkcje. Każda przymiarka była dla niego uciążliwa. Jego krawiec otrzymywał stałe zlecenia; wszystkie garnitury i mundury Führera miały być tak uszyte, by mu nie utrudniały poruszania się. Swoje ubrania Führer kupował wyłącznie w sklepie z męskimi ubraniami Wilhelma Hotlorsa na Wilhelmstrasse 49 w Berlinie. Do munduru zawsze zakładał czarny krawat. Chociaż Hitler nie ubierał się według trendów najnowszej mody, rozmawiał z zadziwiającym gustem o modnych ubiorach. Klejnoty nie

miały dla niego specjalnego znaczenia. Nawet swój złoty zegarek nosił w kieszeni marynarki. Wskazówki zegarka były zawsze przesunięte o parę minut do przodu, żeby Hitler mógł punktualnie pojawiać się na uroczystościach czy konferencjach. Nie dowierzał swojemu adiutantowi czy ordynansowi. Od 1933 roku Hitler przestał osobiście obracać pieniędzmi. Nigdy już nie nosił ze sobą portfela. Wszystkie rachunki załatwiał jego długoletni i bardzo mu wierny adiutant Julius Schaub. Do obowiązków ordynansa należało także zawiadamianie Führera o zaproszonych na obiad gościach, którzy zbierali się w sali przyjęć.

Hitler lubił przyjmować gości, był bardzo rozmowny w towarzystwie. Zachowywał się powściągliwie, gości witał ceremonialnie i zwracał się do nich wyniosłym tonem, zresztą z jego twarzy można było tę wyniosłość wyczytać. Kiedy się rozmawiało z Hitlerem, miał spojrzenie zainteresowane, badawcze, dobitne. Jego oczy ożywiały się podczas rozmowy; czasami spoglądał pogodnie, a czasami obojętnie, zdarzało się też, że jego oczy wyrażały oburzenie i pogardę.

Przysłuchując się głosowi Hitlera można było dokładnie rozpoznać jego chwilowy nastrój. Jego głos mógł być nadzwyczaj cichy, dobitny, jędrny i przekonany, ale i podniecony, wznoszący się agresywnie, nieraz zimny jak lód.

Codziennie o godzinie 10.00 Hitler udawał się ze swojego mieszkania w Reichspalacu do swojej pracowni znajdującej się w tym samym budynku. Na jego biurku czekały przygotowane, już poprzedniego dnia, przez sekretarza stanu plany pracy oraz ważnych obrad. Hitler zawsze się śpieszył do swojego biura albo na jakąkolwiek konferencję. Natomiast w drodze powrotnej pozwalał sobie na chwilę relaksu,

zwykle przed obiadem. Zatrzymywał się w pokoju swoich sekretarek i gawędził z nimi. Oczywiście wygłaszał monologi. Opowiadał im o swoich podróżach lub o jakichś dawnych przeżyciach, m.in. o swoim pobycie w więzieniu w Landsbergu w roku 1923 i jak tam na maszynie napisał swoje dzieło *Mein Kampf*; jak dużo czytał i myślał. Lekturą więzienną były książki z zakresu historii, architektury i malarstwa, biografie. Wtedy myślał już o budowie autostrady i samochodu marki Volkswagen. Nie było tematów, których by nie poruszał w rozmowach z sekretarkami. Jego ulubionym tematem był również Kościół. Uważał religię chrześcijańską za przeżytek, obłudne urządzenie, którego celem jest usidlenie człowieka. Kościół chce sztucznie utrzymać wszystkie słabości i to, co jest poślednie i mało wartościowe. Religią Hitlera są prawa przyrody. Jesteśmy, mówił, tworem Stworzenia i dziećmi przyrody, do nas odnoszą się te same prawa, co do wszystkich innych istot żyjących. W przyrodzie od początku panuje prawo walki. Wszystko, co słabe i niezdolne do życia zostaje wyeliminowane.

Wszystkie rozmowy czy konferencje przewidziane na godziny popołudniowe Hitler prowadził w oranżerii. Przechadzał się po sali ze swoim rozmówcą. Przy ładnej pogodzie otwierano szeroko duże szklane drzwi, które prowadziły do ogrodu Kancelarii Rzeszy.

Swoje listy, przemówienia, odezwy, zlecenia czy rozkazy Hitler zazwyczaj dyktował późnym wieczorem, nawet nocą. Robił tak, mówił, ponieważ miał wtedy najlepsze pomysły. Sekretarki pisały od razu na maszynie. Hitler kilka razy czytał i poprawiał napisane na maszynie teksty. Teksty te były tyle razy przepisywane, aż Hitler był z nich całkowicie zadowolony. Dyktował stojąc za swoim biurkiem; przerywał wtedy, gdy myślał, patrząc w sufit, potem dalej kontynuował dyktando. Podczas dyktowania nie prowadził żadnej pogawędki z sekretarkami.

Wspomnienia Christy Schroeder

Dokładny przebieg życia i działalności Hitlera opisała jego sekretarka Christa Schroeder. Oto fragment jej wspomnień.

„Często twierdzi się, że sekretarki Hitlera załatwiały za niego bieżące sprawy i dzięki temu zyskiwały wgląd w jego różne przedsięwzięcia. Nie jest to jednak prawda. Dlatego uważam, że powinnam najpierw wyjaśnić, jaki rodzaj pracy miały do wykonania sekretarki Hitlera.

W okresie przedwojennym każda z nich miała inny zakres obowiązków w jego prywatnym biurze, gdzie były załatwiane wyłącznie sprawy ogólne. Hitler otrzymywał wszystkie ważne i tajne listy, umowy



Spotkanie brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina z Adolfem Hitlerem, Monachium 1938

FOT. BUNDESARCHIV / CC BY-SA 3.0

itd. w wiązce słomy. Ta zasada dotyczyła wszystkich dokumentów, które nie były Hitlerowi dawane bezpośrednio w jego gabinecie, do którego sekretarki miały wstęp tylko sporadycznie i mogły tam przebywać jedynie w jego obecności.

Hitler potrzebował sekretarek tylko do spisywania dyktowanego tekstu, dlatego nie było możliwe, żeby miały kompletny obraz jakiegoś planu lub jego powodzenia. Ta taktyka odpowiadała podstawowemu założeniu Hitlera – nikt nie może wiedzieć o czymkolwiek, o czym nie musi koniecznie wiedzieć. Jednak każdego, kogo trzeba było wtajemniczyć w sytuację, informował dopiero wtedy, gdy było to konieczne.

I tak cel każdej podróży pozostawał tajemnicą do końca. Podróż do siedziby głównego dowódcy na początku operacji na zachodzie przebiegała w następujący sposób. Wyznaczeni do wyjazdu otrzymali informację, że wieczorem wyruszają. Cel i czas trwania wizyty nie były podane do wiadomości. Osoby, które brały udział w podróży dowieziono samochodem z Berlina na nieznaną im stację kolejową, gdzie wsiadły do prywatnego pociągu Hitlera. Pociąg ruszył na północ.

Pasażerowie próbowali zgadywać, dokąd ich wieziono, jednak adiutant wprowadził ich w błąd, pytając, czy wszyscy zabrali ze sobą kostiumy kąpielowe. Poza tym sam Hitler wspominał, że będzie to świetna okazja do zdobycia trofeum ze skóry lwa morskiego. Przypuszczano więc, że chodzi o Norwegię. Pociąg zatrzymał się na chwilę niedaleko na północ od Hannoveru i ruszył w kierunku zachodnim. Na stacji kolejowej, do której dotarliśmy o świcie, i w jej okolicy wszystkie szyldy były poza zasięgiem naszego wzroku. Dopiero gdy dotarliśmy do obozu w Eifel, przed Hitlerem ukazały się baraki, a z daleka dał się słyszeć huk dział. Hitler powiedział do stojących obok niego: «Dziś o świcie rozpoczął się atak na państwa zachodnie».

Ten przykład nie jest wyjątkiem, ponieważ wszystkie wydarzenia rozgrywały się w podobnie tajemniczy sposób. Najwyraźniej ma to związek z tym, że Hitler nikogo nie darzył całkowitym zaufaniem. Miałam wrażenie, że ufa on każdemu do pewnej określonej granicy; ufa na tyle, na ile wymagały tego okoliczności i sytuacja. Ten brak zaufania wpływał na cały jego sztab i czynił atmosferę napiętą.

Do lat 1937-1938 nie miałam okazji dowiedzieć się czegokolwiek o osobowości Hitlera. Widywałam go tylko rano, gdy przychodził do gabinetu. Po konferencjach zjawiał się na moment w moim pokoju, aby obejrzeć wystawione tam prezenty, które codziennie otrzymywał. Był wtedy bardzo miły, zamieniał ze mną kilka słów.



Przywódca III Rzeszy Adolf Hitler w rozmowie z ambasadorem radzieckim Władimirem Dekanozowem (drugi z lewej), Berlin 1940 FOT. HOFFMANN HEINRICH / NAC

Pytania dotyczyły jednakże tylko mojego stanu zdrowia. Kiedy byłam chora, stawał się szczególnie uprzejmy. Przysyłał wtedy prezenty, a kiedyś, gdy leżałam kilka miesięcy w szpitalu, przyszedł odwiedzić mnie osobiście. Powiedział również lekarzowi, żeby uczynił wszystko, co konieczne, abym jak najszybciej wróciła do zdrowia.

Ta uprzejmość Hitlera brała się z potrzeby zatrzymania przy sobie wszystkich, do których się przywiązał. Zawsze był szczególnie miły dla każdego, kogo w danej chwili potrzebował. Zawsze przed dyktowaniem i po dyktowaniu tekstu rozmawiał ze mną w sposób bardzo uprzejmy, jakby wiedział, jak wyczerpującym zajęciem było pisanie dla niego.

Zwykle dyktował przemowy i długie pisma tylko w nocy. Twierdził otwarcie, że ma wtedy najlepsze pomysły. Z tego samego powodu kładł się do łóżka dopiero kilka godzin po północy. W ciągu ostatnich lat udawał się na spoczynek coraz później. Podczas ostatniego miesiąca swojego życia szedł do łóżka dopiero po ósmej rano. Nigdy nie spał dłużej niż cztery, pięć godzin.



Ciągle zwlekał z dyktowaniem tekstów do ostatniej chwili. Przed zaplanowanymi posiedzeniami Reichstagu zawsze musiałam mu przypominać o rozpoczęciu dyktowania treści przemówienia. Odpowiadał wtedy zazwyczaj, że najpierw musi prześledzić rozwój tego lub innego wydarzenia politycznego, aby stworzyć przemowę zależnie od ich rezultatu. Gdy wynik był mu już znany, udawał się wtedy zwykle do swojego gabinetu, rozmyślał o strukturze przemówienia i notował kilka najważniejszych punktów. Potem bezzwłocznie zaczynał dyktować. Zazwyczaj pisałam od razu na maszynie, ponieważ Hitler lubił mieć wciąż przed oczyma to, co właśnie podyktował. Poza tym uwielbiał ciągle stukanie maszyny do pisania. Kiedy wstępowała w niego energia, dyktował w bardzo szybkim, niemalże szalonym tempie. Niekiedy doprowadzał się do takiego wzburzenia, że wydawał się wprost przerażający. Miał to miejsce szczególnie podczas pisania przemówień atakujących Churchilla, Roosevelta lub bolszewizm. Wtedy ton jego głosu wzmagal się; gestykulował, jego zaczerwieniona twarz wyrażała wściekłość, jakby wróg, o którym mówił stał tuż przed nim. Podczas tych mów miał zwyczaj stać w miejscu, gdy zaś dyktował przemówienia innego rodzaju zawsze przechadzał się po pokoju. Czasem przechadzał się szybko, czasem powoli. Gdy był zdenerwowany, mówił tak głośno, że można go było usłyszeć przez podwójne drzwi w oddalonych pokojach.

Zostawiał manuskrypt do następnego rana, kiedy to zaczynał korekturę, która wydawała się nie mieć końca. Zwykle poprawiał treść przemówienia trzy lub cztery razy. Po każdej korekcie tekst musiał być przepisany od nowa. Jego poprawki polegały najczęściej na tym, że zastępował słowa, które pierwsze przyszły mu na myśl na bardziej trafne wyrażenia. Nawet gdy stwierdził, że tekst przemówienia jest zadowalający, stale zajmował się nim, czytał na głos różne ustępy,

Ciąg dalszy na s. 58 ►



Adolf Hitler w towarzystwie niemieckich marszałków i generałów w kwaterze głównej Führera; od lewej: Wilhelm Keitel, Hermann Göring, Adolf Hitler, Martin Bormann; z tyłu widoczni również: Alfred Jodl (z zabandażowaną głową), Heinrich Himmler (z prawej w okularach) i Ferdinand Schörner (pierwszy z prawej), 1944 FOT. HOFFMANN HEINRICH / NAC

► **Ciąg dalszy ze s. 57**

a potem udawał się do Reichstagu. Jeśli na kilka dni przed dyktandem był małomówny i nieobecny duchem, to potem okazywał się bardziej uprzejmy i otwarty.

Po roku 1938 zaczął zapraszać swoje sekretarki na posiłek lub herbatę; podczas podróży zapraszał je po długich dyktandach na posiłek do swojego wagonu restauracyjnego. Do gości obecnych przy posiłku należeli w pierwszej kolejności członkowie sztabu Hitlera i ci, którzy właśnie z nim podróżowali. Podczas trwającego kilka tygodni pobytu w Berghof, zapraszał na posiłki swój sztab i innych gości; także podczas popołudniowych i wieczornych spotkań przy herbacie lubił mieć przy sobie gości. Mimo że często mawiał, że każdy człowiek powinien móc decydować o sobie, był bardzo zagniewany, jeśli ktokolwiek ośmielił się stronić od tych spotkań. Nawet już podczas wojny organizował popołudniowe i wieczorne spotkania przy herbacie.

Na początku wojny urządzał posiłki w sali jadalnej kwatery głównej w towarzystwie oficerów sztabu. W roku 1941 nagle zaprzestał tego zwyczaju, ponieważ podczas posiłków różni generałowie wyrażali przeciwną opinię. Był zdania, że generałom brakowało podczas posiłków niezbędnego wzajemnego poszanowania, dlatego od tej pory Hitler jadł sam. Jeśli samotność go nużyła, zapraszał niekiedy jakiegoś gościa, który przypadkowo przebywał w kwaterze głównej. Po pewnym czasie miał dosyć jednak także takich gości, ponieważ mówili oni wciąż o sprawach służbowych. Z tego powodu zaniechał zapraszania również ich.

Jednak dowiedziałam się od gości, że to sam Hitler zaczynał zawsze rozmawiać o sprawach służbowych. Po 1944 roku nabrał

zwyczaju jadać z sekretarkami i tak pozostawało do jego śmierci. Napominano je, aby nigdy nie mówiły o sprawach służbowych lub nieprzyjemnych, a one wykonywały polecenie, z wyjątkiem sytuacji, gdy Hitler zasiadał do stołu podenerwowany i zapominając o wydanym przez siebie zakazie, sam rozpoczynał rozmowę na ten temat.

Hitler był na swój sposób skromny. Z przekonania był wegetarianinem. Alkohol i nikotynę uważał za substancje trujące. Często wygłaszał długie, wyczerpujące przemowy na temat ich niszczącego oddziaływania. Jego odzienie było proste, bez jakichkolwiek ozdobnych orderów. Niezależnie od towarzystwa, w którym Hitler przebywał, czy od tematu, o którym była mowa – zawsze musiał przewodzić rozmowie. Często miałam wrażenie, że nie robiło mu żadnej różnicy, z kim rozmawiał; że chodziło mu tylko o to, by mieć słuchacza.

Pamięć Hitlera była faktycznie niezwykła. Zaskakiwał fachowców dokładnymi szczegółami, o których oni zapominali w mgnieniu oka. Znał wszystkie niemieckie i zagraniczne typy statków, wiedział, kiedy zostały one zbudowane, jaki był ich tonaż, i jakie posiadały uzbrojenie. Przypominał sobie nawet po roku, gdzie widział danego człowieka i o czym z nim rozmawiał [...]. Nigdy nie mówił jak człowiek, który wątpi w powodzenie swojego przedsięwzięcia. Widział przed sobą tylko cel: światły i jasny; poprzez swoje uduchowienie odpierał wszystkie zarzuty. Z tego powodu jego poglądy, które często wykladał w klasycznie uproszczonej formie, wbijały się mocno w pamięć słuchaczy.

W następstwie tego, że wiele jego przedsięwzięć zakończyło się sukcesem, chociaż wielu mu je odradzało, aż do ostatecz-

ności umocniło się w nim poczucie jego niezwykłości. Doszło do tego, iż nie dopuszczał w ogóle żadnego sprzeciwu. Jego żelazna wola, która już we wcześniejszych latach pozwoliła mu osiągnąć określony cel czy przeforsować określoną decyzję, wzmocniła się aż do uporu. Jeśli ktoś wyraził jakąś wątpliwość, natychmiast był posądzany o małostkowość. Wówczas Hitler musiał jedynie podać kilka przykładów, które udawały jego tezę, aby przekonać także i wątpiącego.

Za szczególnie ważne Hitler uważał wzbudzanie zaufania wśród ludzi. Fakt, że było to możliwe, prawdopodobnie można częściowo wytłumaczyć tym, że on sam był w najwyższym stopniu przekonany o słuszności swojej misji. Za każdym razem on sam to wyrażał. Widział na to dowód między innymi w okoliczności, że nie został okaleczony przez liczne dokonane na nim zamachy, jak w przypadku zamachu z 20 lipca 1944 roku, gdy jakimś cudem uszedł z życiem z niewielkimi obrażeniami. Chociaż on sam odrzucał wszystko, co wykraczało poza sferę ziemską, widział w tym wypadku zrzucenie sił nadprzyrodzonych, które manifestowały się w idei ludzi wybranych przez Boga, w tym wypadku w jego osobie [...]. Mówił również o «przecuciu». Faktycznie wyrażał on już od początku lipca 1944 roku tego rodzaju przecucie. Gdy zęgnął się w Berghof z Ewą Braun, wydał jej polecenia, co powinna uczynić w wypadku jego śmierci. 19 lipca 1944 roku podczas obiadu powiedział do mnie, że tknęło go niepokojące przecucie. Następnie stwierdził, że nic nie powinno mu się przydarzyć, gdyż nie ma następcy.

We wszystkich rozmowach, przy których byliśmy obecni, Hitler nieustannie podkreślał, że wszystko, co czynił, działo się tylko z chęci zapewnienia niemieckiemu ludowi lepszej przyszłości. Nigdy nie mówił o sprawach związanych z obozami koncentracyjnymi czy prześladowaniami Żydów. Udawał przed nami, jakby te sprawy zupełnie nie istniały. Jego twarz przyjmowała chłodny i zdecydowany wyraz, gdy niekiedy przytaczał fakty, że wojna jest rzeczą konieczną, że katastrofy naturalne pochłonąć mogą miliony ludzkich istot, a jednak po tym życie potoczy się spokojnie swoim biegiem. Jednakże okrucieństwo, jakie wyczuwało się w tym sposobie mówienia, było ponieważ łagodzone szczerym współczuciem, które okazywał, gdy opowiadano mu o nieszczęściach pojedynczych ludzi. Kiedyś zapytany, dlaczego nie gonił Anglików po ich klęsce pod Dunkierką, odpowiedział: «Ponieważ chciałem oszczędzić ludzkie życie». Z tego powodu nie wątpiałam, że podczas wojny powietrznej nad Anglią, związanej z niezliczonymi ofiarami, Hitler

duchowo bardzo cierpiał. Jednakże jego upór i silna wola nie pozwalały na żadne odstępstwa od raz obranego kierunku.

Jego silna wola, której wszyscy musieli się podporządkować, nie czyniła wobec nikogo wyjątków. Hitler był wobec siebie samego surowy i pracował nieprzerwanie aż do całkowitego wyczerpania duchowego. Nie uważał, żeby także i duch potrzebował pewnego spokoju, aby pozostać trzeźwym. Gdy tracił wszystkie duchowe i fizyczne siły, nie oszczędzał się w żaden sposób, lecz uciekał do środków sztuki przekonany, że to ona wraz z jego żelazną wolą może uczynić niemożliwe możliwym.

W roku 1945 fizyczne wyniszczenie Hitlera stawało się coraz bardziej oczywiste. Jego lewa ręka drżała nieustannie i coraz mocniej. Chodząc powłóczył nieprzerwanie lewą nogą. Widocznie drżenie lewej ręki sprawiało mu ból, gdyż próbował stale podtrzymywać ją prawą ręką. Jeśli podczas kolacji chciał położyć się na sofie, służący musiał podnosić mu nogi, gdyż sam nie był już w stanie tego zrobić. Na prawe oko nie widział już prawie nic, na lewe zupełnie nic. Ruina duchowa także nie mogła zostać dłużej niezauważona. Jego rozmowy spadły na przerażająco niski poziom.

Kiedy po raz ostatni zobaczyłam Hitlera w nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 roku, wyglądał na całkowicie załamanego człowieka, który nie był już w stanie znaleźć wyjścia ze swego położenia” (zob. Tamże, s. 267-273).

Najbardziej zaufany człowiek Führera

Jednym z najbardziej zaufanych ludzi Führera był Martin Bormann, urodzony 17 czerwca 1900 roku w rodzinie katolickiej. Jako młody administrator w latach dwudziestych prowadził prywatny majątek ziemianina von Treufelsa w Herzenbergu. Brał czynny udział (1922/1923) w ruchu nacjonalistycznym Gerharta Rossbacha i był zamieszany w tzw. mord kapturowy. W marcu 1924 roku został skazany na rok więzienia. Do NSDAP wstąpił w lutym 1927 roku, a rok później powołany został do sztabu SA. W lipcu 1933 roku mianowany został szefem sztabu zastępcy Führera, Rudolfa Hessa. Kiedy w roku 1936 Hitler kupił Dom Wachenfelda w górach Obersalzbergu (Berchtesgaden), powołał Bormanna na zarządcę swojego prywatnego majątku. Po ucieczce Hessa do Szkocji w maju 1941 roku Bormann objął kierownictwo Kancelarii Partii. Odpowiadał m.in. za mianowanie i nadzorowanie pracy wszystkich gauleiterów Rzeszy, oprócz gauleitera Berlina, Goebbelsa. Bormann troszczył się również o ludzi z otoczenia Führera. W kwietniu 1943 roku Hitler mianował go „osobistym sekretarzem”.

Żona Bormanna, Gerda, z domu Buch, urodzona 23 października 1909 roku, była z zawodu przedszkolanką. Jej ojciec, Walter Buch, był aktywnym działaczem SA i SS. Gerda wstąpiła do NSDAP w kwietniu, a za Bormanna wyszła we wrześniu 1929 roku. Świadcami na ślubie byli Hitler i Hess. Pierwsze dziecko, syn, urodził się 14 kwietnia 1930 roku. Otrzymał imię Adolf (po ojcu chrzestnym Adolfie Hitlerze), ale powszechnie zwano go „Krönzi”. W okresie od 1930 do 1943 roku Gerda Bormann urodziła dziesięcioro dzieci; jedno dziecko zmarło. Pomimo troskliwej indoktrynacji i wpajania przez rodziców dzieciom ideologii nazistowskiej, siedmioro dzieci (po wojnie) przystąpiło do Kościoła katolickiego, a najstarszy syn, „Krönzi” przyjął święcenia kapłańskie.

Wiele światła na charakter Martina Bormanna rzucają listy, które regularnie (prawie codziennie) pisywał i wysyłał z Kwatery Głównej Führera do mieszkającej w Obersalzbergu żony Gerdy. Opowiadał jej, co myśli, co robi; pisał o sprawach bardzo osobistych.

Przytaczamy tu niektóre fragmenty.

„Zakochałem się w jednej pani M. – pisze Martin do Gerdy 21 stycznia 1944 roku – jest ona bardzo piękna. Czuję do niej dużo sympatii. Chciałem ją pocałować, ale stawiała opór. Ale mimo to pocałowałem ją bez ceregieli. Przecież znasz siłę mojej woli. I tu M. nie miała szans. Zdobyłem ją dzięki mojej silnej woli. Teraz już jest moja” (Angielskie tłumaczenie korespondencji między Bormannem i jego żoną Gerdą zostało opublikowane w roku 1954; zob. *The Bormann Letters. The Private Correspondence between Martin Bormann and his Wife from January 1943 to April 1945*,

Edited with an introduction and notes by H. R. Trevor-Roper, London 1954).

Gwałt męża wobec pani M. był chyba rzeczą normalną dla Gerdy. W liście do Martina z 2 lutego 1944 roku przyznaje mu rację. Pochwała poligamię muzułmanów i wyraża zrozumienie dla zarządzeń Mahometa. Jak mógł on inaczej zmobilizować wystarczającą liczbę żołnierzy, aby „rozpowszechniali” islam ogniem i mieczem? „Wierzmy Führerowi – pisze Martin do Gerdy 1 września 1944 roku. – Panujemy nad losem, gdy spełniamy nasze obowiązki z poświęceniem i oddaniem, będąc niezachwianymi w swojej wierze. To chrześcijanie mają słabą wiarę i oddają się rozpacz”.

Jak to dobrze, odpowiada Gerda 3 września, „że my kobiety nie musimy łamać sobie głowy nad polityką i strategią, że możemy liczyć na naszych mężczyzn i na silną wiarę w zwycięstwo”.

Martin w liście pisanym 5 września zgadza się z żoną, pisze też, „że nie chciałby znaleźć się w rękach Rosjan”.

Gerda nigdy nie ukrywała swojej pogardy dla chrześcijan i Żydów. „Masz całkowitą rację – pisze 8 września do męża – to chrześcijanie mają najmniejszą wiarę. Ale nie może być zamierzeniem historii, żeby żydostwo panowało na świecie. To straszne, że ono jest wszędzie potężne. I wszystko jedno, jak wojna się skończy, oznacza to zawsze wzmocnienie żydowskiego narodu i żydowskiego skarbu. Ani choroby, ani brud nie mogą zaszkodzić temu robactwu. Więc jak można zmniejszyć ich liczbę?”.

Na ten temat Gerda chyba nie otrzymywała informacji od męża.

CDN.

PETER RAINA ■



Hitler, Ewa Braun i Gerda Bormann z dziećmi Bormanna i Speera, Berghof 1940

FOT. Z ALBUMÓW EWY BRAUN / HITLER-ARCHIV.COM

Schindler i inni twórcy przedsiębiorstwa Holokaust

BOHDAN URBANKOWSKI



Szukając zwiezłych wiadomości o człowieku, który uchodzi za „dobrą twarz Holokaustu” trafiamy w Wikipedii na zdanie: „Oskar Schindler (1908-1974) – niemiecki przedsiębiorca, który uratował wielu swoich żydowskich robotników przed zagładą w obozach koncentracyjnych”.

W rozbudowanych notkach dodawana jest informacja, że „jego zasługi docenił izraelski Instytut Yad Vashem, który w 1993 roku uhonorował Schindlera zaszczytnym tytułem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

Forum Żydów Polskich zamieściło laurkę, w której czytamy: „Każdy słyszał o Oskarze Schindlerze, który w mrocznych czasach Zagłady ratował Żydów. Agresja III Rzeszy na Polskę stworzyła Schindlerowi niepowtarzalną okazję zostania przedsiębiorcą [...] produkował garnki, menażki, a także amunicję na potrzeby armii niemieckiej, z wykorzystaniem taniej siły roboczej, głównie żydowskiej.

W 1943 roku coś się zmieniło. Kapitalista został ratownikiem. Wszystkie kontakty, środki, zdolności wykorzystał na skoszarowanie «swoich Żydów» w barakach na terenie fabryki, zaś po likwidacji obozu «Płaszów» na przewiezienie ich wraz z całą produkcją do Brünnlitz na Morawach, gdzie doczekali wyzwolenia”.

Historia Oskara Schindlera zainspirowała australijskiego pisarza Thomasa Keneally’ego do napisania powieści *Arka Schindlera*. Na jej podstawie Steven Spielberg nakręcił swój sławny film, *Lista Schindlera*. Święty Paweł może się schować.

„Osi”

Bardziej interesujące jest to, czego w tych notkach brakuje. Poza robieniem kariery w radykalnym ruchu hitlerowskim (w czeskim Sudetenlandzie) Schindler rozwijał akcję szpiegowską na rzecz hitlerowskich Niemiec. Oskar Schindler był agentem Abwehry nosił kryptonim „Osi”. Został aresztowany w lipcu 1938 roku podczas spotkania z jednym z zawerbowanych czeskich policjantów. Podczas rozprawy bronił się, że nie pracował dla Abwehry



Oskar Schindler (1908-1974)

z przekonań a tylko za pieniądze, skazany został za szpiegostwo na 20 lat. Uwolniło go wkroczenie Niemców. Za to zabito Czecha (Rudolf Huschka czy raczej Huška) – tego, który go zdemaskował. Mówiono, że sam Schindler nastawał, by zlikwidować Huškę.

1 listopada 1938 roku Schindler złożył podanie o przyjęcie do NSDAP.

Po wyjściu z więzienia Schindler wrócił do roboty szpiegowskiej, został szefem Abwehrstelle w Morawskiej Ostrawie, rozpracowywał także polski system obrony i montował prowokację gliwicką (za co ponoć otrzymał od samego Hitlera złotą odznakę NSDAP i samochód). On i jego agenci organizowali przemysł broni na teren Śląska Cieszyńskiego. Schindler przygotowywał też akcję dywersantów na przełęcz Jabłonkowską. Według wspomnień żony Schindlera, Emilii, polskie mundury, w które były ubrane trupy udające po śmierci polskich żołnierzy (w rzeczywistości zamordowani więźniowie) były zdobyte przez jego bojówkę i przechowywane w ich ówczesnym domu – 40 km od Gliwic. Schindler pomagał też przy opracowywaniu marszruty wojsk niemieckich na Polskę. Za zasługi w przygotowywaniu agresji – z łatwością zaczął robić karierę w podbitym kraju. Już w listopadzie 1939 roku za niewielkie pieniądze kupił w Krakowie w ramach „aryzacji” żydowską

fabrykę, przyszłą Oskar Schindler Deutsche Emaillewaren-Fabrik.

Niemiecka Fabryka Naczyn Emaliowanych – o czym się na ogół nie wspomina – produkowała niewinne garnki, kociołki menażki dla armii. Z radością doniósł o tym żonie w jednym z listów: „Wojna to naprawdę dobry interes”. Fabryka się rozrosła; wkrótce Schindler miał trzy fabryki, zatrudniał około 1 700 robotników, początkowo przeważnie polskich. W 1943 roku po przeniesieniu krakowskiego getta do Płaszowa, dogadał się z komendantem obozu Amonem Göthem i ten wydzierżawił mu niedrogo 700 Żydów, co pozwoliło zwolnić większość Polaków – droższych i nie tak „pokornych” jak tego Schindler wymagał. Załatwił także przeniesienie żydowskich robotników do przylegającego do fabryki podobozu. Robotnik, który jest na miejscu, niestresowany przemarszami z obozu do pracy lepiej rzecz jasna pracuje.

Biografia dobrego „Osi” pokazuje przejście od zwykłej fabryczki naczyń emaliowanych do obozu pracy niewolniczej; kończy się zwykłą fabryką, zaczyna przedsiębiorstwo Holokaust.

Holokaustbiznes Schindlera

Pisząc o Oskar Schindler Deutsche Emaillewaren-Fabrik weszliśmy w środek tematu ukazując zakład dobrze zorganizowany. Administracyjnie była to część okupacyjnego aparatu ekonomicznego, socjalnie – wydzielona część getta. Taki stopień doskonałości nie wszystkim udało się osiągnąć. Wersja Schindlera to firma cywilizowana i znakomicie zorganizowana. Z tych samych czasów pochodzą próby spontaniczne, „interesiki” organizowane okazjonalnie przez samych Żydów. To jednak amatorszczyzna! Elementem wspólnym dla przedsiębiorstwa różnej wielkości i stopnia organizacji jest tylko jeden warunek. Jest kupujący i sprzedający towar – a towarem jest życie. Odnotujmy jako jedną z makabrycznych ciekawostek – będzie ich jeszcze kilka.

Świadectwa tego koszmarnego świata zebrał Jerzy Robert Nowak w książce *Żydzi przeciw Żydom* (Warszawa 2012). Są to wspomnienia tych, którzy przeżyli budowę „Przedsiębiorstwa Holokaust”. Od siebie dodaje tylko klasyfikację ekonomicznych „wynalazków”...

1. Chleb jako waluta

„Żydowska policja potrzebowała dodatkowych osób do pomocy w swym potwornym działaniu selekcji wszystkich dzieci dla deportacji do obozów śmierci. Próbowali zmobilizować strażaków ze straży ogniowej w getcie [...]. Każdy kto zgodził się uczestniczyć w tej zbrodniczej akcji miał otrzymać wielki bochen chleba” (Mosze Checiński, b. mjr WP, emigrant wydał w 1981 w USA książkę, w której ujawnił udział NKWD w prowokacji kieleckiej. Według niego głównym organizatorem prowokacji był mjr Diomin – za: J. Nowak, jw., cz. I, s. 122n).

2. Seks jako waluta

„Członkowie żydowskiej Ordnungsdienst albo gwałcili młode żydowskie dziewczyny albo wymuszali na nich usługi seksualne przy Umschlagplatz. Młode kobiety, schwytane w Aktion i z desperacją szukające ratunku, gotowe były zgodzić się na wszystko w zamian za uwolnienie z tego piekła. Oczywiście nigdy ich nie uwalniano, ale strażnicy robili z nimi, to, co chcieli” (Relację Rubinlichta przywołał Charles G. Roland, *Courage under Siege: Starvation, Disease and Death in the Warsaw Ghetto*, 1992, 51; cyt. za: J. Nowak, jw., cz. II, s. 124).

3. Rabunek

„Głównie rabunkiem zajmowała się żydowska policja, wtórnie szukając już tak pilnie ludzi, tym bardziej baczyła, by jak najwięcej zrabować. Policjanci żydowscy nie nosili pałek, za to każdy trzymał na ramieniu siekiere. Upozorowane to było tym, że Niemcy często kazali rozbijać drzwi, częściej jednak służyło to do łatwiejszego rabunku [...]”.

Ofiara zostaje zaskoczona przeważnie w opuszczonym domu, przez który przechodzi, zaciągając się ją do pustego mieszkania i tu z lufą rewolweru przytkniętą do skroni rozbiera do naga i pozbawia wszystkiego, co przedstawia jakąkolwiek wartość. Któż będzie ingerował? Niemcy, ci tylko z satysfakcją przyjmą do wiadomości, że Żydzi napadają Żydów i niszczą ich w ten, czy w inny sposób, gładzenie Żydów przez Żydów jest dla nich grą, której przyglądają się nader chętnie” (Fragment raportu niezidentyfikowanego Werdchutzmanna z Archiwum Ringelbluma; za: J. Nowak, jw., cz. II, s. 148).

4. Haracz

Reuben Ainsztein, historyk, opisuje przypadki, gdy policjanci z warszawskiego getta – aresztując większą liczbę współrodaków niż wymagali Niemcy – wymuszali okup za umożliwienie ucieczki.

„Widziałem jak grupy zwolnione – pisze – były z powrotem gnane do pociągów przez żydowskich policjantów. Dziesiątki, być może setki Żydów zostało posłane w ciągu tych dwóch godzin na śmierć przez żydow-



FOT. WIKIMEDIA

skich policjantów. Był bokser Szmerling, olbrzym z małą bródką i twarzą urodzonego zabójcy, który kierował komandem żydowskiej policji na Umschlagplatzu, nie wahał się używać swego bicia i korzystał ze swej pozycji do wymuszania pieniędzy i klejnotów od bogatych ofiar za umożliwienie im ucieczki z punktu transportu do Treblinki. Jego podwładni [...] żądali po 1 000 złotych za pozwolenie na ucieczkę. Były przypadki, gdy policja żądała od swych ofiar, poza pieniędzmi również zapłaty w naturze: kobiety musiały się podporządkować ich żądom” (Tamże).

Hurtowo, w sposób zorganizowany haracz pobierała żydowska policja tzw. odemani (Ordnungsdienst) za wnoszenie żywności do getta. „Taksa ta w porównaniu z łapówkami granatowej policji wynosiła zawsze podwójną stawkę” (Tamże, cz. II, s. 178).

Postępowanie policji w innych gettach było identyczne.

W Krakowie powstała żydowska ZA – Zivlabteilung, której dowódcą był Michał Pacanower. Spełniała rolę policji politycznej, składała się z konfidentów ściganych przez polskie podziemie. Ta grupa wykonywała dla Niemców zadania specjalne. Zachowało się zeznanie doktora Dawida Schlanga, który mówił o udziale grupy policji żydowskiej

w egzekucji grupy Polaków i dwóch Żydów w Płaszowie 26 czerwca 1942 roku (Tamże). Żydowska Zivlabteilung podobnie jak żydowskie gestapo w Warszawie działała też na zewnątrz getta. Członkowie ZA śledzili polski ruch oporu, wślizgiwali się nawet jako „uciekinierzy” do podziemnych organizacji – potem wydawali je na śmierć. Czasami pobierali haracz za milczenie, czasami donosili pomimo haraczu.

5. Okradanie umarłych

Działacz ŻOB i uczestnik walk powstania w getcie warszawskim w 1943 roku Tuwja (Tobiasz) Borzykowski w swym pamiętniku utrwalił zachowania Żydów-szabrowników, rabujących trupy w końcowych dniach powstania w getcie. Wdzierali się oni do bunkrów zagazowanych przez Niemców. „Głód przekształcał ludzi w bestie [...]. Myślę tu o szabrze, jak nazywali to w języku getta. Szabrownicy wiedzieli, które bunkry były zagazowane, i za każdym razem, gdy się to zdarzyło, szabrownicy z całego getta zbiegali się w tym miejscu. Zabierali żywność ludzi jeszcze żyjących, deptali po zmarłych i umierających, i bili się ze sobą o każdy strzęp [...]. Nie tylko żywność była celem «szabrowników»

Ciąg dalszy na s. 62 ►

► **Ciąg dalszy ze s. 61**

[...]. Oni usuwali pierścionki i zegarki od ofiar zagazowanych na śmierć, a nawet dobrą parę butów” (por. T. Borzykowski, *Tumbling Walls*, Tel Aviv 1972; tłum. J. Nowak, jw., cz. II, s. 78-79).

6. Handel ludźmi – sprzedaż nadwyżek

Halina Birenbaum, która dzieciństwo przeszła w warszawskim getcie wspomina ten koszmar w książce *Nadzieja umiera ostatnia*: „Na Leszno wdzierały się gromady żydowskich policjantów, uzbrojonych w kije i palki. Jak stado dzikich, zgłodniałych zwierząt, rozdrażnionych zapachem krwi, wyjąc i krzycząc wbiegali do bram domów. Do naszych uszu docierały wrzaski policjantów, łomotanie do drzwi, odgłosy walki, ordynarne przekleństwa, szamotanie się na schodach. Policjanci handlowali między sobą złapanymi ludźmi, ten któremu udało się złapać więcej ofiar, sprzedawał swój nadkontyngent koledze mniej zaradnemu” (Tamże, cz. II, s. 188; zob. C. Perechodnik, *Spowiedź*, Wydawnictwo Karta, Warszawa 2004).

7. Nawet najbliżsi

Policja getta nie była sentymalna. Liczne wspomnienia utrwaliły opisy wydawania najbliższych – zwłaszcza kiedy chodziło o ratowanie własnego życia albo tylko posady. Drastycznym przykładem jest policjant z getta w Otwocku, Cael Perechodnik, który w sierpniu 1942 roku wyciągnął z bezpiecznej kryjówki swoją żonę i córeczkę, i odprowadził je do transportu śmierci.

8. Rabowanie grobów

We wrześniu 1941 roku Ringelblum pisał o rabowaniu grobów przez policjantów żydowskich: „Na cmentarzu dzieją się okropne rzeczy masowe groby, niegodziwy sposób grzebania biedaków (wrzucają ich jak psy do grobów) – to jeszcze nie wszystko. Okazuje się, że w nocy rozkopują groby, wyciągają nieboszczykom złote zęby i ściągają z nich śmiertelne całuny. Ostatnio toczyło się dochodzenie dyscyplinarne przeciw policjantom żydowskim, którzy się tym parali. Jednym słowem samo dno upadku” (J. Nowak, jw., cz. II, s. 148n).

Myślę, że te przykłady przekonują o ile sprawniejsze od żydowskich „improwizacji” było zorganizowane przez Niemców przedsiębiorstwo Schindlera.

Inaczej trzeba też spojrzeć na „opiekę” Schindlera nad Żydami. To byli jego robotnicy a on, jak każdy nowoczesny myślicy kapitalista wiedział, że syty robotnik jest bardziej wydajny od głodnego. Potrafił też zharmonizować działalność z oczekiwaniami dwóch kontrahentów: zewnętrznego, jakim była zwycięska armia i wewnętrznego – jakim byli zagrożeni w swym istnieniu Żydzi. Jego przedsiębiorstwo zaczęło przy-

nosić dochód podwójny: za produkty od kontrahentów i za wykonywanie pracy – od pracowników. Schindler dbał też o siłę roboczą, nawiązując *human relations* z pracownikami, a zwłaszcza z pracownicami – złośliwi nazywali to „haremem”.

W końcu 1944 roku, w związku ze zbliżaniem się frontu Schindler otrzymał polecenie ewakuacji fabryki w głąb Niemiec. Istniała obawa, że pracujący u niego więźniowie obozu z Płaszowa zostaną wysłani do Oświęcimia. W tym momencie zaczął się największy interes życia Oskara Schindlera.

Holokaust Industry

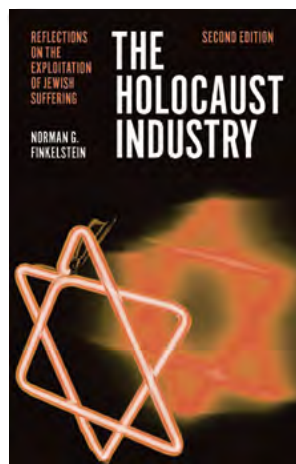
Dotychczas rozliczenia finansowe wyglądały w ten sposób, że Schindler wpłacał do SS pieniądze za pracę Żydów – ich praca stanowiła więc jego obciążenie, produkt tej pracy – zysk. Od tego momentu... Żydzi zaczęli płacić za możliwość pracy, ich praca przynosiła zatem dodatkowy zysk (prócz zysku za sprzedane wojsku produkty).

Współtwórcą tego przedsięwzięcia nowego typu był Marcel Goldberg określany czasem jako „odeman” (policjant), czasem jako „urzędnik” – protokół u Arbeitseinsatzführera SS – Hauptscharführera Franza Müllera. Goldberg stał się poborcą dodatkowego zysku pracodawcy – ściągając wprost od pracownika. Za wpis na listę pracujących Goldberg pobierał bardzo wysokie opłaty – zwłaszcza wtedy, gdy wpisanie nowej osoby łączyło się z wykreśleniem innego nazwiska znajdującego się na liście. Skreślenie z listy oznaczało dla tych ludzi pewną śmierć. Nic dziwnego, że na liście pracy znalazło się wielu odemanów i bogatych kolaborantów. Jedną z osób skreślonych z listy Schindlera był ojciec, późniejszego reżysera, Romana Polańskiego.

Dygresja terminologiczna i nie tylko

Termin „przemysł Holokaustu” wymyślił i wprowadził do przestrzeni medialnej amerykański historyk Norman Finkelstein w napisanej w 2003 roku pracy: *The Holocaust Industry: Reflections on the Exploitation of Jewish Suffering (Przedsiębiorstwo Holocaust. Refleksje nad eksploatacją żydowskiego cierpienia)*. Finkelstein wykazał w tej książce oszustwa stowarzyszeń, które żerują na okupacyjnych cierpieniach Żydów – wykorzystując ich śmierć, żyją za to wygodnie i tłusto.

To niestety prawdziwa obserwacja, zwłaszcza w odniesieniu do Ameryki, która nie tylko nie doświadczyła Holokaustu, ale nawet odmówiła pomocy Żydom europejskim.



Przemysł Holokaustu to jego zdaniem twór „gangu plutokratów, mediokratów i chuliganów”, w wyniku tych działań następuje pomniejszenie moralnego wymiaru cierpienia żydowskiego narodu, a dodatkowo wzrost antysemityzmu. Książkę Finkelsteina wysoko oceniono w Izraelu... Kiedy w roku 2008 przyleciał tu w odwiedziny nie został wypuszczony z lotniska w Tel Avivie – otrzymał 10-letni zakaz wjazdu do Izraela.

Epilog

W październiku 1944 roku Niemcy zdecydowali przenieść 1 200 „pracowników” do fabryki w Brännlitz w Sudetach (dziś Brněnec w Czechach). Tutaj fabryka Schindlera wznowiła działalność. Ponieważ na jej temat powstała cała mitologia – weryfikacją zajęli się czescy naukowcy.

Jak opisali to Czesi (np. Jitka Gruntova w książce *Oskar Schindler. Legenda a fakta*), śmiertelność w schindlerowskim obozie wbrew legendom nie była niższa, a bywała okresowo wyższa niż w podobnych obozach w Libawie i w Porici – co łączyło się np. z porą roku (zima, początek wiosny). Dobry Niemiec „Osi” równie dobrze, a nawet lepiej „zapracowywał” Żydów, jak źli Niemcy. Po wojnie był poszukiwany jako zbrodniarz wojenny, bohatera zrobiono z niego 15 lat później – dla propagandowego zrównoważenia sprawy Eichmanna i poprawy wizerunku Niemców, z którymi Izrael normalizował swe stosunki moralne, tzn. handlowe.

Pieniądze zarobione na Żydach urządziły Schindlera na czas dłuższy. Do 1948 roku żył w Niemczech, potem wyjechał do Argentyny, gdzie zbankrutował, zostawił żonę i na zaproszenie Żydów, których być może ocalił od śmierci, a na pewno pozwolił się wzbogacić (kosztem innych Żydów) pojechał do Izraela. Tu zaczęły się pierwsze pokazy przedsiębiorstwa Holocaust, Schindler i dawni odemani występowali w mediach dając sobie nawzajem świadectwo moralności. Opowieść o *Liście Schindlera* stała się hagdą podobną do *Pociągu Kastnera* – tak samo wyliczano żywych i zapominano o pominiętych. Zachwyty nad Schindlerem starczyłoby na kanonizację. Dostał pracę w muzeum – z której go wyrzucono za alkoholizm. Wrócił do Niemiec, gdzie spędził resztę życia. Umarł w 1974 roku, pochowano go w Jerozolimie. Było zapotrzebowanie na „dobrego Niemca”. W 2001 roku Rada Kraju Pardubickiego skreśliła Schindlera z listy zasłużonych.

BOHDAN URBANKOWSKI ■

❑ Po premierowym pokazie serialu *Nasze matki, nasi ojcowie* (2013), Zbigniew Sajnog napisał recenzję, wskazując na podstawie analizy filmu – a więc wywodząc z wewnątrz, z samej konstrukcji utworu – że nadano mu z założenia wymowę propagandową. Ów efekt by zabiegiem celowym, dokonany kosztem artystycznej jakości. Fakt takiego postąpienia autorów filmu ewidentnie wskazuje, iż nie były dla nich najważniejsze kwestie artystyczne, ale właśnie polityczna wymowa. Wprawdzie przed Trybunałem polskim zapadł wyrok (o czym pisaliśmy w poprzednim wydaniu „Ostoi”), ale nadal niemieccy producenci nie zamierzają mu się poddać. Przypominamy ten tekst, gdyż tezy w nim zaprezentowane są wielce aktualne, a unikanie przez Niemców przeproszenia więźnia niemieckiego KL Auschwitz budzi sprzeciw cywilizowanego świata.

„Nasze matki, nasi ojcowie” ...

■ ZBIGNIEW SAINÓG



Mój dziadek, Władysław Sajnog, pracował w przemysłowych zakładach kolejowych w Pruszkowie. W czasie wojny należał do AK. Po Powstaniu Warszawskim na terenie tych zakładów Niemcy utworzyli obóz przejściowy. Dziadek brał udział w organizowaniu ucieczek uwięzionych tam powstańców. Niemcy w poszukiwaniu zbiegów urządzali obławy. Żandarmeria i Wehrmacht blokowały dzielnice miasta, po czym przeszukiwały domy i zabudowania. W czasie jednej z takich obław, gdy mój dziadek z wujkiem ukryci byli w skrytce, jeden z niemieckich żołnierzy popychając lufą karabinu mojego tatę, wówczas chłopca, przymusił go do pokazania piwnicy. Ale ukrytych tam dziadka i wujka Niemcy nie znaleźli. Sprawdził się fortel mojej babci. Obok skrytki ustawiła kamionkowy garnek ze smalcem, co skutecznie zmyliło psa. Cóż, na różne sposoby przedstawić można relację polskości i wieprzowiny...

Gdy w 2013 roku zapowiedziano telewizyjną premierę niemieckiego filmu *Nasze matki, nasi ojcowie*, zważywszy na przeżycia, na to, co tata mój widział własnymi oczami, ciekaw byłem jego opinii. Już po obejrzeniu zwiastunów i po usłyszeniu jak przedstawiono w tym filmie AK, powiedział, że ma tego dość, że z ręki Niemców zginęli bliscy mu ludzie, a teraz miałby jeszcze wysłuchiwać kłamstw, znosić przerzucanie winy na Polaków? I nie jest to kwestia jakiegoś żalu czy uprzedzenia. Po prostu, agresor, najeźdźca i okupant, który mordował, niewolił, eksploatował i grabił, nie ma moralnego prawa do oceniania tych, którym to uczynił i organizacji które tworzyli, aby się bronić, w tym przypadku – Armii Krajowej. Tata mój w ogóle filmu nie oglądał.

Niemieccy żołnierze w obliczu klęski wypowiadają słowa: „byłem bohaterem, teraz jestem lajdakiem” i „byłem bohaterem, teraz jestem mordercą”. Ale to, co w ten sposób autorzy filmu rekomendują jako głębię refleksji, jest zaledwie przetrzeźwieniem kogoś o mentalności bandyty – przekonanego, że człowiek po to wyposażony jest w siłę, myślenie i różne talenty, aby właśnie mordować, niewolić i grabić. Kogoś, kto trwa w tym przekonaniu dopóki niespodziewanie napotka silniejszego... Jednak takie przetrzeźwienie to jeszcze nie jest refleksja. Nie jest to coś, co wynika z tego człowieka – z jego wrażliwości, z przemyśleń. Nie jest to więc refleksja, ale raczej wstrząs: znalazł się w sytuacji, która wyświeśliła jego małość. I to nie tyle, że okazał się słabszy, ale że pogląd jego był nieszczęsny, pożałowania godny.

Gdy jakiś zbrodniarz opamięta się, przeżyje moralną przemianę, gdy daje znaleźć się Bogu – ukazanie tego jest budujące. Ale jeśli trzeźwieje, bo ktoś silniejszy stanął mu na drodze, powalił go i depce – to, co, lepiej późno niż wcale, ale materiał na epos moralny to nie jest.

Skoro Niemcy, na przykład tym filmem kłamią, skoro postępują bez należytej uwagi i wrażliwości, trzeba postawić sprawę twardo. Otóż, patrząc ogólnie, a nie wykluczając jakichś szczególnych sytuacji, niemieccy żołnierze tej wojny nigdy nie byli bohaterami. Byli albo z przekonania, albo z uwiedzenia (choć bywało też, że z przymusu) – wykonawcami i narzędziami skrajnie zbrodniczego i łódziejskiego systemu. Byli agresorami z najniższych pobudek.

Sprawy hitlerowskich grabieży, łódziejskiego systemu, a w tym na przykład wyrwania na przemysłową skalę złotych zębów – te sprawy są w filmie całkowicie pominięte. W takich czynach człowiek nieuchronnie

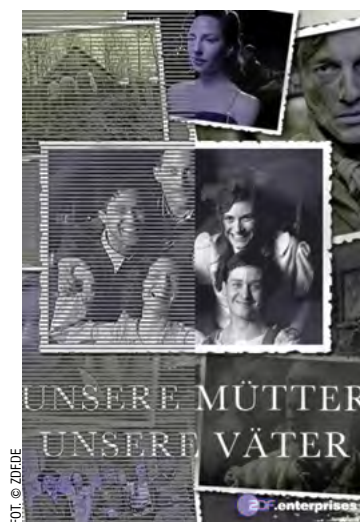
ujawnia swą tandetną, nikczemną małość, której nie sposób nadać rysu szlachetności. A takich ludzi autorzy filmu nie chcą do roli swoich rodziców.

Wybór postaci, użyte środki filmowe, wyraźnie wskazują kogo za swoich ojców i swoje matki uważają. W kogo tchną życie, komu dają wymiar, rys moralny, kogo kamera lubi. Film ten jest wyrazem pragnienia – dokonaniem wyboru rodziców. Nie jest filmem o tych, którzy rzeczywiście byli ich matkami i ojcami.

Gestapowcy, esesmani są ukazani niczym spotworniała narośl. Między nimi a bohaterami opowieści nie ma ciągłości. Autorzy mówią nam: nasi rodzice nie byli antysemitami. Ale mimo uogólniającego sensu tytułu – w Niemczech i Austrii żyje ogromna ilość ludzi, którzy z tym wyborem kamery nie mogą się zidentyfikować.

Zabijanie, mord – wnoszą ton skrajnej powagi. Poruszają, porażają. Wielkie dramaty pasują do obrazu rycerstwa. Ale dłubania trupom w odbytach w poszukiwaniu dolarów nie da się upchnąć w nawet najperfidniej ułożonej definicji szlachetności... Za rycerstwem zawsze ciągnął odór śmierci, ale zaiste hitlerowcy ideę rycerstwa sprowadzili na samo dno.

Zauważmy i to: mimo iż uważali się oni za rycerskich nadludzi, gdy postanowili napaść na Polskę, pobratali się z Sowietami, a więc z ideologią, którą gardzili i z ludźmi, których uważali za reprezentujących typ wschodniego podczłowieka. Skoro uczynili tak mimo swojej i tak miażdżącej przewagi nad Polską, to ta zмова i ten wspólny napad – choć uważane za polityczny manewr – czym były jeśli nie zakłamaniem, brakiem charakteru, może i tchórzostwem, co oczywiście nie ma czegokolwiek wspólnego z rycerstwem, do którego tak dumnie aspirowali.



ciąg dalszy na s. 64 ►

Gdyby autorzy filmu konsekwentnie podążyli swoim myśleniem – rzeczywiście uważając nazizm za zło – powinni ówczesnym Polakom co najmniej okazać szacunek. Powinni starać się właśnie z należnym szacunkiem ukazać zawilości tamtych sytuacji, bo jeśli szukać w czasie II wojny światowej moralnej wielkości, to nie w Niemczech, nie w Sowietach, nie w zdradzieckiej Francji czy Anglii – ale właśnie w Polsce. Właśnie Polska była miejscem wielkiego moralnego dramatu, gdy w obliczu przeważających mocy konsekwentnie mówiono: NIE – obu obłędnym, morderczym i grabieżczym systemom. Stając tym samym w sytuacji, w jakiej nikt nie považał się stanąć: w jednej chwili przeciwko nazizmowi i komunizmowi. W konsekwencji zaś stawano wobec zupełnie niesłychanych, skrajnych moralnie ludzkich dramatów – w tym wobec kwestii pomocy Żydom w warunkach, gdy pomoc ta, według hitlerowskiego „prawa” obłożona była karą śmierci, śmierci całych rodzin i całych społeczności! Często śmiercią zadawaną ze szczególnym okrucieństwem.

Jeśli więc ktoś chciałby pokazać moralną wysokość i wstrząsającą głębię ludzkiego dramatu, to szczególnie w Polsce tamtego czasu i pośród tamtych ludzi powinien szukać. Ale tego autorzy filmu nie widzą, nie chcą dostrzec, lub nie ogarniają. Nie zauważają, że Polska była w tamtej sytuacji „językiem u wagi”. Gdyby Polacy poszli z Sowietami na Zachód, można domniemywać, iż autorzy filmu do dziś mieszkaliby w sowieckiej Europie. A gdyby natomiast poszli z Niemcami na Wschód – być może do dziś żyliby w nazizmie, który przecież uważają za zło...

Przywołam słowa historyka, profesora Pawła Wieczorkiewicza: „Jeśli w grudniu 1941 roku Niemcom pod Moskwą zabrakło 4-5 dywizji i jeszcze 100-200 czołgów, to Wojsko Polskie solidnie zmobilizowane i przygotowane do wojny tych dywizji było w stanie dać 60 i 1 000 czy 1 500 czołgów. To byłby czynnik, który rozstrzygnąłby wojnę na wschodzie”.

Nie zamierzam w jakikolwiek sposób ówczesnych Polaków idealizować, nie. Ale niewątpliwie w swojej ogólności takiego wyboru dokonali i w tamtej tak granicznej sytuacji powiedzieli: NIE – obu totalitaryzmom. Natomiast autorzy filmu *Nasze matki, nasi ojcowie* nie dorośli do podziękowania im za ich postawę moralną, za ten wybór, którego dokonali, za ich bohaterstwo.

Uważnie się przyglądając – Polacy trzykrotnie w XX wieku oddali Niemcom wielkie zasługi, trudne do wymierzenia.

W roku 1920 zatrzymując pochód Armii Czerwonej na Europę, w 1939 mówiąc: nie zarówno nazizmowi jak i komunizmowi, i, oczywiście, „Solidarnością” – świadomie i intencjonalnie! – po tym jak Niemcy utopili Polskę w morzu krwi i wpędzili w pół wieku trwającą niewolę, udręczenie i nędzę, co jest dojrzałością najwyraźniej umykającą autorom filmu. Cóż – ich uwagę przykuł, rzucony wprost na stół, boczek i chodząca po nim mucha – plujka. Ale kogóż w ten sposób zdefiniowali, jeśli nie siebie? Więc, znów to samo?

Jeden z uczestników telewizyjnej debaty o filmie, która wówczas miała miejsce, przekonywał, iż jednowymiarowe i tendencyjne ukazanie Polaków wynika z konstrukcji obrazu, z tego iż byli postaciami drugiego planu. Ale przyjrzyjmy się scenie, gdy odkrywając w zdobytym pociągu więźniów obozu koncentracyjnego, szef oddziału AK „identyfikuje” ich po smrodzie jako Żydów – i z powrotem zamyka.

Ze sceny tej wynika, jakoby w obozach koncentracyjnych umieszczano tylko Żydów i jakoby właśnie takie przekonanie mieli partyzanci. W ten sposób autorzy filmu dokonują historycznego kłamstwa i zarazem konstruują jednowymiarowy, agitacyjny płaski obraz. A przecież owa sytuacja, w której oprócz spodziewanego transportu broni i sprzętu, partyzanci napotykać także więźniów, otwiera właśnie sposobność, by ukazać i historyczną prawdę i zarazem wymiar dramatu. Jakże bowiem partyzanci, sami przecież ukrywający się, mogliby pomóc takiej ilości ludzi? Jak ich напоić, nakarmić, opatrzyć, przebrać, ukryć etc. – i to spodziewając się przecież rychłej kontrakcji Niemców? Ale i na tym rzecz się nie zamyka, bowiem jaki byłby los ludzi, którzy wykorzystując sytuację uciekliby z takiego transportu, ale zostaliby nieuchronnie ujęci w obławie przez hitlerowców. Każdy kto choć trochę interesował się historią obozów koncentracyjnych wie, jak okrutne potraktowanie czekało schwytanych zbiegów i że w przypadku ucieczki więźniów hitlerowcy stosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej wobec pozostałych. Właśnie w takim poruszającym kontekście, w takich niezakłamanych okolicznościach, można było ową scenę „ujawnienia żydostwa” Victora, jednego z głównych bohaterów, ukazać wyraziście, przekonująco i przejmująco.

Właśnie w takim napięciu, przy takiej – prawdziwej – złożoności, postaci nabierają autentyzmu, intensywności. To na wielkich napięciach moralnych osnuwa się naprawdę doniosłe filmy. Dzieła. Poruszające, otwierające na Prawdę, poruszające do oczyszczenia. To jest podstawowa wiedza z zakresu

sztuki filmowej, z zakresu konstruowania postaci i pisania scenariusza. Ludzie zajmujący się sztuką filmową powinni być na takie rzeczy szczególnie uwrażliwieni. Pragnący stworzyć dzieło, o takie sceny z silnym moralnym napięciem – zabiegają! Gdy zatem autorzy *Naszyc matek, naszyc ojców*, mając w ręku takiej skali dramat, przerobili go na mały, jątrzący, płaski, prostacki, wulgarny i zakłamany *agit-prop* – kompromituje ich to także w tej dziedzinie jako filmowców. Dowodzi także, że płaski, jednowymiarowy obraz Polaków nie wynika z konstrukcji filmu, ale jest zabiegiem celowym i on właśnie niszczy ten film, jest wbrew zasadom sztuki filmowej.

Inny przykład: za pomocą montażu, przechodząc cięciem ze scen przedstawiających sytuację jednego z bohaterów, Żyda, wśród akowców – do sytuacji jednej z bohaterek w celi przesłuchań Gestapo i w więzieniu – dokonano językiem filmu zrównania AK z Gestapo, postawienia między nimi znaku równości. To jest działanie celowe.

Z owej realizowanej polityki wynikają w filmie sprzeczności. Oto na przykład widzimy oddział AK, czekający w zasadzce na niemiecki pociąg. Patrząc z wojskowego punktu widzenia ich postępowanie jest ignoranckie, bezsensowne, nie rokujące żadnych szans powodzenia. Cała ich akcja opiera się na przekonaniu, że gdy na torach w lesie ustawi się znak stop, to maszynista Niemiec pociąg zatrzyma. Nie ma przemyslanego wyznaczenia i obsadzenia stanowisk, łączności, nie ma „planu B”, nie ma planu odejścia etc. Siedzą niezborną kupą w chaszczach rozprawiając o wyższości bigosu nad gulaszem. Znów ten w zamiśle poniżający obraz obraca się przeciw jego autorom. Wcześniej słyszymy w filmie meldunek jednego z głównych bohaterów, Friedhelma Wintera, o niezwykle intensywnych i skutecznych działaniach partyzantów, którzy wysadzili w powietrze 150 mostów. Przeradza się to w groteskę, jak bowiem możliwe, by czynów takich dokonywały podobne bandy „bigosowych” półkretynów? Przecież jakie to wystawia świadectwo hitlerowskiej armii, która nie umiała się obronić przed ich działaniami... Film staje się bezsensowny.

Wykreowany obraz Polaków pozostaje w jaskrawym kontraście z obrazem ludu rosyjskiego, przedstawionego niezwykle szlachetnie. Jeden z bohaterów filmu, Wilhelm Winter, otrzymuje rozkaz spalania gospodarstwa znajdującego się w pobliżu frontu. Panuje tam cisza, spokój i ład – żadnego boczeku z muchami, o nie! Patriarchalny starzec z długą, siwą brodą i jego żona zapraszają wroga z kanistrem do stołu.

Refleksja teologiczna pojawiająca się w tym filmie, dotycząca wydarzeń tak szczególnych, o tak zasadniczym znaczeniu dla historii ludzkości i dla człowieka w ogóle – jest na poziomie oburzającym, dyskwalifikującym z udziału w publicznej debacie. Jest ignoranca i wręcz upiorna. Oto, gdy Niemcy zaczęli przegrywać, jeden z bohaterów stwierdza: „Bóg odwrócił się od nas, za dużo mordowaliśmy”. Tak tę sprawę w filmie zostawiono. To ma być refleksja berlińskiej inteligencji, uczestników cywilizacji zachodniej, w której od blisko dwóch tysięcy lat obecne jest Słowo Boże.

Na takim oto poziomie refleksji poruszają się twórcy filmu, uważający się za przygotowanych do kształtowania społeczeństw, do kształtowania człowieka w sprawach najistotniejszych. Ba, aspirujący do oceniania, do osądzania!

Film ujęty jest w kłamrę dwóch spotkań głównych bohaterów w berlińskiej knajpie. To otwierające jest dość niefrasobliwą zabawą tuż przed najazdem Niemiec na Związek Sowiecki. Film zamyka spotkanie w tejsze knajpie, opuszczonej pośród ruin Berlina, trojga z nich, którzy wojnę przeżyli.

By właściwie rzecz tę zrozumieć trzeba uświadomić sobie, że po raz pierwszy pokazuje się nam bohaterów już w pewnym momencie wojny, a do czasu tego spotkania hitlerowcy uczynili już ogrom potworności. Mordowali dorosłych i dzieci. Planowo na masową skalę mordowali Polaków. Mordowali dzieci upośledzone, uznane przez nich za niegodne życia. W ramach akcji T4 mordowano pacjentów szpitali psychiatrycznych. Aresztowano i zesłano do Sachsenhausen profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Już od roku działał KL Auschwitz, do którego pierwszych więźniów, Polaków, przywieziono 14 czerwca 1940...

O tych i innych potwornych czynach krążyły w społeczeństwie niemieckim wiadomości, i są o tym świadectwa. Przywołam tu przykład Kurta Gersteina, działacza Kościoła Wyznającego – antynazistowskiego ruchu w niemieckim Kościele ewangelickim, który słysząc o zbrodniach i poruszony podejrzaną śmiercią szwagierki, 10 marca 1941 roku wstąpił do SS,

aby dowiedzieć się prawdy o tych sprawach, aby prawdę tę ujawnić, a zbrodniom w miarę możliwości przeciwdziałać. Kurt Gerstein mówił: „My musimy przegrać tę wojnę. Po stokroć lepszy byłby Wersal, niż zwycięstwo tej bandy zbrodniarzy”. Tymczasem bohaterowie filmu umawiają się na rychłe spotkanie po zwycięstwie. Spotkanie na święta Bożego Narodzenia.

Co o tym myśleć? Czy młoda berlińska inteligencja nie słyszała o tym bezmiarze czynionego zła? Pogłoski te ich akurat omijały, do nich nie docierały, nie niepokoiły ich? Młodej artystki, ofiarnej, wrażliwej pielęgniarce, młodego literata czy poety, czy wreszcie frontowego oficera Wehrmachtu? Tak szlachetni – nie słyszeli? Należy ujrzeć we właściwym świetle owych pięcioro bohaterów i zatem także dostrzec, iż kłamrzący powrót do tego spotkania przy końcu filmu – nie jest właściwą codą. Jest to bowiem kłamrowanie powierzchowne, oparte na zewnętrznym skojarzeniu i staje się zabiegiem niebezpiecznie zakłamującym. Należało bowiem sięgnąć wcześniej, ukazać przeżycia, decyzje wcześniejsze, które doprowadziły bohaterów do tego kim byli – to znaczy, jaką mieli świadomość i w jakiej znaleźli się sytuacji w czerwcu 1941 roku, a co z kolei zaowocowało ich przeżyciami będącymi kanwą filmu. I w konsekwencji spotkaniem się trojga

okaleczonych wojną rozbitków w zrujnowanym Berlinie. To byłaby właściwa coda. W przeciwnym bowiem razie, takie jak obecnie zakończenie filmu, budzi uczucia prowadzące do niebezpiecznego sentymentu – a nie do porządkującej, oczyszczającej refleksji.

Gdybyż zło, które czyni się tym filmem było jedynie skutkiem nierozgarnięcia absolwentów niemądrych szkół filmowych – rzeklibyśmy: uczenie się ludzkie. Ale niestety nosi on znamiona produktu propagandowego, a to jego autorów określa nie jako dzieci tych ojców i matek, których sobie do roli rodziców upodobał, ale, niestety, jako dzieci fachowców z „Der Stürmerna”.

Czy wpisywaliby się w tę „tradycję”, czy zadawaliby ten ból, który zadają, gdyby patrzyli na kwestie życia naprawdę dojrzałe? Gdyby dojrzałe patrzyli na historię? Gdyby naprawdę szukali odpowiedzi? Kim zatem tak naprawdę są, czy obłudnikami, których w ukryciu cieszy myśl o niemieckim imperium Europy? To rozgrzewa ich serca?

Niemcy starają się wyjść spod ciężaru skrajnych, bestialskich, obłądnych zbrodni, i jest to skądinąd zrozumiałe, ale przerzucanie tego ciężaru na innych nie jest załatwieniem sprawy. Przeciwnie.

ZBIGNIEW SAJNÓG ■

Najważniejsze niemieckie obozy koncentracyjne i niemieckie obozy śmierci w granicach tzw. Wielkich Niemiec w latach 1941–1944



Kapłan klasycznego piękna cz.1

■ KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI



Jan Parandowski należał podobno do pisarzy szczęśliwych. Tak przynajmniej miał się wyrazić o nim Jarosław Iwaszkiewicz. Czego mogli mu zazdrościć inni pisarze? Przede wszystkim efektownego startu i tego typu kariery literackiej, która nie zna zakłóceń krocząc od dzieła do dzieła w niezmiennym uznaniu krytyki i nieustannych zachwytach czytelników.

Zaczął jak niemal wszyscy pisarze od poezji, ale miał tyle samowiedzy artystycznej już we wczesnej młodości, że nie zdobył się na wydanie tomiku wierszy, mimo pewnych sukcesów w tej dziedzinie (J. Parandowski, *Juvenilia*, Warszawa 1960, s. 15). Zadebiutował jako eseista w prasie i wydawnictwie swojego rodzinnego Lwowa. Najpierw jeden dziennik opublikował cykl jego felietonów o Zygmuncie Krasińskim w 100. rocznicę urodzin tego poety (*Moje początki literackie*, w: *Dzieła wybrane*, t. III, Warszawa 1957, s. 169nn). Następnie to samo pismo zaproponowało autorowi napisanie na 20-lecie urodzin Jana Jakuba Rousseau podobnej pracy. Ta ukazała się wkrótce w kilku odcinkach w dzienniku, a w rok później, tj. w 1913, wydało ją w osobnej broszurze lwowskie wydawnictwo Altenberga. Książeczkę tę wypada uznać za właściwy debiut pisarza. Autor miał w chwili jej pisania lat siedemnaście (ur. 1895) i był uczniem siódmej klasy gimnazjum klasycznego.

Dzielo to nosiło pełny tytuł: *Rousseau. Szkic literacko-filozoficzny*, a recenzję otrzymało znakomitą. Dość powiedzieć, iż jej autor stwierdził, że tu „postulat Bergsona, aby badanie naukowe łączyć z poetyckim polotem, już się w znacznej mierze urzeczywistnia”. Ta opinia nieznanego bliżej dziś doktora nauk okazała się proroczo trafna. Żadna formuła nie określa lepiej istoty twórczości pisarskiej Jana Parandowskiego. Ogromna wiedza o kulturze śródziemnomorskiej oraz teoretyczna i praktyczna znajomość tajników sztuki literackiej połączone w jedną organiczną całość dały dzieło w znacznym stopniu wyjątkowe w polskiej literaturze, a przypuszczać wolno, że i inne literatury – bogatsze od naszej – miałyby prawo policzyć je w poczet swoich wybitniejszych dokonań.

Tym, co go czyni w polskiej literaturze wyjątkowym, jest fakt, że był on praw-



Jan Parandowski (1895-1978) FOT. EDWARD HARTWIG/NAC

dziwym uczonym i znakomitym artystą, co na przykład w kraju Goethego czy Montaigne'a nie należało do rzadkości. Jako uczony mógłby swoją erudycją wesprzeć niejeden instytut naukowy, jako artysta słowa nie miał od czasów Sienkiewicza i Żeromskiego groźniejszych konkurentów. Śmiało można jego styl porównać do stylu Gustawa Flauberta, którego zresztą był wielbicielem i znakomitym interpretatorem (zob. J. Parandowski, *Gustaw Flaubert*, w: *Dzieła wybrane*, jw., s. 29-55). Swoją wiedzę humanistyczną Parandowski zawdzięczał zarówno znakomitemu gimnazjum klasycznemu im. Jana Długosza we Lwowie, jak i lwowskiemu Uniwersytetowi im. Jana Kazimierza. Ze szkoły średniej wyniósł dobrą znajomość greki i łaciny, języka niemieckiego, francuskiego. Ponadto prywatnie nauczył się angielskiego

i włoskiego. A podczas I wojny światowej przebywając w Rosji w charakterze jeńca cywilnego opanował także język rosyjski.

O poziomie ówczesnego Uniwersytetu Lwowskiego świadczy chociażby fakt, że tu właśnie zrodziła się polska szkoła filozoficzna znana później w świecie jako tzw. szkoła lwowsko-warszawska. Jej założycielem był uczeń Franciszka Brentano – Kazimierz Twardowski, a wychowankami m.in. tak znakomici uczeni formatu światowego jak Jan Łukasiewicz, Alfred Tarski, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Kotarbiński. Parandowski rozpoczął tutaj studia w 1913 roku w zakresie archeologii, filozofii, filologii klasycznej, historii sztuki i kontynuował je po przerwie wojennej. Już jako student opublikował szereg prac naukowych. Po uzyskaniu magisterium z archeologii i filologii klasycznej odbył podróże naukowe do Grecji i Rzymu.

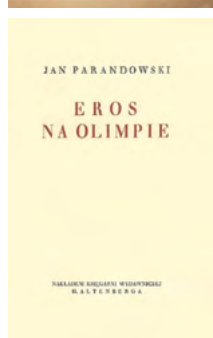
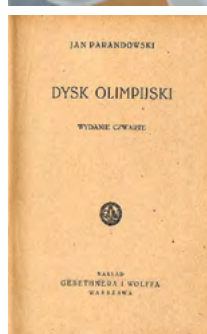
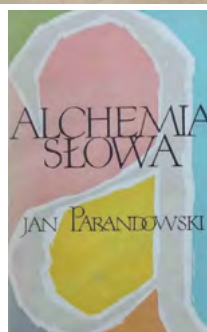
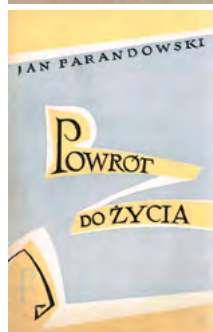
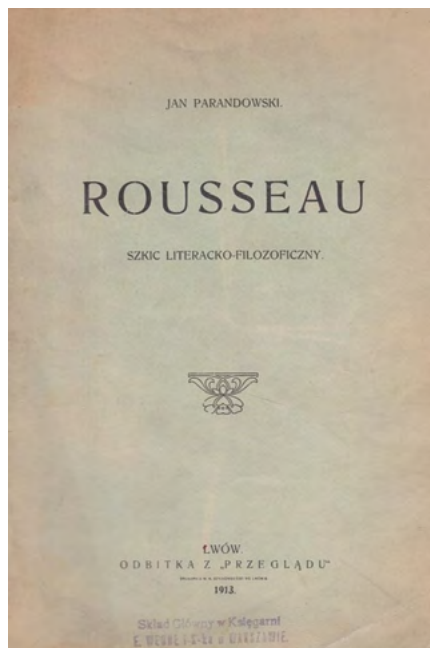
Zrezygnował z akademickiej kariery naukowej, aby poświęcić się sztuce literackiej. Namiętności badacza nigdy go wszakże nie opuściły i towarzyszyły mu zawsze, przy każdej pracy literackiej. Twórczość jego bowiem czerpie inspirację z nauk humanistycznych w większym z pewnością stopniu niż z bezpośredniego życia.

Sztuki pisarskiej uczył się od autorów starożytnych, włoskiego *quattrocenta* i od Francuzów, a więc z samych źródeł prozy europejskiej. Literaturę antyczną – grecką i łacińską – poznał całą jeszcze w czasach młodości. O znaczeniu wybitnych dzieł antyku dla kształtowania się jego stylu i postawy artystycznej tak pisał: „To niezerównana szkoła. Nigdzie, jak tu, nie poznaje się wartości ukrytych w słowie w jego aspekcie dźwiękowym, znaczeniowym i emocjonalnym. U starożytnych najmniejszy szczegół był wart rozważań i trudu” (*Moje początki...*, jw., s. 168-169).

Proza Jana Parandowskiego odznacza się tymi wszystkimi wysokimi walorami, które on dostrzegał i podziwiał u wymienionych tu swoich mistrzów. Zwłaszcza przysługują jej trzy cechy: muzyczność, jasność w wyrażaniu myśli i kreśleniu obrazów oraz dyskretna emocjonalność. Nie wiem, czy Gustaw Flaubert i Marcel Proust większą przykładali wagę do brzmienia poszczególnych słów, zdań i całych okresów, niż Parandowski. Jego zdania łączą się nieskazitelnym rytmem, który często – gdy opisujące okoliczności na to zezwalają – przybiera niemal szeroki oddech heksametru lub podobnych miar klasycznej poezji. Jest to niewątpliwym śladem dogłębnych studiów nad Homerem oraz całą literaturą antyczną, których koroną stał się przekład *Odysei* w latach pięćdziesiątych. Podobnym śladem terminowania u tego „boskiego” poety są nierzadko spotykane porównania homeryckie. Przytoczmy jedno z nich: „Jak wiatry niosą ponad morzami nasiona roślin i rzucają je w grunt dalekiej, samotnej, koralowej wyspy, tak myśl wielkiego Eratostenesa, przeniesiona przez pustkowia średnich wieków, dotarła do Krzysztofa Kolumba” (*Dzień królewski* (*Trzy znaki zodiaku*), w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 283).

Parandowski był więc uczonym i beletrystą jednocześnie. Ale przecież żadne z jego dzieł nie jest dziełem naukowym w utartym i obowiązującym tego słowa znaczeniu. Na czym więc polega to współistnienie artysty i uczonego w jego utworach?

Na to pytanie odpowiedział sam w szkicu *Praca nad „Petrarką”*. Z jego słów wynika, że pisarza od uczonego odróżnia głównie to wszystko – co składa się na sztukę li-



teracką uwytatniającą się w „jednolitej nieprzerwanej narracji” (*Praca nad „Petrarką”*, w: *Dzieła wybrane*, t. III, s. 417). Nie ma natomiast mowy o tym, że do napisania książki beletrystycznej wystarczy mniejsza wiedza, niż do napisania dzieła naukowego na ten sam temat. Pisarz ma jedynie prawo, a nawet obowiązek podyktowany względami estetycznymi, pomijać w swoim tekście cały ciąg uzasadnień, który dla uczonego jest niezbędny. Ostatecznie trzeba powiedzieć, że sprawdzianem talentu literackiego pozostaje ten moment, w którym materiał na traktat naukowy przeistacza się w czyste i lekkie w formie dzieło sztuki literackiej.

Parandowski jest mistrzem takich metamorfóz. Słusznie więc mówi o nim Zofia Starowiejska-Morstinowa, że „tak jak inni pisarze czy poeci znajdują natchnienie patrząc na wschód słońca lub światło księżyca, tak Parandowski znajduje natchnienie patrząc w stare dokumenty, wykopaliska, rękopisy i potłuczone marmury (*Poeta wielkiego spokoju*, „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 15/16).

Właśnie z tej postawy badacza wyrasta jego pierwsza w pełni dojrzała artystycznie, chociaż młodzieńcza jeszcze książka pt. *Mitologia* oraz wydany oddzielnie, jednak stanowiący jej dopełnienie – *Eros na Olimpie*. Oba utwory ukazały się w 1924 roku, ale napisane były jeszcze w okresie studiów uniwersyteckich autora. Parandowski we wspomnieniach mówi, że materiał do tych książek nosił w głowie już w szkole średniej i wiedzą w tym zakresie imponował nawet biegłym w znajomości kultury antycznej swoim profesorom (zob. *Moje początki...*, jw., s. 167-168). Liczba wydań *Mitologii* nie przestaje rosnąć do dziś i z nią to właśnie nazwisko Parandowskiego zrosło się najmocniej.

Książka ta jest literackim opracowaniem najważniejszych mitów greckich i rzymskich, tych, które na stałe weszły do literatury i kultury europejskiej. Nie wszystkie jednak wersje mitów jednako zafrapowały autora. Spośród ogromnego bogactwa ich odmian Parandowski odrzuca te – zwłaszcza dawniejszego przedhomerowego pochodzenia – które napelnione są grozą, demonizmem, krwiożerczością. Idąc śladami Homera nadaje swoim bogom kształty jasne, wyraziste i przede wszystkim ludzkie. Powiada: „Poza fantastycznością, która ich otacza, bogowie moi nie mają w sobie nic boskiego. Sądzę, że w tej mierze postępuję zgodnie z pojęciami Greków i w myśl ich doskonałego antropomorfizmu” (*Eros na Olimpie*, w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 8).

Ciąg dalszy na s. 68 ►

► Ciąg dalszy ze s. 67

Po kilkunastu latach bardziej sceptycznie już myślał o możliwościach poznania świata ludzi z innej epoki i innej kultury: „W gruncie rzeczy nikt z nas nie rozumie pogaństwa i wszystkie komentarze są złudnym pokrywaniem niewiedzy” (Roscher, w tomie: *Godzina śródziemnomorska*, w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 479-480).

Jego *Mitologia* choć zrodzona jeszcze z dość naiwnej wiary, że oddaje adekwatnie sposób myślenia Greków i Rzymian, opowiada mity nie komentując ich, ani nie interpretując. Autor jedynie pragnie tutaj, jak gdyby podzielić się z odbiorcą swoim zachwytem nad tym fantastycznym i pięknym światem. Powiada o tym wprost: „Mitologia wydaje mi się rozkosznym ogrodem, po którym trzeba chodzić stopą cichą i delikatną. Wolę radować się wonią rosnących tam kwiatów, niż za cenę oberwanych płatków poznawać tajemnicę ich budowy” (*Eros na Olimpie*, jw., s. 6).

Parandowski całkiem rozmyślnie wybiera z ogromnej gęstwinie odmian mitów antycznych głównie te, które nadają się na tworzywo pięknego literackiego świata. Przemawia nie jako obiektywny badacz ale jako pisarz z określonymi predylekcjami artystycznymi i światopoglądowymi. W *Mitologii* znalazły się głównie mity w tych wersjach, które stworzyła „pogodna fantazja Homera”. Odrzucając z nich to wszystko, co tchnie grozą, okrucieństwem, a także niezgłębioną tajemnicą, autor przypisał się tym samym do tradycyjnej Winckelmanowskiej linii wielbicieli kultury antycznej, którzy – w przeciwieństwie



Gmach Sejmu Krajowego późniejsza siedziba Uniwersytetu Lwowskiego, 1925 FOT. NAC

do Nietzschego – z wielką niechęcią dostrzegali w niej elementy i rysy tragiczne wyrosłe na ciemnych instynktach ludzkich, chętnie podkreślając jej intelektualizm, racjonalistyczny optymizm, moralizm i wreszcie aleksandryjską radość życia.

Obok *Mitologii* i zwłaszcza jej dopełnienia – *Erosa na Olimpie* – ciekawym przykładem na to, jak pióro pisarza stroni od wszystkiego, co tchnie przejmującą grozą, jest dramatyczne opracowanie podania o Medeji. Trudno o bardziej okrutną i ciemną kartę greckich opowieści o bohaterach. A jednak Parandowski poważył się wziąć na warsztat właśnie ten mit, aby go zaprezentować w łagodniejszej niż w oryginale formie. Wygląda, jak gdyby autor dramatu chciał powiedzieć widzom, że tamten prastary mit jest zbyt okrutny, aby był prawdziwym. W wersji Parandowskiego bohaterka nie zabija własnych dzieci, jej wielka namiętność i gniew wyładowuje się tylko na rywalce. Potem z synami ulatuje

na czarodziejskim rydwanie z Koryntu do Aten. Ta oraz inne poprawki wniesione do fabuły podania pozwoliły go ująć w sposób racjonalistyczny, podobnie jak uczynił to J. Giraudoux (np. w swojej *Elektrze*).

W 1933 roku ukazało się pierwsze wydanie *Dysku olimpijskiego* – powieści z dziejów sportu w starożytnej Grecji. Tematem jej są wydarzenia, jakie rozegrały się w Olimpii podczas 76 olimpiady w 476 p.n.Chr. W dziele tym uderza wątpliwość fabuły i wątku romansowego – zwłaszcza w części pierwszej – są za to kunsztowne opisy miejsc, przedmiotów i czynności związanych z przygotowaniem do zawodów olimpijskich. Słuszniej może byłoby nazwać tę książkę esejem powieściowym. Jest ona pierwszym dziełem w światowej literaturze traktującym tak szeroko o sporcie greckim. Oparta na gruntownych studiach historycznych i archeologicznych może stanowić nie tylko źródło wzruszeń estetycznych, ale także źródło wiedzy na



W towarzystwie polskich literatów; Jan Parandowski w 2 rzędzie, 4 od prawej, obok Tadeusz Boy-Żeleński, przed 1939 FOT. „FOTO-PRASA” WARSZAWA / POLONA.PL

temat, o którym mówi. Nie był to temat należycie wyczerpany nawet przez uznanych znawców antyku, choć wiadomo jak wielką rolę w życiu kulturalnym i politycznym odgrywał w Grecji sport.

Książka Parandowskiego jest hymnem pochwalnym na cześć piękna ludzkiego ciała – ideału swoiście greckiego. Pod tym względem jest ona wyrazem światowego przeciwstawienia się tym tendencjom i postawom w literaturze XX wieku, które eksponują słabość, chorobę, neurotyzm bohaterów. Klasyczny przykład takich utworów w 1. połowie XX wieku to *Czarodziejska Góra* Tomasza Manna. Parandowskiemu tworzącemu *Dysk olimpijski* chodziło m.in. o napisanie takiego dzieła, które można by określić jako „sportowa Czarodziejska góra”. *Dysk* jest także wyrazem idei pokoju i braterstwa, którą olimpiady symbolizowały. Mowa o tym zwłaszcza w pierwszych rozdziałach o wymownych pod tym względem tytułach: *Pokój boży*, *Kraj wieczystego sojuszu*. Wreszcie znajdziemy w nim to, czego czasy nam współczesne zupełnie ze sportem i olimpiadami nie kojarzą: posmak boskości i powiew *sacrum*, które towarzyszyły Grekom w przeżyciach sportowych.

Ale znalazł się tam także problem bliski współczesnym – rywalizacja dwóch postaw, dwóch koncepcji uprawiania sportu: profesjonalnego, pragmatycznego dążenia do zwycięstwa oraz humanistycznego rozumienia sportu jako elementu szerszej kulturowej całości dopełniającego ideał helleńskiej *καλοκαγαθία*. Zwycięstwo profesjonalisty Ikkosa jest jakby zapowiedzią dzisiejszej koncepcji sportu jako prostej rywalizacji mięśni i bezdusznej pogoni za rekordami. Książka ta uświadamia nam gorzką prawdę, iż z greckich wzorów wzięliśmy najgorszy – i w ten sposób staje się głosem w dialogu prowadzonym między naszą epoką a przeszłością na temat wartości i na temat kształtu kultury.

Dysk olimpijski został wysoko oceniony przez fachowców, krytyków literackich, a nawet samych sportowców, którzy podziwiają w nim doskonałą znajomość trudu oraz sztuki i rzemiosła sportowego. Juliusz Kleiner, wybitny literaturoznawca, uzasadniając kandydaturę Jana Parandowskiego do Nagrody Nobla wskazał na tę właśnie książkę jako najważniejsze osiągnięcie literackie pisarza. Pisał: „*Dysk olimpijski* jest prawdziwym dziełem sztuki o cechach trwałości i jest ważnym czynem kulturalnym, tym ważniejszym dla czasów, które bronić muszą skarbów kultury po straszliwym zniszczeniu” (cytuje za: W. Studencki, *Alchemik słowa*, Opole 1972, cz. I, s. 32; Juliusz Kleiner podał i uzasadnił



FOT. MAC

kandydaturę Jana Parandowskiego do Nagrody Nobla 17 października 1945 r. dla Polskiej Akademii Umiejętności).

Były to słowa wypowiedziane w 1945 roku. Wcześniej, w 1936 roku, *Dysk* został zgłoszony do olimpijskiego konkursu. Sądzić można, że jedynie silne nastroje antypolskie wśród organizatorów olimpiady berlińskiej spowodowały, iż tej szczególnie wartościowej książce przypadł w udziale tylko brązowy medal. Faktycznie była to I nagroda, gdyż wyższych nie przyznano.

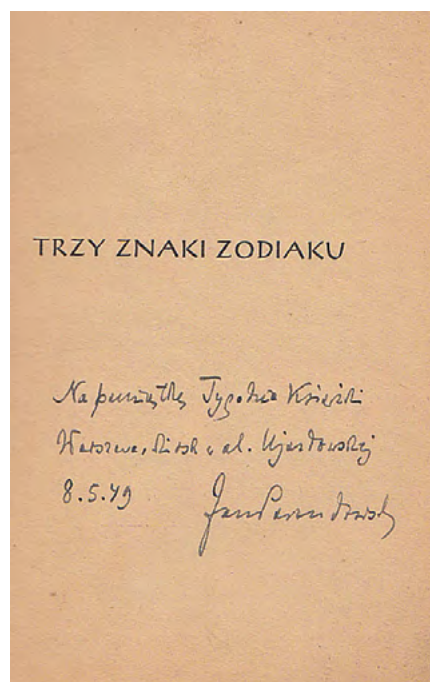
Z tematyką antyczną ściśle związany jest także zbiór esejów-reportaży *Dwie wiosny* (1927). Jest to plon naukowych podróży autora do Grecji oraz na Sycylię i Capri, które odbył w 1925 i 1926 roku. Trudno inaczej określić gatunkowy charakter tego

zbioru niż używając dwóch pojęć: esej i reportaż. Partie reportażowe są tu jednakże drugorzędne i pełnią raczej funkcję wprowadzenia oraz przygotowania uwagi i myśli czytelnika do refleksji nad kulturą w ogóle, a nad kulturą antyczną w szczególności. Mamy przed sobą nie tylko rezultat długich i przemyślanych wojaży autora, lecz może przede wszystkim zapis wielkiego przeżycia piękna sztuki antycznej i czasu historycznego. Cień liryzmu kładzie się na karty tej książki i w lirycznej perspektywie załamuje się majestatyczny gmach Grecji minionej. Raz po raz natrafiamy na fragmenty tekstu, które brzmią jak ekstatyczne poematy. Trudno tu przejść obojętnie nad każdym niemal zdaniem. Nad niektórymi wypada się zatrzymać dłużej dla ich wyjątkowego kunsztu. Zdarzają się jednak i takie, które wydają się nadmiernie nasycone poetyckim żarem, tak jakby pobrzmiewały modernistycznym stylem z przełomu XIX i XX wieku.

Dwie wiosny zdradzają ponad wszelką wątpliwość nieomyłne znanstwo sztuki antycznej i to w przekroju wszystkich jej epok. Wiedza autora sięga tutaj aż do szczegółów. Ale nie tylko wiedza – także wykształcony smak artystyczny daje się odczuć z kart tej książki. Wszystkie opisy dzieł plastycznych i architektury noszą wszelkie znamiona wtajemniczenia w te dziedziny ludzkiej twórczości i nie są jedynie pięknymi literackimi impresjami.

Cały tom przenika refleksją nad czasem i człowiekiem. Uwaga narratora zdaje się być zawieszona między czasem przeszłym a teraźniejszym i z tej perspektywy pozwala mu prowadzić nieustanny dialog z historią, która stanowi jeden z wymiarów egzystencji człowieka współczesnego. Jest to obok *Mojego Rzymu* najbardziej osobista z książek Parandowskiego dotycząca przeszłości.

Trzy znaki Zodiaku w odróżnieniu od *Dwóch wiosen* wyraźnie zdradzają zamiysł popularyzatorski podobnie jak zbiór szkiców pt. *Z antycznego świata* oraz *Wojna Trojańska* będąca w istocie parafrazą i jakby streszczeniem obu poematów Homera. Książka przeznaczona jest dla tych, którzy lubią w zadumie pochylać się nad dziejami ludzkości, nad wieczną przemianą świata i nad jego trwaniem w czasie. W *Przedmowie* autor pisał: „Opowiadania zebrane w tym tomie ogarniają czas dwóch okresów gwiazdnych – Barana i Ryb – trzeci zaś znak Zodiaku, wymieniony w tytule, jest tym, w który wchodzi wiek dwudziesty. Nazywają go Wodnikiem” (*Trzy znaki zodiaku*, w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 238).



Ciąg dalszy na s. 70 ►

► Ciąg dalszy ze s. 69

Zatem bez mała cztery tysiące lat historii Europy obejmuje tutaj swoim piórem Jan Parandowski. Pierwsze opowiadanie dotyczy Egei, ostatnie zaś spotkania z papieżem w Watykanie w naszych już czasach. Co znajduje się w środku? Opowiadanie o pierwszym zanotowanym w kronikach greckich zwycięzcy olimpijskim, o weselu greckim, o królu Ptolemeuszu i mądrym Eratostenesie, o Cyceronie, Horacym, o starożytnych kamieniolomach, o Rzymie zrujnowanym u progu ery nowożytnej, o ostatnich chwilach Konstantynopola, a także o Dancie, Klemensie Janickim – synu polskiego chłopca, który jako pierwszy słowiański poeta zdobył poetycki laur we Włoszech w epoce renesansu i zasłynął swoją łaciną w całej ówczesnej Europie. Znajdują się tu jeszcze opowiadania o Koperniku, Kochanowskim, Galileuszu, Szekspirze, francuskich encyklopedystach oraz o kilku momentach z historii polskiej. Łącznie dwadzieścia sześć krótkich opowiadań ujmujących jeden dzień, a nawet niekiedy jakby jedną chwilę z życia tych postaci. Opowiadając niepozorne i w jakimś sensie także przeciw fikcyjne wydarzenia, Parandowski niepostrzeżenie wprowadza czytelnika w szeroką panoramę historii. Za każdym z tych opowiadań tak niewinnych z pozoru, kryje się wiedza zdobyta latami żmudnej pracy i fenomenalną pamięcią, której starczyłoby nie na kilka stron, lecz na cały tom.

W książce tej autor pokazuje się jako mistrz krótkiej formy z pogranicza noweli i eseju umiejący kilkoma niejako pociągnięciami pióra wydobyć z pyłu archeologii i archiwów historii żywe obrazy. Umie tchnąć tętno życia i autentyzmu w postaci i idee, których istnienie dotąd zamykało



się w granicach abstrakcji. *Trzy znaki Zodiaku* zmierzając poprzez wieki historii pokazują, co było w niej najcenniejszego i najtrwalszego. Jednocześnie wskazują na drugi aspekt dziejów – na przemijanie największych potęg tego świata i tych sił, które je kształtują. Historia jest tu dramatem wypełnionym odwieczną walką dobra i zła, światła i ciemności, rozumu i dzikich mrocznych namiętności.

Jest w niej zarówno pycha władców jak i pokora prawdziwych mędrców. Jakże pouczający jest w tym przykład Ptolemeusza III – władcy ogromnego imperium

hellenistycznego, który zadufany w swej monarszej wielkości współczuje mądrymu Eratostenesowi jego losu poety i uczonego: „Urodziliśmy się pod tymi samymi gwiazdami, ja na króla, on na pisarza. Ja wykuwam wiecznotrwałą historię, a on zamyka swą sławę w cienkich kruchych kartach, które zawsze w końcu okryje pleśń i zapomnienie” (Tamże, s. 281-282).

Po Eratostenesie pozostała myśl – prawda, że dość przypadkowo ocalała – iż ziemia jest kulista. Podjął ją Krzysztof Kolumb i uczynił jakże płodną dla dziejów cywilizacji europejskiej. Korzystamy do dziś z niej wszyscy, choć dawno już umarło królestwo Ptolemeuszów i pamięć po jego trzecim z kolei władcy.

Cóż zatem jest wieczne w historii? Myśl głęboka i prawdziwie piękna. To, co zrodzone z miłości do świata i człowieka. Nietrwale zaś to wszystko, co tym wartościom się sprzeciwia, a wyrasta z pychy, samouwielbienia człowieka i przyjmuje kształt materialnej potęgi. „Łatwiej wygrać sto wojen niż stworzyć takie książki, jakimi Grecja napelniła świat od Homera do naszych czasów” – powiada spacerując po ulicach Aten młody Horacy Pompejuszowi – potomkowi sławnego rycerskiego rodu. „Legiony rzymskie mogły zdeptać kraj grecki, ale nie tkną jego duszy nieśmiertelnej – jego mądrości i poezji” (Tamże, s. 303).

Parandowski, jak rzadko który ze współczesnych pisarzy, nie przemijanie opiewa, lecz wieczne trwanie mimo wszelkie

TEATR MIEJSKI W LUBLINIE

W niedzielę 13 stycznia 1946 r., o godz. 12 w połudn.

PORANEK DIALOGÓW
JANA PARANDOWSKIEGO

Część I
Godzina śródziemnomorska
Joseph Caesar — JOZEF KLEJER
Pepul — ZYGMUNT CHMIELLEWSKI

Część II
Rozmowa z cieniem
Petr — LEOŃ LUSZCZEWSKI
Horacy — MARIUSZ CHMIELLEWSKI

Część III
Spotkanie wśród gwiazd
Caesar — JERZY FICHLEWSKI
Caesar — JOZEF KONDRAT

JAN PARANDOWSKI poprzedzi każdą część introdukcją

Ceny biletów od 5-60 zł. do nabycia w kasie Teatru.

przeciwności losu, mimo tragiczne pomyłki i ciągle powroty barbarzyństwa. Wszędzie w gęstwinach czasu historii tropić będzie „człowieka wiecznego” i odnajdywać tam, gdzie z pozoru najmniej się można go było spodziewać. Z upodobaniem będzie zatem opowiadał, jak ocalałe malowidła na ścianach odkopanych domów Egei pokazują kobiety ubrane w stroje żywo przypominające modę żeńską XIX wieku. Okrzyk zdumienia wyrywa mu się pod wpływem przeżyć doznanych w grocie Lascaux, gdzie było mu dane oglądać arcydzieła sztuki paleolitycznej: „Jakież to wstrząsające to braterstwo ducha, dla którego setki wieków nic nie znaczą! W każdej kresce [...], w każdej plamie barwnej [...] rozpozna siebie dzisiejszy artysta [...]. Grota w Lascaux otwiera się jak okno na długie dzieje, w których narasta nieprzebrany tłum ludzi i tłoczy się w okrutnym zgiełku historii, ale z tej perspektywy patrząc ma się wrażenie, jak gdyby to był jeden człowiek zwielokrotniony w zaczarowanym zwierciadle, wciąż ten sam w swej istocie, w swych popędach i dążeniach” (*Lascaux*, w: *Tamże*, s. 490-491).

W historii, zdaje się mówić Parandowski, wprawdzie wszystko przemija jak w rzece Heraklita, ale sama rzeka przecież trwa mimo najszybszego nurtu. Podobnie z człowiekiem – każda jednostka

jest śmiertelna, lecz człowiek jako taki jest wieczny. Jest on tą istotą, która tkwi w każdej jednostce niezależnie od czasu, miejsca i rasy; która wiecznie wciela się w każdego z nas włączając nas tym samym do tej wielkiej wspólnoty, jaką jest ludzkość. Historia jest piękną pieśnią – mówi św. Augustyn. Parandowski chętnie ją tymi słowami określa.

Jakiś olimpijski spokój przenika jego dzieła, spokój zrodzony z przekonania o wielkości człowieka i z przeświadczenia, że można zniszczyć jedynie jego fizyczną stronę, ale nie myśl, ani zwłaszcza „przyrodzony instynkt tworzenia czegoś, co wykracza poza chwilę bieżącą, poza samo życie dwunożnej istoty” (*Trzy znaki zodiaku*, w: *Dzieła wybrane*, jw., t. II, s. 490).

Dwie siły odwieczne – zdaje się mówić Parandowski – powodują dziejami człowieka: siła tworzenia i siła niszczenia, które symbolizują biblijny Abel i Kain. Pyta retorycznie Parandowski: „Kiedyż nareszcie ta zła droga szeźnie bez śladu i człowiek w radosnym ukochaniu nieść będzie w sercu przymierze, nieprzerwanie marzone przez poetów, mędrców i świętych?” (*Tamże*, s. 491).

Szkic pt. *Lascaux*, z którego zaczerpnęliśmy ostatnie cytaty, pochodzi z książki *Godzina śródziemnomorska* (1949). Poszczególne jej rozdziały mają formę

opowiadania, eseju, dialogu, wspomnienia – trudno zresztą dokładnie określić ich charakter gatunkowy, są to bowiem typowe dla tego pisarza utwory z pogranicza. Nowym akcentem w tym zbiorze jest nuta dyskretniej melancholii, która ma teraz całkiem zrozumiałe źródło – są nim doświadczenia ostatniej wojny. Książka ta składa się głównie z utworów pisanych w czasie okupacji oraz tuż po wojnie. Tylko niektóre zostały napisane jeszcze przed wojną.

Autor nie znalazł dla nich lepszego tytułu niż właśnie *Godzina śródziemnomorska*, bowiem wszystkie one, choć pisane w różnych latach, w istocie należą jakoś do tego jednego momentu kulturowego, którego sens właśnie oddaje najlepiej ten tytuł. Posiadają wspólny ton – ton wiary i nadziei. Wiary w system wartości kultury śródziemnomorskiej i nadziei na jej wiecznotrwałość, mimo burz dziejowych, mimo okresowych powrotów barbarzyństwa. Była więc ta książka w pewnym sensie pisana na przekór wojnie, tak jakby autor chciał przypomnieć znękaną, upodloną i zwaśnioną ludzkość o jej wspólnych korzeniach, o wartościach humanistycznych, o których zapomniiała tragicznie lub straciła nadzieję na ich odzyskanie.

CDN.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI ■

Grupa literatów w kawiarni; od prawej: Jan Parandowski, Ferdynand Goetel, kpt. Mieczysław Lepecki, hr. Tarnowski, Sochowski, Janina Kónarska, Antoni Slonimski; 1933 FOT. NAC



Wszystko zaczęło się w Warszawie

CZ. 3

Widok z punkowca przy ul. Świętokrzyskiej 35, 1967 FOT: FOTOPOLSKA.EU

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



Ktoś nazwał kiedyś tancerzy motylami. To piękne określenie. Motylom się śpieszy, są zawsze w swym motylim pędzie, zwiewne jak istoty z innego świata, czujące rychły kres swego istnienia. Ciężko pracują na to, aby wyróżnić się spośród innych stworzeń swego gatunku. Tajemnicą zaś motyli-ludzi, zasilających szeregi baletu, jest

katorżnicza dyscyplina, której muszą przestrzegać, aby uczynić ze swoich ciał posłuszny instrument tańca.

Mawia się, że na żywot tancerza i jego los składa się 80 procent pracy, 15 procent talentu i 5 procent szczęścia. Jakże ulotna to kariera, i jak drogo wypada za nią zapłacić!

Tancerz musi przysposabiać się do zawodu już od wieku dziecięcego. Czas szkolnego wylegania jest chyba najszcześniejszym, beztroskim okresem życia baletowych motyli. A może tylko tak się wydaje? Przecież już tu, w szkole, rozpoczyna się bezlitosna

selekcja, podział na lepszych i gorszych, na potencjalne gwiazdy i beztalencja. Ileż kompleksów rodzi się już wtedy w młodziutkich główkach motyli? Jakim ciężarem musi być dla nich świadomość bezustannej konkurencji, ciągłej walki o pierwszeństwo? Już wtedy, w tych pierwszych szkolnych przedbiegach do sławy, wygrywają nie tylko ładniejsi i zdolniejsi, ale ci, których natura obdarzyła większą psychiczną odpornością. Tacy tylko właśnie idą do przodu, którzy potrafią zwyciężać słabości.

Nadchodzi wreszcie moment, kiedy garstka najlepszych opuszcza szkołę i dostaje się do operowego *corps de ballet*. Zdawałoby się, że jest to ziszczenie się snu o szczęściu. Ale w rzeczywistości los początkujących motyli nie jest godny pozazdroszczenia. Niemal cały dzień spędzają na żmudnych, wyczerpujących ćwiczeniach i próbach, które pod względem zużycia kalorii porównać można jedynie do intensywnych treningów mistrzów sportu wyczynowego. Niestety, owe motyle znacznie gorzej zarabiają od gwiazd futbolu czy tenisa i ledwo wiążą koniec z końcem.

Życie zawodowe tancerzy trwa bardzo krótko, nie więcej niż dwadzieścia lat. Są jeszcze młodzi i pełni sił, kiedy ich gwiazda poczyną już gasnąć. Niektórzy próbują szczęścia w choreografii czy pedagogice. Lecz wiemy, że jak nie każdy muzyk może być kompozytorem i nie każdy aktor dramaturgiem lub reżyserem, tak też rzadko który tancerz znajduje swą szansę na niwie choreografii, o pedagogice nawet nie wspominając. Czyż może chirurg, który



W *Trójkątym kapeluszu* jako Młynarka z Ryszardem Krawuckim (Młynarz), 1962

FOT. ARCHIWUM BOŻENY KOCIOŁKOWSKIEJ



Panna Julia
– Panna Julia, 1975

FOT. ARCHIWUM BOŻENY KOCIOŁKOWSKIEJ

nigdy nie operował, uczyć, jak należy operować? To niemożliwe! Niestety, w Polsce, w balecie, nawet i to się zdarza.

Przydatność aktora dramatycznego w teatrze wykracza poza granice młodości, zmienia się jedynie jego *emploi*. Grać można dalej, dopóki pozwolą warunki zdrowotne. W balecie zapotrzebowanie na starszych tancerzy charakterystycznych jest znikome i wiąże się z nieuchronną utratą pozycji w zespole. W historii baletu jedynie genialny choreograf Jiří Kylian potrafił zagospodarować doświadczenie tancerzy, którzy przekroczyli 40. rok życia, tworząc dla tej grupy, często wybitnych, artystów specjalne zadania baletowe.

Świadomość krótkiej bytności w zawodzie sprawia, że motyle liczą nie lata, ale

dni. Mają poczucie upływu czasu, przeciekającego przez palce; są spragnione sceny, ustawicznego sprawdzania się, potrzebują mnogości solówek i ról oraz jak największej puli sukcesów. Tylko w ten sposób mogą awansować z *corps de ballet* na koryfeusza, a potem na solistę. Aż wreszcie dochodzą do szczytu, stając się pierwszym solistą baletu. Ale ten ostatni, najwyższy szczebel jest dostępny tylko dla nielicznych, naprawdę wybranych wśród tysięcy.

Los tancerza uzależniony jest wyłącznie od kierownika czy dyrektora baletu, szefa, który wyznacza obsady i w którego gestii pozostają awanse. Nie ma chyba żadnego innego zawodu na świecie, w którym kariera człowieka byłaby w tak bezwzględny sposób podporządkowana władzy i kaprysom jednostki. A owe jednostki bywały różne i nie zawsze przygotowane do pełnienia tak odpowiedzialnej roli, jaką jest decydowanie o losie innych artystów.

Toteż motyle zabiegają o przychyłność swoich szefów wszelkimi możliwymi sposobami: czytają ich życzenia z każdego spojrzenia, kłaniają się i łaszą, schlebiają i czarują, używając wszystkich swych uroków, wdzięków, tudzież elokwencji... Tu bowiem rzecz idzie o szansę wydostania się z tłumy, o sukces, o wspaniałe życie solisty, gwiazdy baletu. Nikogo nie obchodzi, że taka sytuacja jest okrutnie dwuznaczna moralnie, etycznie i społecznie.

Muza moja powiedziała: „Miałaś wyjątkowe szczęście, gdyż przyjechał z zagranicy choreograf, którego w ogóle nie znałaś. Spośród tylu tancerek, które zobaczył, wybrał właśnie ciebie. I to do roli nad rolami – Odetty-Odylii w *Jeziorze łabędzim* – balecie Piotra Czajkowskiego z 1895

roku. Uczynił to na podstawie li tylko twoich umiejętności, bez ulegania zakulisowym gierkom i zabiegom. Ta sprawiedliwość losu dawała znać jeszcze kilka razy o sobie w twojej karierze artystycznej, i to mimo artykułowanych przez kierownictwo baletu sugestii co do obsadzenia ciebie w tych najbardziej pożądanых rolach. Nie musiałaś zabiegać o takie względy, gdyż twoja praca została oceniona przez ludzi z zewnątrz. Oto mianownik całej twojej kariery!”

Tak, to była wyjątkowo jasna sytuacja, rzadko bowiem się zdarzało być docenioną przez ludzi spoza jakiegokolwiek układu sił. Moje problemy zaczęły się wiele lat później, kiedy kierownictwo wykorzystало argument upływu czasu. Ale i w tym okresie pracujący w Polsce gościnnie zagraniczny choreograf obsadził mnie dwukrotnie w głównej roli, dając prztyczka w nos wszystkim tym, którzy szukali byle pretekstu, by mi zaszkodzić i mnie zniszczyć. A były to wspaniałe role: Panna Julia i Fedra. Osiągnęłam dzięki nim satysfakcję największą, gdyż nadarzyły się one po wielu już moich latach pracy w teatrze.

Muza: „Te właśnie twoje kreacje artystyczne wspaniale opisała ówczesna prasa. Dwie wielkie artystki XX wieku, Barbara Bittnerówna i Olga Sawicka, w swoich książkach również świetnie opisały takie zależności personalne”.

Krótkie i trudne jest życie motyli. Nie każdy o tym wie. Ale wciąż pojawiają się kolejne pokolenia, pędząc ku wyimaginowanemu światłu sztuki tańca jak ćmy ku płonącej świecy.

Bo zaiste taniec to wielka magia!
CDN.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



Bożena Kociolkowska (Fedra)
z Serge'em Lifarem

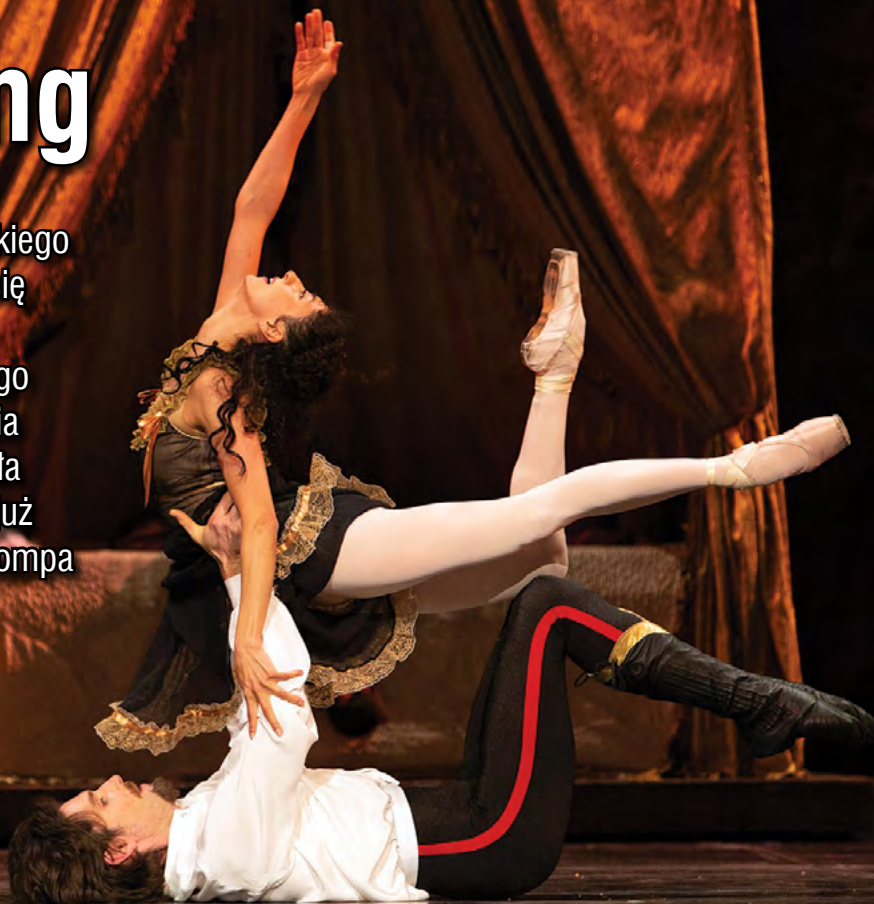
FOT. ARCHIWUM BOŻENY KOCIOŁKOWSKIEJ



...i Waldemarem
Wolk-Karaczewskim
– Fedra, 1978

Mayerling

Austria, to forteca europejskiego konserwatyzmu chwająca się po dziś dzień stylem życia i manierami rodem z zeszłego stulecia. Wprawdzie dynastia Habsburgów, która panowała w Austrii 640 lat nie włada już państwem, ale królewska pompa i etykieta wciąż wzbudzają podziw i szacunek.



FOT. © EWA KRASUCKA / TWON

Gdzie indziej konie traktowane są z taką kurtuazją i cieszą się takimi „przywilejami” jak lipicany w Hofburgu? Gdzie jeszcze zachował się sezon balów wydawanych w przepysznie udekorowanych salach, w których orkiestra gra XIX-wieczne walce? Gdzie wciąż żywa jest historia tragicznej śmierci arcyksięcia Rudolfa Habsburga-Lotaryńskiego (1858-1889) i baronówny Marii von Vetsera (1871-1889), zwanej przez rodzinę Mary...

Parę tę odnaleziono martwą w należącym do Rudolfa domku myśliwskim Mayerling – kochankowie popełnili prawdopodobnie samobójstwo. Cała historia stała się punktem wyjścia spekulacji o domniemanym

zabójstwie następcy tronu Austro-Węgier, tym bardziej, że dwór starał się całą sprawę zatuszować.

Ta pikantna historia stała się ulubionym tematem filmowców, by wymienić choćby *Mayerling* (1968) Terence'a Younga z Omarem Sharifem i Catherine Deneuve w rolach głównych, oraz dziennikarzy i pisarzy, którzy próbowali wyjaśnić los tragicznej pary.

Również balet, który na przestrzeni dziejów zawsze poszukiwał nowych inspiracji nie tylko ruchowych, ale i tematycznych. Fascynacja życiem wielu wybitnych osobowości z poezji romantycznej, wielkiej literatury dramatycznej po epizody z bardziej współczesnej historii lub manifesty polityczne (np.

balet *Zielony stół* w chor. Kurta Jossa), stała się drogą do powstania libretta.

Balet *Mayerling* powstał w 2. połowie XX wieku. Jego prapremiera miała miejsce 14 marca 1978 roku w Royal Opera House (The Royal Ballet) w Londynie. Niedawno (4 czerwca 2021), oddalana przez pandemię, odbyła się polska premiera w choreografii Kennetha MacMillana w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Angielski choreograf pokusił się o zaprezentowanie swojej wersji o życiu i śmierci arcyksięcia Rudolfa. Czy mu się powiodło, mogą to sami widzowie ocenić oglądając balet w sezonie 2021/2022 Polskiego Baletu Narodowego.



FOT. © EWA KRASUCKA / TWON



Kenneth MacMillan opierając się na technice tańca klasycznego poszukiwał też nowych form cielesności, które kojarzymy raczej z tańcem współczesnym. To tradycjonalista, który nie stronił od eksperymentu, widać że nie tylko ważna była dla niego choreografia, ale również reżyseria, stąd wszystkie postacie są ważne i zauważone przez widza. W choreografii, zaprezentowanej na warszawskiej scenie, widać było angielską estetykę ruchu, ciekawe łączenie *pas* i *póz* tanecznych różniących się od estetyki baletu rosyjskiego.

Balet został przekazany za pośrednictwem zapisu Benesha przez asystenta choreografa – Karla Burnetta i Wayne Eaglinga. Zapis ten, tak jak partytura muzyczna, ma tylko określone, „chłodne” znaki – ożywa wyłącznie wtedy, gdy wykonują ją artyści, albowiem dopiero na scenie podlega osobistej interpretacji. Szkoda, że tego zapisu choreograficznego nie używa się w Polsce.

Aby opowiedzieć o tej tragedii, choreograf sięgnął do muzyki węgierskiego kompozytora romantyzmu Ferenc Liszta.

Muzyka znakomicie towarzyszyła rozwijającemu się na scenie dramatowi i stworzyła właściwy kontekst dla opowieści rozwijającej się akcji. Scenografia i kostiumy, opracowane przez greckiego scenografa Nicholasa Georgiadisa, stylowo i oszczędnie podkreśliły klimat baletu. No i wreszcie choreografia baletu, została dopełniona wspaniałym wykonawstwem solistów i zespołu Polskiego Baletu Narodowego na czele z Yuką Ebiharą i Patrikiem Walczakiem. Orkiestrą wybornie dyrygował Patrick Fournillier.

Choć balet powstał w 1978, to współcześnie nadaje tej pracy radykalną i niepokojącą wymowę. Pokazuje tragedię człowieka, który nie pasuje do roli jakiej oczekuje od niego społeczeństwo.

BOŻENA KOCIÓŁKOWSKA ■

„Baletnica” przedmiotem rozważań



ANNA MENDAKIEWICZ

Odkąd pamiętam wpajano nam, że w świecie profesjonalistów absolutnie nie powinno się używać słowa „baletnica”. Jest to obraźliwe i godzące we wrażliwe dusze artystów baletowych sformułowanie, które należy usunąć z powszechnego użycia.

Pomimo usilnych starań pedagogów w szkołach baletowych, to słowo nadal używane jest w mowie potocznej oraz widnieje w słownikach określając: „tancerkę występującą w balecie” (zob. *Słownik języka polskiego PWN*). Czy my – tancerze baletowi możemy coś z tym zrobić?

Przed wszystkim należy przeanalizować i zastanowić się skąd wzięło się to pejoratywne określenie, dlaczego ma tak negatywny wydźwięk i czym biedni artyści sobie na to zasłużyli. Kto lub co przyczyniło się do tych niechlubnych skojarzeń? Czy słusznie tancerki się oburzają słysząc, że ktoś nazywa je „baletnicami” i skoro już istnieje rodzaj żeński, dlaczego nie ma formy męskiej tego słowa? Jak mogłaby ona brzmieć? Czy „baleciarze” bądź „baletony” są wystarczająco dojmujące?

Mam wrażenie, że znalazł się winowajca... Może nim być przysłowie: „Złej baletnicy przeszkadza rąbek u spódnicy”, które oznacza: „osobę pozbawioną odpowiednich umiejętności doszukującą się przyczyn swoich niepowodzeń w drobnych, nieistotnych okolicznościach” (zob. *Wielki słownik języka polskiego PAN*). W przysłowiu o tym samym znaczeniu w języku angielskim – „*A bad workman blames his tools*” – nie ma żadnej baletnicy. Być może konsensusem naszego problemu jest angielskie słowo „*ballerina*”, które oznacza tancerkę baletową.

„Balerina” brzmi wzniosłe, jeśli chodzi o płęć piękną tańczącą w balecie. Jednak to określenie mogłoby niekorzystnie wpłynąć na już bardzo mały procent tańczących mężczyzn. No, bo czy „baleron” nie jest jedyną opcją, jeśli chodzi o stworzenie rodzaju męskiego słowa „balerina”? Myślę, że dobrym rozwiązaniem dla osób specjalnie niezmierzających do celowego obrażania tancerzy, jest używanie nazewnictwa: tancerka, tancerz baletowy. ■



Pora gniewu

W roku 2021, obchodzonym między innymi jako Rok Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Polskie Radio RDC postanowiło sięgnąć po zapomniany jego utwór i po raz pierwszy zaprezentować w formie słuchowiska. Radiową premierę zaplanowano z okazji 77. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, pięć minut po pamiętnej godzinie „W”; powtórzenie zaś 4 sierpnia, w rocznicę bohaterkiej śmierci Krzysztofa K. Baczyńskiego.

Rękopis tego utworu dramatycznego, przechowywany w zbiorach Biblioteki Narodowej, po raz pierwszy ujrzał światło dzienne 60 lat temu, kiedy Wydawnictwo Literackie zawarło go w *Utworach zebranych* (Kraków 1961). Przez następne dziesięciolecia dzieło było mało zauważalne, choć w dorobku poety istotne ze względu na podjęcie nowej formy, a także moralne credo artysty, które można wyczytać z kart rękopisu.

Rękopis składa się z niespełna 22, jednostronnie zapisanych kart. Utwór nie jest dokończony i posiada formę otwartą; był tworzony poczynając od 1942 roku. Tekst zawiera liczne skreślenia i korekty, które dają wgląd w proces twórczy.

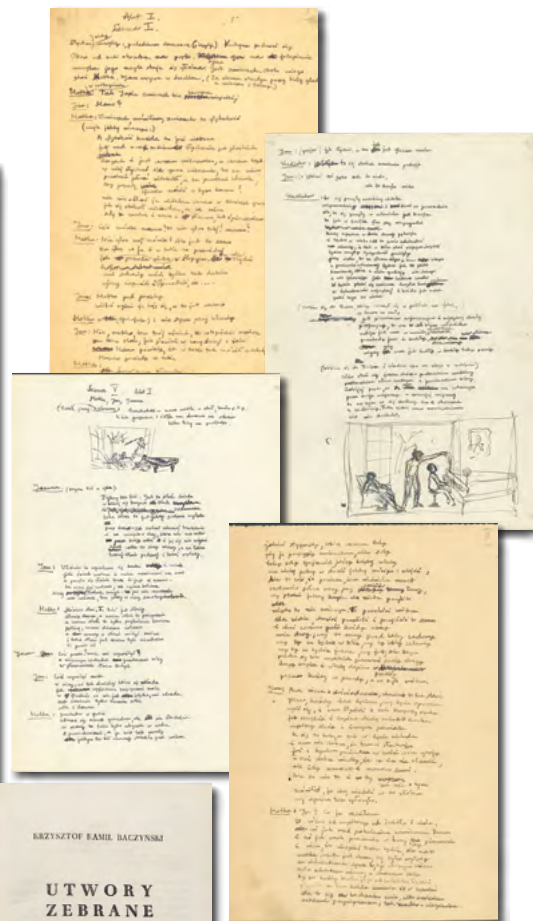
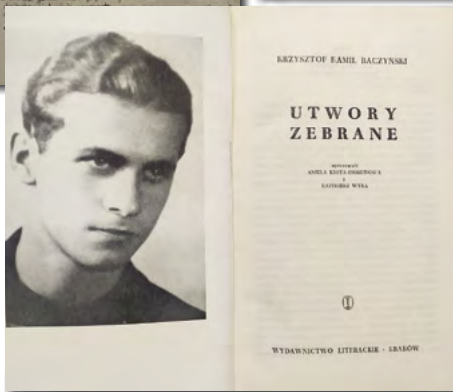
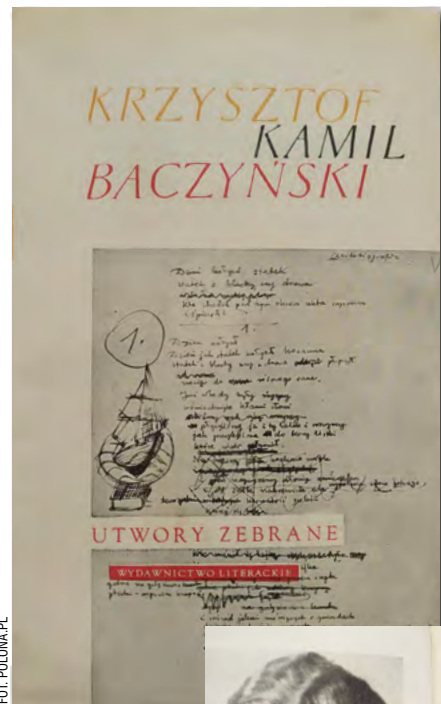
– Elementy warsztatu poetyckiego, takie jak dbałość o instrumentację zgłoskową i rytm wiersza, często modyfikowane przez poetę w trakcie pracy nad dramatem, są cennym zapisem, na podstawie którego możemy także obserwować kolejne warianty proponowanych przez niego rozwiązań lirycznych. Jest to tym ciekawsze, że znaczna część utworów i liryki Baczyńskiego, jaka zachowała się do naszych czasów, odznaczała się wielką dbałością typograficzną i estetycznym perfekcjonizmem: są to od początku do końca zaplanowane dzieła totalne, w których dopracowany został każdy szczegół zarówno w warstwie językowej, jak i graficznej. W tekście dramatu zaś widać kulisy tej pracy oraz to, w jaki sposób poeta dochodził do swojej kunsztownej formy – podkreślają znawcy tematu z Biblioteki Narodowej.

Zasadniczym wątkiem dramatu jest zderzenie dwóch postaw, które reprezentują główni bohaterowie: Jan i Piotr – odmiennie patrzący na kwestię udziału w wydarzeniach historycznych. Pierwszy z nich, poeta, z rezerwą odnosi się do formułowanej przez drugiego uwznioślenia czynu i siły. Na pogłoski o zbliżającej się wojnie reaguje niechętnie, ironicznie kwitując militarystyczne i aktywistyczne hasła. Piotr z kolei widzi w Janie pięknoducha,

który nie jest zdolny pojąć roli mocy w życiu.

W opracowaniu przygotowanym przez Bibliotekę Narodową czytamy: „Dwoista tożsamość samego Baczyńskiego, który jako artysta stanął przeciw przed grozą pytania, jak pogodzić udział w walce ze współczuciem wobec bliźnich, zostaje symbolicznie przedstawiona poprzez bohaterów dramatu: Piotra i Jana. Wizja dwóch postaw: heroicznego optymizmu i woli mocy reprezentowanej przez Piotra skonstruowana zostaje z pacyfizmem i humanizmem Jana. Ostateczne wywyższenie i afirmacja losu poety godzącego się na cierpienie wskazują na oczyszczającą moc wolności wyboru, która przeciwstawia się tragizmowi i nieuchronności sytuacji”.

W dramacie, obok wątków o charakterze autobiograficznym, rolę wiodącą odgrywają poszukiwania metafizyczne. Sama inspiracja wyszła z lektury dzieł Cypriana Kamila Norwida. Baczyński w swoim utworze nawiązuje do wielkiej tradycji polskiego dramatu: w centrum rozgrywanych wydarzeń znajduje się bowiem dobrze znany z tradycji romantycznej moment przemiany bohatera. Tak dobrze znane z jego liryki synestezyjne opisy i uzewnętrznienia stanów psychicznych są tłem dla rozgrywających się w dramacie „narodzin żołnierza” i „narodzin poety”.



Tkanka dramatu zbudowana jest z kontrastów: dźwięku i ciszy, światła i mroku, połaci i szczegółu. Muzyka, a szczególnie wymienione w didaskaliach *Preludium*

deszczowe Chopina pojawiające się na początku i na końcu dramatu, jest kłamrą spinającą wydarzenia i wprowadzającą odbiorcę w zaprojektowany przez poetę nastrój momentów scenicznych. Innym występującym w dramacie utworem Chopina, który ma niewątpliwie symboliczny i ilustrujący wewnętrzne poruszenie bohaterów charakter, jest *Etiuda rewolucyjna*, którą Jan ćwiczy na fortepianie w III scenie.

Połączenie słowa, dźwięku i obrazu ukazuje nie tylko wrażliwość i artystyczną świadomość poety, lecz także wprowadza odbiorcę w totalny, pełnozmysłowy odbiór dramatu. Widziadła, takie jak postać Gladiatora i duchy, które objawiają się bohaterowi-poecie, wynoszą tekst na płaszczyznę pytań metafizycznych, natomiast konflikt pomiędzy sztuką a walką obrazują pytania, których znaczenia wykraczają poza dylematy rzeczywistości wojennej. Baczyński, jako poeta utożsamiany przez historyków literatury z głosem całego pokolenia artystów doświadczonych okropnościami wojny, przenosi te rozterki na poziom ponadczasowy i ogólnoludzki (BN).



DANUTA STENKA I PIOTR FRONCZEWSKI
W PREMIEROWEJ ADAPTACJI JEDYNEGO
DRAMATU K.K. BACZYŃSKIEGO

REŻYSERIA ALEKSANDRA GŁOGOWSKA
PORA GNIEWU

RADIO DLA CIEBIE RDC, 101FM I WWW.RDC.PL

1 SIERPNIA, GODZINA 17.05
4 SIERPNIA, GODZINA 21.05

*Wtęże stał się, Juliusz, stoisz – postanowiłem wcielić
postać człowieka, który każdego i porówna do siebie.
Zabijaj, jeśli to jest... ~~nie~~ nie, zabijaj
poza niego wspaniały – nie, wspaniały
by na tym co się dzieje, co to oznacza
z morderstwem. Tutaj jest to sama z siebie
jest mi do końca.*



Krzysztof K. Baczyński nie dokończył swojego dramatu i nie nadał mu tytułu. Poetycko jednak, tak przeciwstawił postawy bohaterów: „Piotr idzie on to śpiewa, więc jednak to jesień / Pora śpiewu? Nie gniewu”, że wers ten – jak podkreśla w przedmowie do edycji płytowej Tadeusz Deszkiewicz, prezes RDC – stał się inspiracją autorki adaptacji do nadania słuchowisku tytułu: *Pora gniewu*.

Dzieło Baczyńskiego to prawdziwy unikat w historii Teatru Polskiego Radia. – Poza dwoma scenicznymi próbami sprzed ponad pół wieku, w Teatrze im. Żeromskiego w Kielcach i Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, nikt do tej pory nie podjął się realizacji całości tego niezwykłego tekstu. Uznaliśmy więc – stwierdza redaktor Deszkiewicz – że przygotowanie go w formie radiowego słuchowiska będzie najważniejszym hołdem w stulecie urodzin genialnego twórcy.

W słuchowisku wzięli udział Danuta Stenka (Matka), Piotr Fronczewski (Gladiator), Krzysztof Szczepaniak (Jan), Konrad Szymański (Piotr), Zuzanna Saporznikow



W studiu Radia dla Ciebie, podczas realizacji słuchowiska... FOT. © RDC

(Joanna) oraz Juliusz Godzina i Tomasz Osica (Koledzy 1. i 2.). Muzykę skomponował Marcin Nierubiec, za fortepianem zasiadł Viet Trung Nguen, partie wokalne zaś wykonał Grzegorz Wilk. Całość akustycznie zrealizował Maciej Kubera.

Przy okazji warto dodać, iż w przepastnych zbiorach Biblioteki Narodowej znajdują się rękopisy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego z okresu przedwojennego i wojennego. W archiwum poety odnajdziemy wiersze, poematy, opowiadania, teksty krytycznoliterackie, wspomniany jedyny dramat, a także listy do rodziców oraz rysunki i grafiki powstałe w latach 1933-1944. Ważną część zbioru stanowią artystyczne zeszyty-albumy

łącznie w sobie tradycje „pięknej książki”, takie jak wpisany na Polską Listę Krajową Programu UNESCO „Pamięć Świata” tomik *W żalu najczystszy*.

Większość spuścizny Baczyńskiego została zakupiona przez Bibliotekę Narodową w latach 1963-1964. Pozostałe rękopisy wchodzące w skład tego zasobu wpływały w latach późniejszych (np. rękopis Baczyńskiego zawierający odpis wiersza *La flûte verte* Louisa Codeta, 1876-1914, i jego autorski przekład zakupiony w roku 2012).

Cała kolekcja utworów Krzysztofa Kamila Baczyńskiego dostępna jest w bibliotece cyfrowej: Polona.pl.

ANDRZEJ SZTUMSKI ■

„Mam władzę – to wam pokażę!”

■ BEATA ADAMCZYK



„Nihil novi nisi
commune consensus

Nihil novi, 1505

Nic o nas bez nas! – te i tego typu hasła coraz częściej są restytuowane przez mieszkańców gmin w odniesieniu do ich obecnych problemów. Bolączką, która coraz dotkliwiej jest odczuwalna przez obywateli to swobodna i interesowna interpretacja prawa przez prawników zatrudnianych w samorządach.

Nie wzbudzałoby to tak negatywnego odbioru społecznego, gdyby rezultaty decyzji administracji lokalnych nie były niejednokrotnie wręcz szkodliwe dla mieszkańców. Co oznacza, że taki stan rzeczy jest ewidentnym zaprzeczeniem idei samorządu jako zdolności społeczności lokalnej do zarządzania sprawami publicznymi w granicach prawa na ich własną odpowiedzialność i w interesie mieszkańców.

Czyje interesy są więc realizowane i jak mają się deklarowane przed wyborami programy wyborcze do wykonywanych działań urzędników, którzy są faktycznymi decydentami?

W praktyce wygrani dostają po wyborach pełny pakiet władzy i mogą decydować o losie wszystkich mieszkańców gminy. Wiele jest głosów krytycznych w kwestii zadłużenia samorządów. Pojawiają się pytania: czy mieszkańcy byli świadomi tego do realizacji jakich celów pożyczki były zaciągane?, czy wyrażali zgodę na realizację projektów?, czy byli o nich wcześniej informowani i świadomi potencjalnych skutków dla nich, ich rodzin i biznesów? Ale, ale... To właśnie najlepszym posunięciem biznesowym w obecnych realiach jest wygranie wyborów lokalnych. Samorządy są bezkarne, nawet Sąd może im w wyroku tylko wytknąć na przykład niekorzystny dla gminy plan zagospodarowania przestrzennego, ale nie przekłada się to na realne ich ukaranie.

A przecież miało być tak pięknie, zapisano bowiem, że „samorząd terytorialny oznacza prawo i zdolność społeczności lokalnej, w granicach określonych prawem, do kie-

rowania i zarządzania zasadniczą częścią spraw publicznych na ich własną odpowiedzialność i w interesie ich mieszkańców”.

Bezradni i zmarginalizowani

Zastanawiające, że żaden z polityków, zwłaszcza z dawnej, antypeerelowskiej opozycji nie zająknie się w dobie nepotyzmu o rozroście biurokracji, która ogranicza przedsiębiorczość i blokuje inicjatywy obywatelskie, nie wspominając o oczywistym, szkodliwym obciążeniu dla budżetu państwa.

Dlaczego nie opierają swojej polityki na fundamentalnych autorytetach, jakim z pewnością był dla nich w czasach opozycji prymas Stefan Wyszyński, którego przesłanie powinno być wręcz dla nich ostrzeżeniem: „Gdy człowiek czy naród czuje się na jakimkolwiek odcinku związany i skrupowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrupowane jak stalowymi gorsetami, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobyć się z niej. Zamiast to czynić, lepiej klatkę otworzyć i dać możliwość skrzydłom, by rozwijały się w lotach, i piersiom – by potężniały, jak tego wymaga własne zadanie, przeznaczenie człowieka czy narodu” (Warszawa, Kościół Świętego Krzyża, 27 I 1963, w: S. Wyszyński, *W sercu Stolicy*, Warszawa 2000, s. 41).

W warunkach, jakie stworzyli nam samorządowcy – a może samowładcy – o wspólnocie obywatelskiej można tylko pomarzyć. Jest wręcz odwrotnie – nieco starsi czytelnicy mogą mieć poczucie *déjà vu*, gdyż to w komunistycznych pismach Lwa Trockiego (a właściwie Lejba Dawidowicza Bornsztejna) i jego zwolenników biurokraci odgrywali centralną rolę. Jeśli urzędnik może na swoją korzyść przejąć drogę i pozostać bezkarny, gdyż wójt stwierdził, że „oczywiście, doszło do naruszenia prawa, ale nie sądzę, że jest to rażące złamanie prawa” (wypowiedź wójta gminy Czosnów w „Kurierze” TVP Info, materiał pt. *Historia pewnej drogi*). W praktyce przełożyło się na to, że mieszkanka gminy musiała niemalą kwotą wykupić sobie dojazd do domu, choć powinna mieć prawo do korzystania z drogi gminnej, bezprawnie

wcielonej przez „samorządowca” do jego posesji. „Jak chcesz przejechać – to zapłać!”. Tak mogli zachowywać się rozbójnicy w bajkach, ale w życiu realnym jest to po prostu szantaż i wymuszenie haraczu.

Nie ludźmy się, że „notable terenowi” będą chronić dobro wspólne, jeśli wyraźnie stwierdzili, iż ich i kamratów interesy są priorytetowe. Takie sytuacje są w niejednej gminie w Polsce. Potwierdzają, jak stosowane jest prawo dla obywateli, czyli to nie posłowie, ale władze samorządowe, zatrudniani przez nich prawnicy i urzędnicy tworzą faktycznie ustrój społeczno-gospodarczy naszej Ojczyzny. Konstatacje są zatrważające, gdyż na podstawie dostępnych opinii i dokumentów, z którymi się zapoznałam, wynika, że prawo własności jest celowo ograniczane, szczególnie poprzez niedopuszczanie do możliwości osiągania korzyści poprzez uczestniczenie w działaniach gospodarczych. Do tych ostatnich wójtowie dobierają sobie szczególnie upatrzonych przedsiębiorców, za co oczekują od nich rewanżu w następnych wyborach. Czyli cytując klasyka publicystyki: „demokracja oznacza wolność kradzieży” (S. Truszczyński, *Bankierzy*, www.sdp.pl).

Samorząd a prawa własności

Jak znacznie zmieniły się w Polsce kryteria władania swoją własnością – gruntami, oszczędnościami, innowacyjnością i chęcią do podejmowania samodzielnego ryzyka, a obecnymi ograniczeniami administracyjnymi przedstawię na przykładzie oceny wysokiej klasy specjalistów. Mianowicie, w ocenie International Property Rights Index Polska spadła w rankingu z 44 w roku 2013 na 58 miejsce w 2020.

Jaki jest wpływ możliwości władania przez obywateli prawem do własności ich nieruchomości na rozwój społeczny i gospodarczy oraz jednocześnie wolności jednostki do decydowania o swoich sprawach, najlepiej przedstawia definicja Property Rights Alliance: „Prawa własności i ich ochrona dotyczą bezpośrednio legislacyjnej funkcji państwa, ale mają również istotny wpływ na realizację wszystkich ekonomicznych funkcji państwa. Wydaje się, że brak zrozumienia istoty i znaczenia tych praw oraz bezwzględnej ich egzekucji tworzy niekorzystne otoczenie dla podmiotów gospodarujących, zniechęcając z jednej

strony do przedsiębiorczości i bogacenia się, z drugiej ograniczając wolność jednostki w podejmowaniu wyborów”.

Czy to jest korzystne dla uczciwych Polaków? Pozostawiam Państwu do oceny. Faktem jest, że w latach 90. powstawało więcej firm i możliwości zarobkowania były znacznie bardziej uproszczone. Teraz są grupy, które unieszkodliwiają konkurentów decyzjami podejmowanymi rzekomo w imię dobra społeczności. Zauważamy jednak, że dobro to jest ograniczane do korzyści grup, które mają władzę. Przykładów nie trzeba daleko szukać, wystarczy wyjechać za opłotki warszawskie.

W pobliskich gminach plany zagospodarowania przestrzennego (PZP) mają być opracowane przez urzędy rzekomo przy współudziale mieszkańców. Tymczasem np. podwarszawski Czosnów zyskuje „dzięki” swoim samorządowcom i pracującym dla nich prawnikom oraz „czarnemu” PR w mediach ogólnopolskich, m.in. w „Sprawie dla reportera” Elżbiety Jaworowicz. Redaktor wyraźnie wykazała w swoim programie brak możliwości decydowania przez właścicieli, co mogą zrobić na swojej posesji i celowemu zaniżaniu realnej wartości rynkowej ich nieruchomości przez administrację (zob. „Sprawa dla reportera” z 27 lipca 2019 r., materiał dostępny w Internecie). A przecież zgodnie z art. 64 ust. 3 Konstytucji RP, własność może być ograniczona tylko w drodze ustawy i tylko w takim zakresie, w jakim nie narusza ona istoty prawa własności.

Z pewnością wpływ na wartość rynkową i realną dla ich właścicieli mają decyzje samorządów, tj. doprowadzenie dróg, mediów, przekształcenie działki z rolnej na budowlaną w zależności od klasy gruntów rolnych. Co w takim razie mają począć posiadacze gruntów, którzy tkwią pomiędzy sprzecznymi opiniami wojewody i lokalnego samorządu?

W mętnej wodzie z pewnością towi się łatwiej...

Przeglądając decyzje sądowe, wielokrotnie odniosłam wrażenie, że sędzia „poprawiał klasówkę z arytmetyki” a nie doprecyzowywał decyzji ważnych następnie dla kilku pokoleń. Chociażby wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego nr IVSA/Wa2418/19 z 16 stycznia 2020 roku, w którym sędzia upomina: „Tymczasem stosując prawidłowe reguły algebry (sic!), jeżeli dzielną jest wartość 7 272 502, zaś dzielnikiem wartość 1 200, to wynikiem takiego działania jest iloraz wynoszący 6 060, co oznacza, że faktyczna chłonność obszarów przeznaczonych w planach pod zabudowę winna wynosić 6 060 działek, zamiast przyjętych do wyliczeń 660 działek, co oznacza niedoszacowanie chłonności

obliczonej na podstawie obowiązujących planów miejscowych na poziomie 5 400 działek. [...] Ponadto organ nadzoru stwierdził, iż sporządzając bilans terenów dla poszczególnych funkcji zabudowy Rada Gminy Czosnów popełniła wiele błędów również przy innych wyliczeniach”.

Podsumowaniem jest stwierdzenie Sądu: „Rada Gminy Czosnów winna sporządzić bilans w sposób spełniający wymogi ustawowe [...]”. Tymczasem sporządzony bilans nie spełnia powyższych wymogów. Wskazane powyżej niespójności wskazują, iż sporządzając zmianę studium, na co wskazuje również stanowisko judykatury [...]”. A w wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Łodzi (II SA/Łd 65/17) jest ironiczne stwierdzenie, iż „brak sprecyzowania w bilansie zapotrzebowania na nową zabudowę [...] pozwala przypuszczać, że gmina przez najbliższe 30 lat nie ma zamiaru dalej się rozwijać i prowadzić jakichkolwiek inwestycji na swoim terenie”.

Tyle zza ławy sędziowskiej. Natomiast jak pojedzie się w teren, to można skonfrontować, że z jednej strony prężnie wójt rozwija swój „folwark” doprowadzając tam nowe drogi, zaznaczone już także w dokumentacji, a z drugiej – gardłuje grupa, która nie może się od wielu lat doprosić o utwardzenie drogi gminnej. Komu faktycznie służy tzw. „władza samorządowa”, jeśli za społeczne pieniądze są budowane drogi prowadzące do pięciohektarowych działek bez problemu odrodlonych, które są własnością córki wójta? A gdzie są radni? Dlaczego nie stają po stronie mieszkańców i nie popierają ich protestów, zostawiając tym samym władzom gminy furtkę do podejmowania decyzji?

Przestańmy się ludzić, że jest jakkolwiek demokracja. Jasno widać, że często godzimy się pokornie na autorytaryzm, który wymusza na nas rezygnację z realizacji praw własności, spycha nas na margines i doprowadza do wykluczenia społecznego jako mało znaczącej społeczności lokalnej.

Komu służy obecna władza samorządowa? Na podstawie szybko nakreślonej sytuacji, można skonstatować, że jedynie siłom. A przecież jeśli mamy żyć i pracować w naszej ukochanej, ojczystej Polsce, to zgodnie z art. 32 Konstytucji RP mamy zapewnione, że „wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne. Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiejkolwiek przyczyny”. Jaki jest stan rzeczy, każdy widzi w swojej gminie.

„Polska to nie zabawka śmiesznych facciaków. Im powinny wystarczyć klocki” – i niech ten aforyzm red. Stefana Truszczyńskiego będzie wystarczającym podsumowaniem.

BEATA ADAMCZYK ■

Izabella Adamczewska-Baranowska,
Łże-reportaże i prawdziwe fikcje. Powieść dziennikarska i reportaż w czasie postprawdy i zwrotu performatywnego, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020.



Celem autorki było zdefiniowanie i usystematyzowanie gatunków literacko-dziennikarskich powstających współcześnie, w czasie postprawdy, oraz warunkowanych zwrotem performatywnym. Autorka odtwarza historyczne tło narodzin powieści oraz dziennikarstwa, a następnie analizuje realizacje gatunków literacko-dziennikarskich ostatnich dwu dekad w literaturze polskiej. Zjawiska te interpretuje w odniesieniu do analogicznych gatunków w literaturze anglojęzycznej.

Książka stanowi ciekawe studium na temat współczesnego, szeroko rozumianego reportażu. Napisana kompetentnie i ciekawie, będzie, jak sądzę, ważną lekturą dla czytelników zajmujących się formami literacko-dziennikarskimi. Autorka wykorzystała oryginalny pomysł uporządkowania – na tle historycznym i europejskim – nowych gatunków dziennikarskich, wyłaniających się z kolejnych zwrotów w humanistyce. Innowacyjność pracy polega na umiejętnym przełamaniu przez autorkę stylu naukowego stylem dziennikarskim, felietonowym, co jest niewątpliwie zaletą książki napisanej „z pazurem”, miejscami lekko i dowcipnie, szczególnie gdy autorka włącza w narrację anegdoty. Eklektyczność stylu – zindywidualizowanego i oryginalnego – właściwie koresponduje z rozważaniami przez nią gatunkami-hybrydami.

prof. UwB dr hab. ELŻBIETA KONONCZUK ■



Anna Mieszczanek,
Dzień bez Teleranka. Jak się żyło w stanie wojennym, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2021.

Ach, te wakacje!

Diabli nadali, licho podkuśło i masz babo placek... i tak powstała kolejna książka wyjątkowej Krystyny Gucewicz. *Wakacje gwiazd w PRL*. Buch ogromny, liczący prawie 450 stron, a przy zastosowaniu papieru Lux Cream ma się wrażenie jeszcze większej objętości.

Tak, jak z tomików poezji Gucewicz przebijają autobiograficzne strofy, tak w najnowszej jej książce cieszą oko również jej prywatne fotografie sprzed lat. Możemy zatem odwiedzać przeróżne miejsca, z niezwykłym przewodnikiem... małą dziewczynką, potem pannicą, z której wyrośnie wybitna dziennikarka o ostrym piórze, ale również specjalistka od „Ostrych dyżurów poetyckich”. Dobór zdjęć, zwłaszcza tych z archiwum autorki, wyjątkowy... a to na Monciaku, a to na plaży czy moło, nad jeziorem Nidzkim czy pod Tatrami...

Oryginalny szlak wakacyjnej eskapady gwiazd, Krysia Gucewicz rozpoczyna w zwariowanym Zakopanem z „Halamą”, „Astorią” i „Harendą”, podążając przez Rabkę – gdzie jak autorka zapewnia – rodziły się najlepsze pomysły na książki, roztańczony Ciechocinek, moniuszkowską Kudowę i Krynice Kiepur, gdzie przez trzydzieści lat królował „Bogusław Pierwszy Wspaniały”, Krzyże i Pranie na Mazurach, Bieszczady i malowniczy Kazimierz Dolny, snobistyczna Jurata, szokujące nagocią Chałupy i elitarny Sopot, aby dotrzeć do „socjalistycznego Łazurowego Wybrzeża” czyli bułgarskich Żółtych Piasków, dotknąć fal MS Batorym i poprzez Soczi zakończyć podróż w Jugosławii Josipa Broz Tity, z Dubrownikiem i wyspą Hvar. Tak przynajmniej wynika ze szkicu zamieszczonego



na wewnętrznych stronach okładki, choć treść rozdziałów nieco inaczej się układa. Ale to przecież, cały ten szpan...

Książka stanowi fascynującą podróż do miejsc, w których czas wolny spędzała ówczesna „śmietanka” towarzyska PRL-u (władza ludowa wszak szczególnie hołubiła – oczywiście niektórych – artystów, pisarzy, ludzi sztuki...), a równocześnie jest pretekstem do snucia wspomnień oraz barwnych i humorystycznych opowieści. Opowieści o ludziach i ich stylu życia, dzięki autorce nabierają szczególnego kolorytu. Jak sama stwierdza, „kolorowy świat w szarej Polsce Ludowej”. Anegdota goni anegdotę, dygresja – dygresję... wszak nie może być inaczej, gdy książka wychodzi spod tego pióra.

Publikacja wydawnictwa MUZA S.A. może stanowić oryginalny przewodnik. Dla młodego pokolenia mający duży charakter poznawczy, dla starszych – swoiste *déjà vu*. A skoro od podróży nie stronię, i już wkrótce kolejny raz wyruszam do Szczawnicy – gdzie jak zauważa autorka, „wystarczy patrzeć i oddychać” – myślę, że w sakwojażu nie zabraknie gucewiczowskich *Wakacji gwiazd*! Niech przyjaciele poczytają... wszak czyta się jednym tchem!

Na koniec nie omieszkam wspomnieć, że książka, zarówno przez autorkę, jak i redakcję, dopracowana w szczegółach. Piękne połączenie graficzne tekstu ze zdjęciami – niekolorowymi, co dodaje atrakcyjności przekazu i otwarciu naszej „kolorowej” wyobraźni na opisywane osoby,

wydarzenia i miejsca. Jest nie tylko indeks nazwisk (szkoda, że nie miejsc, choć w pewien sposób zastępuje go sam spis treści), ale nawet „Moje ściagi” czyli wykaz dobrych książek z podręcznej półki autorki, do których sięgnęła i które – w delikatny sposób, jak się wydaje – poleca nam do głębszego poznania odwiedzanych miejsc, jak i czasów, które chcąc nie chcąc, są już przeszłością.

Czas nieubłaganie mija... a wybór miejsca, choć też na pewno ważny, to raczej drugorzędny, gdyż najważniejsze to osoby. Być ze sobą – rodziną, przyjaciółmi, znajomymi, być w dobrym towarzystwie i w dobrym nastroju. Zatem korzystajmy z wakacji... teraz już w (IV) RP.

ISB ■



Kania dżdżu łaknie



FOT. © ANDRYS STIENSTRA

■ STEFAN TRUSZCZYŃSKI



Dorota Kania to nominacja trafiona. Tak uważam. Ostra i pracowita redaktorka-prezeska jeździ teraz po Polsce i szuka. Chodzi o dziennikarzy nadających się na redaktorów naczelnych regionalnych gazet, odkupionej od Niemców Polska Press.

Potrzeba szesnastu. Odkupił Obajtek. Niemcy sprzedali, bo cały biznes przestał się im opłacać. Patriotycznie nastawieni cieszą się, że wreszcie „polskie jest polskie”, a wierzący w Europę wrzeszczą, że to zamach na wolność słowa.

Oczywiście Polska Press będzie teraz bardziej PiS-owska, tak jak przedtem była PO-wska. Od ostrej krytyki Niemców było wara, a niektóre – szczególnie felietonistki – były nawet zajadłe wobec Kaczyńskiego, Morawieckiego i całej Zjednoczonej Prawicy.

Prawica już nie tak zjednoczona, ci zza Odry sprzedali *know-how*, ale bez majątku budynkowo-materialnego. Ludzi pozostawili w strachu i rozterce. Trzeba to wszystko budować. Reporterka i publicystka Kania to teraz potężna Kadrowa. Kluczem do sukcesu, jeśli gazety Polska Press mają nie stać się partyjnymi biuletynami propagandowymi, jest właściwy dobór redaktorów naczelnych.

Pod koniec niemieckiej władzy było już finansowo krucho. Ludzie pozostawieni w pracy cieszą się, że w ogóle ją mają. Ale zarobki są nadal niskie. Obiecanki ORLENU mówią o polepszeniu sytuacji

dopiero z końcem roku. Trzeba więc zacisnąć zęby i czekać. Na ocenę jakości może jeszcze za wcześnie. Nowi kierownicy gazet dopiero się instalują. Ale mija tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Jak więc będzie pod PiS-owsko-Obajtkowsko-Kaniowskim berłem, przekonamy się już każdego dnia wraz z ukazywaniem się codziennych gazet.

Pani prezes, właściwie jedna z prezesów Polska Press, deklaruje, że będzie walczyć o niezależność i dbać o ambitnych i sprawiedliwych. Wszyscy przecież wiedzą, że sukces zależeć będzie od poczytności, po prostu kupowania, płacenia po te 3,30 czy 3,50. A ludzie mowy-trawy kupować nie będą. Konkurencja medialna jest potężna. Na razie wyniki (kilkunastotysięczne nakłady) są skromniutkie.

Dorota Kania łaknie czytelników, klientów produktu wydawnictwa. Znajdą się, gdy ludzie tu piszący i redagujący, będą dobrze wykonywać swój zawód, gdy zbliżą się przynajmniej do zasad WOLNOŚCI SŁOWA, obiektywizmu politycznego, gdy nie będą się bać w dokładaniu starań o rzetelność w dokumentowaniu i pisaniu. Oby!

Dotychczasowe nominacje na redaktorów naczelnych nie napawają jednak optymizmem. Energiczna kobieta walczy z wieloma naciskami – partii, związków zawodowych, weteranów „Solidarności” i NZS-u.

W poprzednim wcieleniu wśród gazet Polska Press wyróżniał się „Dziennik Bałtycki”. Teraz chyba tak pozostanie, choć po ostrych bojach w Gdańsku, wybrano naczelnym publicystę ekonomicznego z zawodowym epizodem w „Gazecie Wyborczej”. Pierwsze komunikaty nie podawały tego szczegółu,

ale potem uznano, że to można wygrać jako dowód pluralizmu i jest to w CV. Sytuacja w dzienniku jest o tyle łatwiejsza dla nowego kierownictwa, że jeszcze pod koniec niemieckiej gry pozbyto się najbardziej ostrych przeciwników PiS-u. Zresztą dziennikarzy zawodowo dobrych. Służyli z zaangażowaniem Platformie, a jednak dostali kopa. To dobry przykład dla wszystkich nadgorliwych. Myślę, że „Dziennik Bałtycki” sobie poradzi. Całe nasze Wybrzeże, cała gospodarka morska, zniszczony przemysł okrętowy, wyprzedana flota, klęska rybołówstwa – to niezwykle ważne nie tylko dla Wybrzeża, ale i dla całej Polski, tematy.

Powstrzymam się od cenzurowania nowo nominowanych szczęśliwców. Choć aż korci, by napisać przynajmniej o kilku z nich, którzy nie mają nazwisk, dorobku i rokuja jak najgorzej. Przyjdzie na to czas.

Chciałbym bardzo uwierzyć pani prezes Dorocie Kani, że będzie czynić tak, jak to zapowiada. Jest taka szansa, bo obecna ważna decydentka – kiedyś, gdy zaczynała, zrobiła to bojowo. W Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich pamiętają, jak zapewniono jej pomoc na leczenie, gdy jako debiutantka-reporterka udała się odważnie do cygańskiego obozu na jeden z pierwszych reportaży. Była najwyraźniej dociekliwa, a może nawet ostra w zadawaniu pytań cygańskim matronom. Skończyło się to na dotkliwym pobiciu. Dziś mamy oczywiście kulturalne obyczaje (...szczególnie w Internecie) i na pewno nic podobnego się nie wydarzy. Mam też nadzieję, że Pani Kania nie zmiękła.

Ciąg dalszy na s. 82 ►

Serwisy regionalne



Serwisy miejskie



© POLSKAPRESS.PL

strefaAGRO

motofakty.pl

Strefa Biznesu

SPORTOWY24.PL

GOL24

TELE
magazyn

gratka

ona

► Ciąg dalszy ze s. 81

Rządzący zawsze chcą rządzić również mediami. Rządzący mianują, zatwierdzają. Z jednej strony chcą być czytani i oglądani, a z drugiej muszą dopuścić do krytyki samych siebie. Jak to wszystko pogodzić.

Otóż pierwsza rzecz to wybór właściwych ludzi, którzy wybierać będą najważniejsze tematy, dokumentować wnikliwie i osądzać sprawiedliwie.

Ponieważ jestem już dość stary, a przez 55 lat jeździłem po Polsce, słuchałem, fotografowałem, nagrywałem i filmowałem – zebrało mi się w głowie sporo tego. Nadal zresztą staram się ruszać. Podzielię się tą wiedzą chętnie. Stąd pomysł, by sprawy ważne, aktualne, a także czekające od lat na nagłośnienie, rozważenie, czasem wręcz zaalarmowanie – wypisać, zaaprobować do podjęcia właśnie przez regionalne media.

No, to polećmy przez Polskę... Zaczniemy od spraw morskich, pomorskich.

Wypada od przekopu Mierzei Wiślanej. Ważne to i potrzebne. Ale sukces jeszcze daleko. Uporano się już prawie z Mierzeją. Droga rzeką do Elbląga też nie będzie problemem, ale tor wodny przez bardzo płytki Zalew (1,60-1,80 m) i grubą warstwę mułu będzie wymagało budowy murów oporowych. Dużo się o tym wszystkim pisało, ale byle jak. Przeciwnicy straszą, zwolennicy lekceważą, np. powstanie murów oporowych ochraniających pięcio-siedmiometrowej głębokości tor. Nigdzie nie

czytałem o wierceniach głębokościowych pod tymi murami zaporowymi, a muszą one być wykonane do kilkudziesięciometrowych głębokości. Ciekawe też, jak będzie wyglądało skrzyżowanie dróg wodnych wzdłuż i w szerz Zalewu.

Przenieśmy się do Gdańska.

Skrzypią historyczne dźwigi Stoczni Gdańskiej. Ocalały – warto gwoli sprawiedliwości wspomnieć – że jednak również dzięki prezydentowi Pawłowi Adamowiczowi. Czy jednak rzeczywistość to jest wszystko, co można zrobić dla ongiś potężnego zakładu zwanego pieszczotliwie „kolebką”. Zdruzgotanych nadziei, oszukanej potem klasy. Obok są były stocznie Północna i Remontowa. Te udało się, póki co uratować. Ale odszedł niestety ich wspaniały prezes – dyrektor. Ktoś powinien śledzić losy tego holdingu, tak ważnego, niemal każdego dnia.

Idźmy na północ. Do Sopotu.

Niekompetencja przy budowie mariny powoduje zawirowania fal i wymywanie piasku sprzed plaży na południe od mola. Przedtem fala swobodnie przepływała pod przepuszczającą je odnogą. Co dalej z odpowiedzialnością – za przestępstwa świńskiej „zatoki świń” – prominentów w pedofilskich zabawach.

Sopot ma wspaniałą Łysą Górę, ale zniszczono znajdującą się za nią skocznię narciarską i tor saneczkowy. Sopot był częścią miasta Gdańska. Nie trzeba już dziś tej prawdy się obawiać.

Historia unikalnych sopockich kamienic, willi. To tematy czekające na podjęcie.

Historię kamienic podjęła Gdynia. Jednak to przepiękne miasto, pod wodzą bardzo ambitnej władzy, ma kilka paskudnych grzechów. Może i największym jest zniszczenie przed kilkudziesięciu laty świetnego ongiś obiektu basenowo-hotelowego na Redłowskiej Polance. Może ktoś się pokusi by opisać to, co tam się od wielu lat dzieje. A także zająć się gdyńskimi „działami Navarrony” na wzgórzach nad Polanką. To unikalne militarne zabytki. Jedno z ogromnych dział, które miały strzec Zatoki – już spadło ze skarpy. Wstyd Panie Prezydencie.

Może ktoś w końcu naprawdę przypomni zasługi wspaniałego kapłana – proboszcza Hilarego Jastaka, który w sierpniu 1980 pierwszy poszedł do stoczniovców. Ma dziś mizerny pomniczek na ul. Władysława IV.

Podobnie smutno jest z pomnikiem Eugeniusza Kwiatkowskiego – stoi przyparty do muru gmaszyska na ulicy 10 Lutego – jak stróż a nie twórca Gdyni.

A teraz Hel.

Marniejące wspaniałe tereny po wojsku. Około 80 hektarów. Porzucony Port Wojenny. Skandal. Brak pomysłów i decyzji w sprawie ogromnych budynków po halach produkcyjnych zakładów rybnych.

Wreszcie niemieckie wraki... „Franken” i miliony mazutu na głębokości 70 metrów zaledwie 9 kilometrów od cypla. Kiedyś to wszystko zanieczyści, zniszczy Zatokę Gdańską. Dalej U-Boot VIIC. Zaledwie 1 kilometr od brzegu, na wysokości historycznego punktu świetlnego – Góra Szwedów. Kompletny, nieuszkodzony,

unikalny. Mijają dziesięciolecia, a nikt tym nie chce się zająć.

Niemcy, Rosjanie postawili na swoim i przeprowadzili Nord Stream 2. Niech „za to” oczyszczą Bałtyk z pirytu, „Frankena” i innych groźnych podwodnych składowisk.

Na Zachodzie od trzydziestu lat bez zmian. A nawet coraz gorzej. Afery środowiskowego Wybrzeża – niewyjaśnione (Pan Gawłowski uśmiecha się!). PŻM, podobnie jak PLO – zniszczone. Stocznia (b. Warszawskiego) zniszczona. Stępka pod szumnie zapowiadaną jednostką, rdzewieje od lat. Pokażmy ludzi za to odpowiedzialnych.

Wcałym kraju buduje się tysiące kilometrów wspaniałych dróg. Ale ich poszerzanie to zabieranie rolnikom ziemi, domostw. Oni to rozumieją. Nie zgadzają się natomiast na to, jak się z nimi postępuje. Reporterzy regionalni powinni przedstawiać tragedię ludzi, którym za zniszczony dorobek życia płaci się niewspółmiernie mało i to z opóźnieniami nie dającymi szans na odbudowę gospodarstwa, inwentarza. Niech ktoś opíše, jak zniszczono np. mleczną hodowlę Państwa Bluszczów pod Płońskiem. Drogowcy są bezkarni. Zadośćuczynienie poprzedzające rugowanie na potrzeby dróg i autostrad to obowiązek nie laska pańska, wypinających piersi na medal, po każdym kilometrze zakończenia budowy.

Obiecanki z retencją. Krok po kroku należy pokazać, jak niewykorzystana woda z rzek, zamiast do morza powinna być odprowa-

dzana kanałami do sztucznych zbiorników. Byłyby zapasy na suszę, a nie powódzie.

Chcemy zbudować gigantyczny port lotniczy i wielki węzeł kolejowy. A co z Puszczą Bolimowską, jej zabytkami (30 unikalnych kościołów)?

Łódź będzie miała połączenie z dworcami – wspaniale. Ale co z zabudową pustych łódzkich przestrzeni? Twórca Camerimage, Marek Żydowicz, sprowadził do miasta wybitnych amerykańskich architektów – potomków b. mieszkańców, którzy wyemigrowali do USA. Ich ofertę zaprojektowania wspaniałego śródmieścia – zmarnowano. Festiwal Żydowicza kupiła Bydgoszcz. Tam zresztą koncentrują się na walce z Toruniem zamiast angażować fachowców, którzy by krytycznie analizowali koncepcje nowo budowanych mostów.

Bydgoszcz ma historyczne, wspaniałe tradycje sportów rzecznych, ale wody nie potrafi wykorzystać.

Podobnie jak Wrocław.

Tam dopiero mógłby być raj dla wodniaków śródlądowych, ale panuje flauta. Woda jest natomiast w kilku podziemnych piętach pod dworcem. Wszystko tam głęboko zalane. A może i zaminowane od wojny. Szukano nadaremnie złotego pociągu, a niewyjaśniona tajemnica jest w Śródmieściu.

Niedaleko jest Wałbrzych.

Zasypane kopalnie, zabite dechami obiekty przemysłowe. Marnotrawstwo. Obojętność. Nieudolność gospodarza. Brak planów. Zgroza.

Dalej na południe dziesiątki marniejących, niegdyś pięknych zameczków, pałaców i domów zabytkowych. Tematów nie brak, tylko trzeba ruszyć d...

Kielce, Radom, sprzedawały już wszystko, co się dało. Lublin i Zagłębie Węglowe – „Bogdanka”, Stefanów to skarb i nowoczesność. Kopalnie czyściutkie, taśmociągi obudowane i wielkie jeszcze poacie węgla, ciągnące się aż pod ukraińską granicę. Zauważyli to Australijczycy i walczą o prawo do wydobywania, argumentując, że to on badali zasoby. Pomagał im ponoć były prezes. Niezdecydowanie – a może gorzej, ze strony decydentów zasobami w centrali – to niebezpieczna gra, która może doprowadzić do uszczuplenia zysków z węgla. Idzie walka kto zbuduje nowy szyb w Stefanowie, niedaleko pól, gdzie ginęli nasi żołnierze w 1920 roku.

Reporterzy Polska Press odwiedźcie Cyców. Zainterесujcie się wyciekającą ropą w Gorlicach, była cementownia w Chelmnie.

Zainterесujcie się bezprawiem w Ciechanowie, gdzie starostwo olewa jawnie decyzje wojewody, gdzie wyrzuca się z pracy wspaniałych ludzi a lansuje miernotę. Zapytajcie posłów, senatorów, dlaczego nie reagują. Tu ich wybrano, ale ich interesują wyłącznie partyjne układy i utrzymanie się przy żłobie.

Pani Doroto, przed Panią wielka szansa. Proszę szukać właściwych ludzi. Tchórzzy u nas dostatek. Leni jeszcze więcej...

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■



FOT. © ALEXAS FOTOS

Gdy czarty rozdają karty...

HENRYK MAŻUL



By potwierdzić żywotność bajki jako gatunku literackiego, wypada się cofnąć hen ku zamierzchłej przeszłości, do czasów nawet sprzed naszej ery, kiedy to w antycznej Grecji tworzył uważany za ojca bajkopisania Ezop. Wywodząc się z oralnej tradycji, w przeciągu długich wieków była ona wspólna wszystkim kulturom, czego potwierdzeniem chociażby nazwiska tej miary, co Hans Christian Andersen, bracia Grimm, Iwan Kryłow, Jean de La Fontaine bądź też szczególnie nam bliscy: Aleksander Fredro, Ignacy Krasicki albo nawet sam Wieszczyk narodowy – Adam Mickiewicz.

Przywołując bajkę, pamiętać trzeba, że poza „czystą postacią” z koniecznym morałem pełniła ona także misję służebną, gdyż stanowiła nierzadko zaczątek zdecydowanie bardziej wyszukanej literatury pięknej z powieścią łącznie. Po stokroć miał zatem rację autor *Konrada Wallenroda*, gdy włożył w usta wajdelocie Halbanowi jakże znamienne słowa, będące wymownym hołdem dla ustnego przekazywania z pokolenia na pokolenia tego, co żyje w podaniach, pieśni, bajce:

O wieści gminna!

Ty arko przymierza.

Miedzy dawnymi i młodszy mi laty:

*W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć
kwiaty.*

Nasza kochana Wileńszczyzna po swojemu obfituje w baśniowe wątki. Ma bowiem własne zjawy białych dam, niejedną przydrożną kamień prócz porastania mchem obrósł też różnymi strachami, w niejednym leśnym gąszczu zagnieździł się wcale niekoniecznie dobry duch, o czym najlepiej wiedzą najstarsi mieszkańcy poszczególnych miejscowości. A efekt zdecydowanie się potęguje, o ile potrafią o tym najbarwniej przekazać słuchaczom, w których gronie najchętniej prezentują się dzieci.

Musiła zapewne ten talent posiadać urodzona w roku 1896, a zamieszkała we wsi Niemenczynek Józefa Siemaszko, skoro to, o czym bąbała swemu wnukowi Józkowi, ten – dziś już tachający na karku ponad sześć krzyżyków, mający w dorobku tytuł doktora nauk humanistycznych, kilka tomików poetyckich i książek prozą napisanych, zachował głęboko w pamięci. Co więcej: zapragnął przed kilkoma laty tym będącym dotąd w rozsypce bajaniom z Wileńszczyzny rodzem wystawić wspólny książkowy „pomnik”.



Podczas prezentacji książki w Muzeum Władysława Syrokomli w Borejkowszczyźnie

FOT. © MARIAN PALUSZKIEWICZ / L24.LT



Józef Szostakowski FOT. © RADIO WILNO

Ponieważ Józef Szostakowski w swych penetracjach naukowych zdecydowanie preferuje głębie nad płycizny, zamysł ów znalazł konsekwentne wcielenie. W postaci liczącej 96 stron książki, której tytuł *Podwileńskie bajanie. Legendy, podania i bajki z okolic Wilna* mówi poniekąd sam za siebie. Cztery jej rozdziały, a w kolejności są to: *Podania z okolic Wilna, Nowe podania, O nowych dzielnicach miasta oraz Legendy*

literackie zmieściły 117 dłuższych bądź krótszych obrazków. Tych tu i tam wyczytanych albo usłyszanych z ust Margarity Czekolis z Gliniszek, Władysława Mieczkowskiego z teraz już stołecznych Fabianiszek, Agaty Punczewicz z Gliniszek, Heleny Strely z Rudomina, Jadwigi Jankowskiej ze wsi Lutyka, kolegi po piórze Wojciecha Piotrowicza, który z jakże zasobnego skarbcza pamięci przywołał to, co swego czasu padło z ust rodziców – Heleny i Franciszka, urodzonych w prologu XX wieku.

Te baśniowe wątki przypisane są Wileńszczyźnie jak ta długa i szeroka, gdyż dotychczas m.in. Bujwidz, Korwia, Białun, Sorok Tatars, Sojdz, Szyłan, Dusieniat, Kieny, Mariampola, Niemenczyzna, Miednik, Gliniszek, Mejszagoly, Świętnik czy Mazuryszek. W osobnym rozdziale autor literackiego opracowania zbioru zgrupował miejscowości, które wchłonęło w siebie coraz bardziej rozrastające się powierzchniami Wilno, że wymienię tu Fabianiszki, Ponary, Werki, Wilczą Łapę, Śnipiszki, Rybiszki.

W roli wydawcy *Podwileńskich bajan* wystąpiło Muzeum Władysława Syrokomli (Vladislavo Sirokomles muzejus), które pozyskało w tym celu zaangażowanie miłośników literatury, a także finansowe wsparcie w pokryciu usług poligraficznych przez Ambasadę RP w Wilnie. Nawiasem mówiąc, nie jest to pierwsza edycja, jaka staraniem muzeum w Borejkowszczyźnie ujrzała w ten sposób światło dzienne. ■

Midrasz o tradycji

MARZENA

BURCZYCKA-WOŹNIAK



Nie jest dane na zawsze i splendory bogów przedhebrajskich, podlegające (jak wszystko na tym świecie) przykreemu prawu entropii, coraz wyraźniej ustępowały przed splendorem Boga Jahwe.

Tłem zbliżającego się metafizycznego przewrotu była bliskowschodnia polityczna scena owych czasów, nie wolna od przyczajonych w niej rozłamowych tendencji. Najmocniej przy tym wrzało w zróżnicowanym etnicznie kotle kanańsko-palestyńskim – łakomym kąsku żyznej, nadjordańskiej ziemi łączącej Afrykę z Azją, penetrowanej przez migrującego człowieka od wczesnego neolitu, przejściowo kontrolowanej przez Egipt, z czasem też Babilonię; zajmowanej przez najeźdźce i grabieżce, zwalczające się wzajemnie plemiona i ludy: Hetytów, Amorytów, Fenicjan i Filistynów (przybyłych zza morza), Šasu i Habiru (przybyłych z pustyni), Aramejczyków, Kanańców, Girsaszytów, Jebusytów; nie licząc dziesiątek innych, już tylko domniemych, ludów pomniejszych.

Zanim Jahwe...

Zanim Jahwe wypatrzył w ludzkim mrowiu męża zdatnego Mu do pomocy, niczego nie podejrzewający mąż ów – Aramejczyk imieniem Abram, czciciel Księżyca, wiódł bogobojny żywot w bogatym, sumeryjskim mieście Ur nad Eufratem wraz z ojcem swoim Terachem, matką, młodszymi braćmi Nachorem i Haranem, siostrą-żoną Sarą, bratankiem Lotem.

W taki oto sposób tradycja (a nie że-rujące na niej po wiekach nauki historyczne) jako pierwsza śmiałym skrótem nakreślił profil oraz utrwalił imię kogoś, kto za chwilę wyruszy wraz z ojcem, z Ur – ziemi przodków – biorąc na drogę to, co ów ktoś miał w swoim sercu: synowską ufność do ojca i jego zamiarów, nade wszystko zaś ufność do ojca nad ojcami – lunarne boga Nanna, zwanego też Sinem lub – niemal tautologicznie – Ozdobą niebios.

W drodze

Czyż życie nie jest drogą – krótszą lub dłuższą, biegnącą prosto lub zakosami, tu i tam rozwidloną, miejscami rozstajną?

Droga Abrama-Abrahama obfitować będzie w ostre zakręty. Tradycja osadzi go w świecie jako potomka migrujących pasterzy aramejskich, napomknie też kontrowersyjnie o półdzikich przodkach Amorytach. Historia natomiast? Jak to nauka – szukać będzie własnych źródeł poznawczych, a że ich nie znajdzie, uczyni Abrahama bytem hipotetycznym, acz nie niemożliwym. Podobnie jak ojca jego Teracha, matkę, młodszych braci Nachora i Harana, siostrę-żonę Sarę, czy wreszcie bratanka Lotę. Zaiste, wszystkich tych uchodźców z pustoszonego przez barbarzyńców wykwiętnego, sumeryjskiego miasta Ur, wędrujących nocami (dla chłodu) z życiowym dobytkiem, zanurzonych w bładą poświatę boskiego Księżyca – można by wziąć za ich własne cienie...

Patriarcha Terach, mający przed sobą niepewne i niebezpieczne (poza murami miast) drogi do przejścia, zmierzał wraz ze swym nielicznym jeszcze ludem terachickim do celu, którym dla każdego człowieka jest w pierwszym rzędzie jego dalsze życie: niechby na cudzej ziemi, niechby tysiąc mil od porzuconych grobów przodków, niechby nawet w ciągłej, uchodźczej tułaczce.

Dlaczego jednak Terach szedł na północ do Kanaanu – tego żadna z tradycji (a jest ich kilka) nie wie. Wiadomo za to (dzięki archeologii), że w pół drogi z Ur do Kanaanu było Charan, nieliczne miasto ze świątynią boga Księżyca i jego małżonki Ningal, także po nocach świecącej na niebie. Tu zatrzymali się bieżący i tu, po niecałych pięćdziesięciu latach postoju, Terach zmarł.

Tora

Tradycji ojców nie da się ot tak, wyrwać z ludzkiego serca. Chyba że razem z tym sercem... Tradycję drogi do żyznej ziemi kanańskiej (choć już z Charanu, a nie z Ur) – owego błędzenia i zaganiania trzód skroś mezopotamskich szlaków miał Abram w swojej aramejskiej (z domieszką amoryckiej) krwi.

Według *Tory*, która to *Tora* jest (prócz wszystkiego innego) największym na świecie zbiorem tradycji, Jahwe owszem chwalił i nakazywał przemieszczanie się, jednakowoż zmienił jego dotychczasowy wektor. W praktyce oznaczało to, że Abram (niezadługo: Abraham) miałby szerokim łukiem omijać wszystkie napotkane w drodze świątynie boga Sina – Ozdoby niebios. Musiałby też usunąć z juk podróży przewożone tam ze wciąż ostatnie (jeszcze z Ur) pamiątki po ojcu, czyli rzeźbione przez Teracha jego własną ręką posążki bóstw lunarnych.

Zaparcie się ojca i jego tradycji – jest-li to u Abrahama, okrzykniętego z czasem „wzorcem wiary” – zrozumiałe?

*

Względem narracyjnej pewności siebie *Tora* zdaje się być ostrożna. Z człowiekiem wszak nie do końca wiadomo, co i jak... Czy można było zaręczyć, że Abram zrobi ten swój pierwszy krok w ciemność nieznaną mu wiary? I że (tym samym) zamierzony przez Jahwe przewrót metafizyczny na bliskowschodniej scenie politycznej powiedzie się? *Tora* niczego z góry nie zakłada i o niczym zawczasu nie przesądza; *Tora* postrzega sprawy w ich uwikłaniu, takimi jakie realnie są; *Tora* bajek nie opowiada... ■



Sumeryjski bóg księżyca Nanna, opiekun miasta Ur; z lewej strony pieczęć cylindryczna służąca do odcisnięcia obrazu, ok. 2100 p.n.Chr. FOT. © STEVE HARRIS / BRITISH MUSEUM

Autorzy znani i nieznani

Lubimy myśleć, że jesteśmy odporni na natrętną ideologię i słusznie – na natrętną pewnie tak, ale co ze zwykłą plotką? Czy też jesteśmy odporni? Najlepiej posłużyć się własnym przykładem. Znajomy pożyczył mi książkę ulubionego przeze mnie autora i wspominał mimochodem, iż ów autor splamił się był pisaniem między innymi o Leninie i Stalinie. Znajomy twierdził, że widział na własne oczy dzieła tego autora uwzględniające „dorobek” tych ikon komunizmu. Nie miałam powodu mu nie wierzyć. Tą informacją zepsuł mi jednak nieco apetyt na lekturę. Zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdyby ów autor na taką współpracę się nie zgodził. Był wszakże ceniony wcześniej, czyli przed wojną. Z jakich pobudek to zrobił? Zakładałam, że nie osobistych. Gdyby jego dzieła nie ukazały się w PRL, to czy w ogóle miałabym szansę je poznać?

Ulice i kamienice

Niemcy niszczyli Warszawę z pełną premedytacją i niemieckim perfekcjonizmem ulica po ulicy, dom po domu, a Rosjanie stali po drugiej stronie Wisły i cierpliwie czekali aż nie zostanie kamień na kamieniu. Kiedy było po wszystkim, wkroczyli na gruzowisko udając wyzwoliciele i żądając hołdów wdzięczności „należnych” nowemu okupantowi.

Polacy z mazołem odbudowali stolicę a teraz okazuje się, że to wcale nie Niemcy ją zniszczyli, a naziści nieznaniej bliżej narodowości, obecnie w domyśle – Polacy. Skoro zniszczyli, to niech płacą, ale komu? No przecież nie sobie. Przy tych polskich ulicach stały również żydowskie kamienice. Dobrze, że je Polacy odbudowali, ale niech je teraz oddadzą prawowitym uzurpatorom, czyli organizacjom żydowskim, bo jak nie, to zostaną napiętnowani jako najwięksi w dziejach świata antysemita. Zresztą po co to weryfikować, skoro i tak – jak twierdzą Żydzi – antysemityzm wyssaliśmy z mlekiem...

Mutacja rewolucji

Na czym polega rewolucja? Najogólniej na odbieraniu ludziom wolności. Była już francuska, bolszewicka, może czas na „pandemiczną”?

Struktura rewolucji opiera się stale na tym samym schemacie. Najpierw trzeba wykreować ofiarę, następnie napiętnować sprawcę i w końcu ukazać wyzwoliciele, który wprowadzi terror dla dobra wszystkich poszkodowanych.

Rewolucja francuska wskazała uciemiężonemu ludowi monarchów-krwiopiców, ustawiła gilotynę i mordowała kogo popadnie. Bolszewicka też mordowała w imieniu klasy pokrzywdzonej. Komunizm na Zachodzie wziął w „obronę” czarnoskórych,

Odwieczny dylemat – iść na współpracę i pokazać, co się ma do powiedzenia, czy zamilknąć? „Dzięki” globalizacji kłopot ten znika. Teraz możesz mówić wszystko i tak nikt, albo prawie nikt, cię nie usłyszy. Gdybyś przypadkiem mówił mądrze, to co najwyżej możesz doznać wyróżnienia takiego, jak prezydent USA, którego ocenzurował byle dupek zarządzający maszyną internetową. Jeśli nie masz nic do powiedzenia, ale jesteś gadulą z rozbuchanym ego, to masz szansę przydać się lewactwu i stać się szeroko znany.

A co gdybyś napisał genialny scenariusz filmowy? Masz jak w banku to, że nikt go nie zrealizuje. Im lepszy, tym mniejsze szanse zaistnienia. Napisz więc może powieść. Wydaj ją w tylu egzemplarzach ilu masz znajomych i rozdaj. Może ktoś przeczyta. Jak się to ma do polityki kulturalnej naszego państwa? Nijak, bo ona po prostu nie istnieje. Starych „elit” żaden urzędnik nie ruszy, bo po co mu ten kłopot?

Analogicznie oni wyssali wredny antypolonizm wynikający z naszej tolerancji dla nich.

Prezydent Warszawy już wcześniej zabrała się w podskokach do zaspakajania roszczeń żydowskich i tylko zmiana na tym stanowisku przerwała (oby nie chwilowo) ten proceder. Przykładowo, mieszkańcy domu przy ulicy Kruczej dostali wezwania sądowe w sprawie „reprivatyzacji” budynku, w którym wykupowali swoje mieszkania wybudowane od fundamentów w roku 1960. Sędzia wierząca w autentyczność oświadczenia jakiegoś stuczerdziestolatka nie miała najmniejszych skrupułów odbierając mieszkania ich właścicielom. Co innego, jeśli chodzi o budynek po drugiej stronie ulicy, tam o roszczeniach mowy być nie może, bo zdążył go już „wykupić” Kulczyk za drobne pieniądze uciulane z pensji.

Teraz okazuje się, że ustawowe uporządkowanie spraw własnościowych w Polsce zagraża żywotnym interesom Izraela, a nawet samych Stanów Zjednoczonych. Ciekawe jak będziemy się „wykupowali” z tego wszystkiego, bo że jesteśmy winni wszelkim nieszczęściom świata, to już każdy wie.

kobiety, dewiantów i doszedł właśnie do ściany, bo sam już nie umie odróżnić kobiet od mężczyzn, ani czarnych od białych itd.

A czy obecnie mamy może do czynienia z kolejną w dziejach naszej cywilizacji rewolucją?

W XXI wieku gilotyna, czy kałasznikow nie wystarczą, wystarczy natomiast strzykawka i nie musi zawierać ani krztu trucizny. Nie ma większego znaczenia co zawiera. Udało się wykreować wirusa na sprawcę nieszczęścia i wcale nie jakiejś małej grupy poszkodowanych, a całą populację globu! Szczepionka w roli wyzwoliciele sprawdza się doskonale, bo wirus mutuje, a wraz a nim mutują kolejne szczepionki. A zatem, terror można zaostrzać, lub luzować w zależności od potrzeb.

Po czym poznać, że rewolucja już się dokonała? Po zniewoleniu, jakiemu właśnie ulegliśmy!

MAŁGORZATA TODD ■



Ryzykowna podróż do granic wolności

■ JAN TETTER



Funkcjonuje w mediach bardzo popularny termin „liberalizm”. Większość ugrupowań politycznych jest postępową aż do patologii i ma w swych programach jak najszerzej pojętą liberalizację wszystkiego – zwłaszcza praw, obyczajów, zwyczajów w państwie, w szkole, w domu, w Kościele. Szeroko popularyzowana była liberalizacja w schyłkowych latach komuny i po przejęciu władzy przez ugrupowania postsolidarnościowe.

W Polsce liberalizm, przede wszystkim obyczaju, zaczął być upowszechniany w dobie pozytywizmu. Zaczęło się od krytyki i żartów ze świętości narodowych. Potem przyszła moda na postęp. Postępowe było przede wszystkim, wszystko, co rewolucyjne. Na przełomie wieków XIX i XX krzewiła idee postępu socjalistyczna „bibuła”, która w imię szczęścia świata pracy uderzała nie tylko w porządek społeczny, ale i w wiarę w Boga, w Kościół, w tradycyjne wartości.

Najśmielej forsowała wszelkie objawy liberalizmu obyczajowego rewolucja rosyjska 1917 roku, jej płomienni agitatorzy wyrzucali za jednym zamachem na śmietnik całą moralność chrześcijańską nazywając ją pogardliwie przeżytkiem. Przeżytkiem było też małżeństwo, bo krępowało wolność jednostki; rodzina, bo zakładała posłuszeństwo dzieci wobec rodziców; szkoła, bo realizując program wychowawczy, miała swoje nakazy i zakazy. W pewnym momencie rewolucyjna liberalizacja obyczajów poszła tak daleko, że zakwestionowała pojęcie gwałtu seksualnego dokonywanego na kobiecie. Proletariusz, pisała towarzyska Kołłontaj, pod warunkiem legitymowania się zaświadczeniem odpowiedniej rady robotniczej, miał prawo mieć każdą kobietę, niezależnie od jej woli. Jednak w miarę stabilizowania się reżimu rewolucyjnego, po cichu likwidowano takie kompromitujące przejawy wolności. Nie wszystkie jednak i nie wszędzie. Na Węgrzech w czasie rewolucji Beli Kuhna kwaterowano w internatach żeńskich studentów medycyny, aby przełamywali bezsensowną wstydlivość młodych dziewcząt. W tym też celu obowiązywały wspólne kąpiele chłopców i dziewcząt.

W Polsce międzywojennej lewicowi publicyści, związani z lewicą lekarze, prawnicy, prowadzą agitację i dyskusje na temat wolnej miłości, czyli bezpruderyjnego seksu, bez małżeństwa, bez zahamowań i bez

zobowiązań. To wtedy pojawił się obłudny termin „kobieta wyzwolona”. Wyzwolona od czego? Przede wszystkim od zasad. Trwa przez wiele lat walka o rozwody dla katolików, o śluby cywilne, prawne zrównanie konkubinatu z małżeństwem, o karę więzienia dla rodziców stosujących chłostę wobec własnych dzieci. O rozdział Kościoła od państwa, czyli faktyczne pozbawienie duchowieństwa wpływu na życie społeczne. Wszystkie te postulaty przedwojennych liberałów od ręki zrealizowała Polska Ludowa.

Prawdziwa lawina liberalizmu runęła na Polskę po roku 1989. Przedtem, w niektórych środowiskach „niezależnych intelektualistów” sporo mówiło się o rewolucji seksualnej, porównując jej znaczenie z... rewolucją październikową. Wdrażając nasze słynne przemiany ustrojowe, o rewolucji seksualnej już nie pisano, po prostu ją natychmiast wdrożono. Media i reklamy wypełnił kult pieniądza, siły i... seksu. Jednocześnie nastąpił gwałtowny zanik tematyki kulturalnej. Gazety przystosowane zostały do oglądania, w niewielkim tylko stopniu do czytania. Prezydent Wałęsa ogłosił, że w życiu nie przeczytał jednej książki, już nikt nie musiał się snobować na intelektualizm. Uczniowie pytani o obowiązkową lekturę szkolną, odpowiadali, że jeszcze nie było w telewizji takiego filmu.

Trwała liberalizacja pełną parą. Jeszcze Jaruzelski ogłosił, że wszystko jest dozwolone, co nie jest zakazane. Większość praw moralnych i cała obyczajowość nie jest prawnie skodyfikowana, więc nie tam nie jest formalnie zakazane. „Róbta co chceta” wołał do rzesz młodzieży pewien idol w czerwonych okularkach. Patriotyzm, „poryw szlachetnego serca” jak głosił jeden z kapłanów, przestawał obowiązywać. Można było wszystko, warunek – nie dać się złapać. Mężczyzna miał obowiązek być bogaty, kobieta musiała być piękna. Dzisiaj moda skutecznie ją oszpeca wymyślnymi tatuażami i piercingiem. Kult pieniądza, seks, etos siły i władzy stały się najwyższymi wartościami. Potrzeby ducha jako głęboki anachronizm, zostały zepchnięte na margines. Wielka wolność, z ledwie zaznaczonym pozorem zasad, szła jak burza przez nasz kraj.

Wkrótce przysłyły rezultaty. W społeczeństwie zaczęły krążyć głuche wieści o „złodziejskiej prywatyzacji”, o gigantycznej powszechnej korupcji, o całkowitej bezkarności wielkich malwersantów, przekupstwie sędziów, prokuratorów, posłów, senatorów, ministrów... Modne ostatnio sejmowe komisje śledcze zdają się dostar-

czać dowodów na to, że głuche wieści są o wiele skromniejsze od rzeczywistości. Jednocześnie daje się zauważyć – bez wątpienia pochodna liberalizmu – zjawisko bardzo groźne: tylko małe złodziejstwo okrywa hańbą; wielkie nawet nie nazywane jest złodziejstwem, jest przekrętem, co najwyżej skokiem na kasę, nie powoduje infamii, a nawet budzi podziw. Przestępstwo w wielkim stylu, któremu towarzyszy często głośna akcja charytatywna, nie wywołuje społecznego potępienia. Zaczynają się bowiem organicznie przenikać korporacje przestępcze z instytucjami państwowymi i „klasą polityczną” czyli nową biurokracją „nomenklaturą”. Po jednym z sondaży ujawniono, że pół miliona chłopców w Polsce pragnie zostać gangsterami. To dowód, że media, film, serial, telenowela wykreowały nowego bohatera. Nie jest nim wynalazca, naukowiec, artysta, wielki społecznik, lecz zuchwały przestępca, który potrafi wywinąć się od kary.

Ostatnio w mediach otwarty został nowy front, zapewne jest to wynik wdrażania kolejnych idei liberalnych – przebiegająca pod hasłem walki o prawa, walka o przywileje dewiantów seksualnych. Odrzucano stare hasła sufrażystek rozpętując walkę o równouprawnienie kobiet wobec mężczyzn; może znów kobiety wrócą na traktory i do pracy w kopalniach?

Rzecz zrozumiała, całe to szaleństwo liberalizacji jest żalosne wobec już nie tysięcy, ale chyba dziesiątków tysięcy praw, przepisów, ustaw i zarządzeń, które ograniczają i krępują niemal każdy krok człowieka w słynnych państwach prawa. Nikt dzisiaj nie jest w stanie powiedzieć, ile i jakie kodeksy regulują nasze życie. Wobec funkcjonowania, co najmniej siedmiu, a może i więcej, rodzajów policji, każdy od oseska do matuzalema bez wątpienia podpada pod jakiś paragraf, jeśli da się złapać. Wszystko to bardziej ogranicza naszą wolność niż wroga okupacja, niż zniewolenie przez wroga mocarstwo. Wszelako największym i najdotkliwszym narzędziem ograniczającym wolność jest bieda, która w najgorszych latach polskich przemian ustrojowych i gospodarczych – dotknęła 60 proc. narodu. Na jej likwidacji powinno się przede wszystkim skoncentrować wysiłki państwa i twórczych sił społecznych, a nie na walce o szacunek dla damskich pośladek w reklamowych klipach, czy na legalizacji małżeństw homoseksualnych, albo przychyłaniu nieba tym, którym i bez tego żyje się wystarczająco dobrze. ■

ZASP solidarny z artystami z Białorusi

Apel do dyrektorów teatrów w Polsce i organów założycielskich o pomoc dla białoruskich artystów.

Po wielu gestach i aktach solidarności ze wszystkimi Białorusinami walczącymi o wolność i demokrację, a szczególnie z artystami białoruskimi, kiedy głęboko poruszeni dramatycznymi wydarzeniami za naszą wschodnią granicą pisaliśmy do nich listy (od ZASP-u słałimy słowa wsparcia wierząc w zwycięstwo dobra, rozumu i świadomości, że nie ma większej wartości niż człowiek i jego życie), teraz przyszła pora na szczególne, konkretne

wsparcie ludzi kultury i sztuki, twórców, aktorów.

Wobec zaistniałych okoliczności w swojej Ojczyźnie, wielu z nich, zmuszonych do wyjazdu, znalazło schronienie i bezpieczeństwo, to nie tylko owo schronienie i dach nad głową, bezpieczeństwo, to także możliwość godnego życia, a to jest możliwe dzięki pracy. I właśnie o umożliwienie podjęcia tej pracy zwracamy się do Państwa. Mając świadomość istnienia bariery językowej nie apelujemy o zaproszenie na scenę, ale proponowanie zajęć wokół niej, pracy na rzecz teatru.



Pamiętając losy Polaków, którym przed laty i przez lata udzielano wsparcia i pomocy za granicą, ale też w kraju, w czasie stanu wojennego i trudnych chwilach po jego zakończeniu, teraz przyszedł moment, kiedy możemy spłacić ten swoisty „dług”.

Pozostajemy pełni nadziei na pozytywny odzew z Państwa strony.

W imieniu Zarządu Głównego ZASP

Prezes KRZYSZTOF SZUSTER ■

„Teatroteka” – konkurs

Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz Stowarzyszenie Autorów ZAiKS ogłaszają konkurs otwarty na utwór dramatyczny dla cyklu ekranizacji nowej polskiej dramaturgii pod nazwą „Teatroteka”.

Tematyka prac konkursowych – utworów dla dorosłych – jest dowolna, o szeroko pojętej tematyce współczesnej.

Organizatorzy konkursu oczekują utworów dramatycznych przeznaczonych do

realizacji w formie telewizyjnego widowiska teatralnego o czasie trwania mieszczącym się w granicach między 40 a 60 minut (około 30-40 stron znormalizowanych, czcionka Courier lub Courier New, rozmiar 12).

Utwory zgłoszone na konkurs należy nadsyłać na adres e-mailowy: konkurs.teatroteka@wfdif.pl, wpisując w tytule e-maila: „Konkurs otwarty na utwór dramatyczny dla TEATROTEKI”. Laureatom konkursu przyznane będą następujące

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

nagrody: I – 16 tys. zł, II – 11 tys. zł, III – 8 tys. zł oraz trzy wyróżnienia po 5 tys. zł.

Termin nadsyłania prac na konkurs mija 15 października. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 15 grudnia 2021 roku, a stosowny komunikat ukaże się na stronach internetowych WFDIF oraz ZAIKS-u.

AS ■

Wystawa w Gdańsku

W ramach obchodów 40. rocznicy przywrócenia krzyża na Westerplatte Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku przygotowało wystawę panelową pt. 1945-2022. *Dzieje krzyża na Westerplatte*. Ekspozycja poświęcona jest przedstawieniu losów symbolu religijnego na terenie byłej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Ta historia niczym w soczewce ukazuje realia kształtowania w czasach komunizmu pamięci o polskich bohaterach, a jednocześnie przedstawia walkę ówczesnej władzy z Kościołem katolickim.

Na wystawie za kłamrę spinającą wydarzenia przyjęto lata 1945-2022, wokół których zbudowano oś narracji z uwypukleniem cezur, odgrywających znaczącą rolę w tej opowieści. Cała historia rozpoczyna się już w 1945 roku, w momencie gdy ocaleli westerplatczycy podejmują działania zmierzające do upamiętnienia żołnierzy poległych podczas obrony Składnicy we wrześniu 1939 roku. W wyniku tych prac, rok później na terenie WST ustawiono betonowy krzyż. Niestety w 1962 roku władza komunistyczna usu-

nęła krzyż z Westerplatte, a w jego miejsce postawiono sowiecki czołg T-34. Symbol religijny został potajemnie przewieziony do kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Nowym Porcie i wkopany na pobliskim cmentarzu. Kolejne starania o przywrócenie krzyża podjęto w 1980 roku, w ich rezultacie Urząd ds. Wyznań wydał zgodę na ponowne ustawienie krzyża na terenie półwyspu, co ostatecznie odbyło się w 1981 roku.

Niewątpliwie jedną z najistotniejszych dat w tej opowieści stanowi rok 2019, kiedy podczas V etapu badań archeologicznych na terenie Westerplatte archeolodzy – pracownicy MIIWŚ w Gdańsku odnaleźli 9 ludzkim szkieletów polskich obrońców z września 1939 roku. W wyniku badań identyfikacyjnych zrealizowanych przez Pomorski Uniwersytet Medyczny udało się zidentyfikować tożsamość pięciu obrońców, badania kontynuowane są nadal.

To przełomowe odkrycie właściwego, a nie jak dotąd symbolicznego, miejsca mogił obrońców, stało się podstawą idei budowy Cmentarza Wojskowego Żołnierzy Wojska Polskiego na Westerplatte. W związku z tym w 2020 roku Muzeum



rozpisało międzynarodowy konkurs na opracowanie nowej koncepcji urbanistyczno-architektonicznej cmentarza, którego realizacja jest zaplanowana na lata 2021/2022 w ramach 1. etapu inwestycji – budowy plenerowego Muzeum Westerplatte i Wojny 1939. Realizowany projekt w swoim założeniu uwzględnia umieszczenie historycznego krzyża z Westerplatte, stanowiącego nieodłączny symbol przywracania pamięci Obrońcom z września 1939 roku.

Na wystawę składają się teksty prezentujące w chronologicznym układzie historię przywrócenia krzyża na Westerplatte oraz fotografie z kolekcji prywatnej Czesława Nowaka, darów Zbigniewa Ciereszki i Kosycarz Foto Press/KFP oraz ze zbiorów Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Ekspozycja udostępniona będzie dla zwiedzających w Bazylice św. Brygidy od 27 sierpnia, natomiast w 2. połowie września w wersji plenerowej na terenie b. Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte.

MWŚ ■



Województwo
Śląskie



Śląskie.



Regionalny
Ośrodek
Kultury
w Częstochowie

Institucja Kultury Samorządu Województwa Śląskiego



JASNOGÓRSKI
INSTYTUT MARYJNY



Muzeum
Powstań
Śląskich
ŚWIĘTOCHŁOWICE

zaprasza
2 września 2021 roku
o godz. 10.00

na otwarcie wystawy

Instytutu Prymasa Wyszyńskiego **Per Mariam - Soli Deo**

oraz promocję książki

Adama Dziuroka i Jerzego Myszora
„Prymas Stefan Wyszyński a Górny Śląsk”

Wystawa prezentowana będzie w Muzeum do 14 października 2021 r.

Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach
ul. Wiktora Polaka 1, tel. 32/245 23 88, www.muzeumpowstanslaskich.pl

